

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 1 (873)
STYCZEŃ 2019

ISSN 0867-4523

MORZE NIEZGODY

Adam Eberhardt
o politycznych
kalkulacjach
prezydentów Putina
i Poroszenki

STRATEGIE

Jemen

Zakładnik
geopolitycznych
rozgrywek

Duch wojownika

Sztuki walki to znakomita
forma treningu i element
szkolenia żołnierzy



CENA 6,50 Zł (W TYM 8% VAT)





www.ezaf.pl

*Platforma informacyjno-edukacyjna
dla służb mundurowych*



Jak żyć zdrowo?

- podpowiadają specjaliści z Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej

www.ezaf.pl

artykuły dotyczące zdrowego żywienia, aktywności fizycznej oraz psychodietetyki

smaczne i proste przepisy kulinarne

ciekawe wypowiedzi ekspertów

aktywizujące filmy treningowe

Udostępniamy Państwu obszerną bazę wiedzy z materiałami edukacyjnymi do pobrania, oraz poradnię dietetyczną on-line dla służb mundurowych. Zachęcamy do systematycznego odwiedzania naszego serwisu i poszerzania swojej wiedzy w zakresie zdrowego stylu życia.



**Edukacja Żywieniowa
i Aktywność Fizyczna**



Wojskowy Instytut Medycyny Lotniczej
www.wiml.waw.pl

Zadanie finansowane ze środków
Narodowego Programu Zdrowia
na lata 2016-2020



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” KONFLIKT NA MORZU AZOWSKIM, NAZYWANY TEŻ INCYDENTEM LUB PROWOKACJĄ, WYRAŹNIE WYEKSPONOWAŁ CELE POLITYKI MOSKWY, A TAKŻE POKAZAŁ, JAK ŁATWO MOŻNA ZDESTABILIZOWAĆ SYTUACJĘ W REGIONIE, DZIAŁAJĄC NA TERENIE NEUTRALNYM.

Niewątpliwie decyzje podjęte zarówno przez stronę rosyjską (niewpuszczenie na wody Cieśniny Kerczeńskiej jednostek ukraińskich i ich przejęcie), jak i ukraińską (wprowadzenie stanu wojennego na 30 dni) są elementami szerszej strategii obu krajów. I nie tylko ich, gdyż relacje między Moskwą a Kijowem mają wpływ na działania innych państw. To są naczynia połączone. W ocenie ekspertów konsekwencje działań Rosji na Krymie i ostatnio na Morzu Azowskim może ponieść nie tylko Ukraina, ale odczują je także państwa NATO. Jak zauważa Anna Maria Dynier, kierownik programu „Europa Wschodnia” w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, wyzwaniem dla społeczności międzynarodowej ciągle pozostaje los zatrzymanych ukraińskich marynarzy. „Stany Zjednoczone już zagroziły, że jeśli Rosjanie ich nie wypuszczą i nie oddadzą Ukrainie zatrzymanych okrętów, to zostaną na nich nałożone kolejne sankcje”, zaznacza w swojej analizie.

W pierwszym numerze roku 2019 pokazujemy, dlaczego warto, żeby żołnierze trenowali sztuki walki. Z jednej strony to doskonała forma relaksu, z drugiej sposób na utrzymanie dobrej kondycji. Przede wszystkim jednak jest to niezbędny element szkolenia. Umiejętność walki wręcz jest nieodzowna w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem, co szczególnie podkreślają żołnierze jednostek specjalnych.

**POLSKA
ZBROJNA**

To pierwszy numer miesięcznika z nową winietą i w nieco zmienionej formule graficznej. Nawiązujemy do niemal stuletniej tradycji pisma „Polska Zbrojna” – zainspirowani winietą sprzed II wojny światowej, stworzyliśmy jej nową wersję, zgodną ze współczesnymi tendencjami wydawniczymi. W ten sposób chcemy nie tylko podkreślić historyczne tradycje naszego pisma, lecz przede wszystkim zaprezentować jego nowoczesne oblicze. Zmieniamy się dla Państwa, naszych Czytelników. ■



TEMAT NUMERU

EWA KORSAK

12 Widzimy się na macie

Dlaczego warto uprawiać
sporty walki

EWA KORSAK, MAGDALENA
MIERNICKA, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

18 Walka wręcz doskonała

ANNA DĄBROWSKA

24 Konspiracyjne dziu-dżitsu

MAGDALENA MIERNICKA

26 Jesteśmy wojowni- kami



ARMIA

PAULINA GLIŃSKA,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

30 Silni, szybcy, wytrzymali

Zmiany w egzaminach z WF-u

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

36 Tylko silne ogniwa

MICHAŁ ZIELIŃSKI

40 Strategia lamparta

PIOTR RASZEWSKI

44 Nocni zwiadowcy

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

46 Chłodna głowa, gorąca robota

PAULINA GLIŃSKA,
MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

52 Na pozycji skrzydłowego

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

56 Gotowy na wezwanie

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

58 Wsparcie na czterech łapach



MILITARIA

TOMASZ OTŁÓWSKI

60 Mocne wejście napastnika

Karrar, czyli modyfikacja
czołgu T-72

KRZYSZTOF WILEWSKI

66 Okręt z drukarki 3D

BOGUSŁAW POLITOWSKI

68 Jarzębina dojrzeła

TADEUSZ WRÓBEL

70 Nie tylko mauzer

TADEUSZ WRÓBEL

72 Rywal herculesa



STRATEGIE

ANNA MARIA DYNER

76 Pokojowe preteksty Putina

Konsekwencje incydentu
na Morzu Azowskim

ROBERT SENDEK

82 Morze niezgody

Rozmowa z Adamem
Eberhardtem

ROBERT SENDEK

86 Śledczy z sieci

TOMASZ OTŁÓWSKI

89 Dyplomacja z kałasznikowem w tle

MICHAŁ ZIELIŃSKI

93 Zatrzymać katastrofę

MARCIN RZEPKA

96 Wyobrażone zwycięstwo

TADEUSZ WRÓBEL

99 Zapomniana flota

RAFAŁ CIASTOŃ

103 E-wojownicy Teheranu?





HISTORIA

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

104 Poszli ci, którzy powinni

Rozmowa z Bogusławem Polakiem

PIOTR KORCZYŃSKI

110 Grozi nam konflikt w wielkim stylu

ROBERT SENDEK

112 Trzynastu straceńców

PIOTR KORCZYŃSKI

116 Bratanki w polskiej armii

MACIEJ NOWAK-KREYER

119 Komandosi odrodzonej Polski

KRZYSZTOF KUBIAK

122 Ostatnia bitwa Duńczyków

PIOTR KORCZYŃSKI

126 Kiedy zdradzi najlepszy przyjaciel

Rozmowa z Piotrem Pyrkiem

KRZYSZTOF KUBIAK

131 Burska bomba



PO SŁUŻBIE

EWA KORSĄK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

132 Patagonia nie wybacza błędów

Jeden z najtrudniejszych wyścigów świata

KATARZYNA J. KOWALSKA

137 Batalia kopisty

PIOTR KORCZYŃSKI

140 Kadry wyrwane wojnie

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

142 Anioły bez głowy

Rozmowa z Rafałem

Makolądrą

ANDRZEJ FAFAŁA

146 Mała wielka bitwa



Znajdziesz nas tutaj:



Zdjęcie na okładce:

Bartek Grądkowski/

15 Giżycka Brygada

Zmechanizowana

DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciałosiński, Anna Maria Dyner, Andrzej

Fąfara, Katarzyna J. Kowalska, Krzysztof Kubiak, Maciej

Nowak-Kreyer, Tomasz Otlowski, Piotr Raszewski, Marcin

Rzepka, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika

Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski

(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun,

Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz, Marta

Szulc, Małgorzata Szustakowska, tel. 261 845 387, 261 845

180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

tel: 542 315 201, 502 012 187

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 20.12.2018 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym

prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,

dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.

Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

POWIĘKSZENIE

RAK

SAMOBIEŻNY MOŹDZIERZ KOŁOWY

Od 2017 roku do batalionów piechoty
wyposażonych w kołowe transportery opancerzone
Rosomak przekazywane są kompanijne moduły
ogniowe liczące po osiem SMK 120 Rak.



WIEŻA MOŹDZIERZA

Sercem zestawu jest autonomiczna wieża z ładowanym od tyłu moździerzem, osadzona na podwoziu KTO. Broń ta może strzelać na wprost i seriami.

- Masa bojowa – 22 t
- Kaliber moździerza – 120 mm
- Długość lufy – 3000 mm
- Kąt ostrzału poziomy – 360°
- Kąt ostrzału pionowy – -3/+80°
- Szybkostrzelność – 6–8 pocisków/minutę
- Donośność maksymalna – 10 km
- Uzbrojenie pomocnicze – karabin maszynowy UKM 2000D kalibru 7,62 mm; 8 wyrzutni granatów dymnych kalibru 81 mm





Gwiazdki dla rektorów

WDniu Podchorążego, obchodzonym na pamiątkę ataku słuchaczy warszawskiej Szkoły Podchorążych Piechoty na Belweder, co dało początek powstaniu listopadowemu, prezydent Andrzej Duda wręczył nominacje generalskie rektorom-komendantom dwóch wojskowych akademii. Na stopień generała brygady został mianowany płk dr hab. inż. Tadeusz Szczurek, rektor Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Z kolei na stopień kontradmirała został awansowany kmdr prof. Tomasz Szubrycht, stojący na czele gdyńskiej Akademii Marynarki Wojennej. PZ, PG ■



BRAWO „MANIEK”

Polski specjals dostał prestiżową międzynarodową nagrodę. W wojsku „Maniek” służy od 20 lat, a od 12 jest operatorem w zespole bojowym Jednostki Wojskowej GROM. Na koncie ma wiele zagranicznych operacji. W Afganistanie m.in. szkolił polskich ratowników medycznych oraz lokalne jednostki specjalne. Za pomoc rannemu koledze podczas wykonywania operacji bojowej w 2013

ŻOŁNIERZ GROM
nagrodę otrzymał za całokształt pracy. SOMA doceniła przede wszystkim jego wysiłki na rzecz poprawy poziomu wyszkolenia operatorów-medyków wojsk specjalnych w Polsce i Europie, a także odwagę na polu walki.

roku został wyróżniony przez prezydenta Krzyżem Kawalerskim. Jest pierwszym Polakiem, który otrzymał tytuł międzynarodowego medyka sił specjalnych roku 2019. Wyróżnienie przyznawane jest przez Stowarzyszenie Medycyny Wojsk Specjalnych (Special Operations Medical Association – SOMA), które zrzesza medyków sił specjalnych z całego świata. Uroczystość wręczenia nagrody polskiemu specjalsowi zaplanowano na 9 maja 2019 roku na bankiecie z okazji dorocznej konferencji SOMA w Charlotte w USA. PZ, MKS, EK ■

ARKADIUSZ DWULATEK
/COMBAT CAMERA DORSZ

**DLA ŻOŁNIERZY 15 BATALIONU
UŁANÓW POZNAŃSKICH
Z 17 WIELKOPOLSKIEJ BRYGADY
ZMECHANIZOWANEJ GRUDZIEM
BYŁ CZASEM INTENSYWNEGO SZKOLENIA.
NA POLIGONIE W ŻAGANIU DOSKONALONO
M.IN. WSPÓŁDZIAŁANIE NA SZCZEBŁU
DRUŻYNY ORAZ PLUTONU**

HIMARS
GŁÓWNE UZBROJENIE
TO UMIESZCZONE
W DWÓCH MODUŁACH
12 RAKIET GMLRS. WYRZUT-
NIA UZBRAJANA JEST W KILKA
RODZAJÓW KIEROWANYCH
RAKIET. MAJĄ ONE ZASIĘG
OD KILKUDZIESIĘCIU
DO 300 KM.

Homar wyceniony

**Amerykański rząd zgodził się na sprzedaż
Polsce dywizjonu wyrzutni rakietowych.**

Za pakiet składający się z 20 wieloprowadnicowych wyrzutni rakietowych HIMARS, pocisków czterech typów, systemów kierowania ogniem

AFATDS (Advanced Field Artillery Tactical Data System), 33 pojazdów HMMWV oraz wozów wsparcia logistyczno-szkoleniowego nasz rząd ma zapłacić maksymalnie 655 mln dolarów. Zgodnie z amerykańskimi procedurami zgodę na sprzedaż musi wyrazić Kongres. PZ, KW, AD ■



NOWE BIELIKI

**Do 2022 roku
nasze siły zbrojne
będą miały
16 samolotów
M-346.**

Zołnierze dostaną cztery kolejne M-346 Bielik – jedno z najnowocześniejszych samolotów szkoleniowych na świecie”, zapowiedział Mariusz Błaszczak, minister obrony. Polska skorzystała z opcji zawartej w kontrakcie z ich włoskim producentem, firmą Leonardo, i zamówiła kolejne cztery maszyny. Producent ma je dostarczyć w 2022 roku.

„Zakup następnych M-346 to dobra wiadomość dla sił powietrznych. Na pewno te samoloty wzmocnią system szkolenia przyszłych pilotów F-16”, mówi gen. Jacek Pszczoła, inspektor sił powietrznych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

Maszyny trafią do 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie, gdzie sztuki pilotażu będą się uczyć podchorążowie Lotniczej Akademii Wojskowej. Mają oni do dyspozycji już osiem samolotów Bielik. PZ, EK ■



Szef MON-u podpisał program rozwoju sił zbrojnych.

ZADANIA ARMII

Program rozwoju Sił Zbrojnych RP na lata 2017–2026 to dokument określający najważniejsze kierunki i zadania, które czekają wojsko w najbliższych latach. Wśród wymienionych tam priorytetów znalazła się budowa potencjału obronnego na wschodzie kraju. W ramach tych działań ma zostać przyspieszone formowanie nowej, czwartej dywizji. Będzie się składała z trzech brygad, a jej dowództwo znajdzie się w Siedlcach. W szeregach 18 Dywizji Zmechanizowanej ma służyć około 7,8 tys. żołnierzy. W programie znalazł się także zapis o zwiększeniu liczebności 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. Zostanie też odtworzony pułk przeciwpancerny w Suwałkach. Przed ośmiu laty 14 Suwalski Pułk Artylerii Przeciwpancernej przemianowano na 14 Dywizjon Artylerii Przeciwpancernej, co spowodowało, że liczba stacjonujących żołnierzy zmniejszyła się o połowę.

MON stawia też na dalszy rozwój wojsk obrony terytorialnej oraz utworzenie nowego rodzaju sił zbrojnych – wojsk cyberobrony. W dokumencie znalazły się również wytyczne dotyczące rozbudowy zdolności bojowych wojska, w szczególności kupna nowoczesnych systemów uzbrojenia obrony powietrznej oraz artylerii dalekiego zasięgu, a także zalecenia dotyczące konieczności przeprowadzenia do końca reformy dowodzenia i kierowania armią. Program rozwoju jest podstawą kolejnych dokumentów, określających bardziej szczegółowo rozwój sił zbrojnych, np. planu modernizacji technicznej. PZ, JT

W programie znalazł się także zapis o zwiększeniu liczebności 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Podwójne święto



Na stopień generała dywizji mianowany został

**gen. bryg.
KRZYSZTOF
MOTACKI,**
dowódca
Wielonarodowej
Dywizji Północny
Wschód.

Wielonarodowa Dywizja Północny Wschód w Elblągu ma koordynować funkcjonowanie i szkolenia batalionowych grup bojowych, które stacjonują na wschodniej flance sojuszu północno-atlantycznego. Jesienią 2018 roku dowództwo dywizji przechodziło certyfikację podczas ćwiczeń „Anakonda '18”. W trakcie podsumowania manewrów w Elblągu dokument potwierdzający gotowość bojową WDPW podpisali gen. broni John C. Thomson, dowódca Sojuszniczego Dowództwa Wojsk Lądowych (Allied Land Command – LANDCOM) w Izmirze, oraz gen. dyw. Krzysztof Motacki, dowódca natowskiej jednostki. W czasie uroczystości prezydent Andrzej Duda wręczył także nominacje generalskie. Na stopień generała dywizji mianowany został gen. bryg. Krzysztof Motacki, dowódca Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód. Z kolei pierwsze gwiazdki generalskie otrzymał płk Piotr Malinowski, szef Sztabu Dywizji, oraz płk Dariusz Żuchowski, zastępca szefa Sztabu Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego ds. zabezpieczenia. PZ, MM

Apka dla terytorialsów

Złożenie wniosku o powołanie do wojsk obrony terytorialnej możliwe jest przez ePUAP, czyli Elektroniczną Platformę Usług Administracji Publicznej (epuap.gov.pl). Do wniosku trzeba dołączyć elektroniczną kopię dokumentów potwierdzających wykształcenie. Jeżeli kandydat dzia-

łał w organizacjach proobronnych, może załączyć odpowiednie rekomendacje. Osoby, które skorzystają z tej możliwości aplikacji, dostaną dodatkowe punkty podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Złożenie wniosku o powołanie do służby w WOT przez internet ma skrócić drogę naboru. PZ, MKS

MISYJNE PLANY 2019

→ Polscy żołnierze wyjadą na misję UNIFIL (United Nations Interim Force in Lebanon) do Libanu. Jak poinformował posłów z sejmowej Komisji Obrony gen. dyw. Tomasz Piotrowski, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych, są prowadzone analizy dotyczące wielkości kontyngentu oraz rodzaju sprzętu, jaki zo-

stanie wysłany. Wyjazd jest planowany na listopad 2019 roku.

→ Polska włączy się w misję Baltic Air Policing (od 2 stycznia do 30 kwietnia). Dyżur bojowy w ramach natowskiej misji nadzoru przestrzeni powietrznej państw bałtyckich będzie pełnić do 140 żołnierzy, zostaną też użyte **cztery F-16**.

STĘPKA POD „ALBATROSA”

MARCIN PURMAN



Budowa okrętu, który będzie nosił nazwę ORP „Albatros”, zakończy się w styczniu 2020 roku. Zgodnie z planem jednostka wejdzie w skład 13 Dywizjonu Trałowców 8 Flotylli Obrony Wybrzeża, a jej macierzystym portem stanie się Gdynia. Stocznia w Gdańsku zapowiada, że w ciągu kilku miesięcy rozpocznie prace nad kolejnym kormoranem. Najprawdopodobniej do służby wejdzie on w listopadzie 2021 roku i otrzyma nazwę ORP „Mewa”. Pierwszy z kormoranów (na zdjęciu) w listopadzie 2018 roku świętował pierwszą rocznicę podniesienia bandery. Zadaniem tego typu okrętów jest poszukiwanie, identyfikacja i zwalczanie min morskich oraz innych obiektów i materiałów wybuchowych. PZ, ŁZ ■

OKOŁO
20 000

pistoletów
samopowtarzalnych
trafi w 2019 roku
do żołnierzy.

Vis 100

Umowa na dostawę pistoletów kalibru 9 mm została zawarta z Fabryką Broni „Łucznik” w Radomiu na początku grudnia 2018 roku. Kontrakt będzie realizowany w kilku etapach, ale pierwsze visy zostaną przekazane do jednostek w połowie 2019 roku. Trafia one przede wszystkim do wojsk obrony terytorialnej.

Wprowadzenie pistoletów do służby ma rozpocząć proces stopniowego ujednolicenia broni osobistej żołnierzy. Konstrukcja powstała jako Ragun, ale nazwa została zmieniona na Vis 100. Nawiązuje ona do przedwojennej konstrukcji pistoletu wz. 35 Vis oraz stulecia niepodległości. PZ, MKS ■

Krzyż za Little Flower

Prezydent Andrzej Duda wręczył w Waszyngtonie Krzyże Oficerskie Orderu Zasługi RP. Uhonorowany został m.in. Jacques Paul Klein, szef misji pokojowych ONZ na obszarze byłej Jugosławii. To on nadzorował operację „Little

Flower”, którą w 1997 roku przeprowadzili żołnierze GROM-u. W jej wyniku został schwytany Slavko Dokmanović, zbrodniarz wojenny, jeden z odpowiedzialnych za masakrę 400 mężczyzn we wsi Ovčara w Chorwacji. EK ■



→ W 2019 roku polskie wojsko nadal będzie zaangażowane w misję szkoleniowo-doradczą w Iraku oraz w nатовąską Resolute Support Mission w Afganistanie, polegającą na szkoleniu lokalnych sił zbrojnych.

→ 1 lutego 2019 roku Polacy rozpoczną -

trwającą pięć miesięcy - misję w rejonie Morza Śródziemnego. Kontyngent utworzy 230 marynarzy i żołnierzy oraz ORP „Pułaski”. Polacy wejdą w skład Stałego Zespołu Sił Morskich NATO - Grupa 1 (Standing NATO Maritime Group One - SNMG 1). Misja będzie prowadzona na wodach Oceanu Atlantyckiego oraz mórz: Nor-

weskiego, Północnego, Śródziemnego i Bałtyckiego.

→ Polacy są zaangażowani także w Kosowie w operację KFOR, w Bośni i Hercegowinie - w PKW EUFOR Althea.

→ Nasi żołnierze biorą również udział w misji Unii Europejskiej polegającej na zwalczaniu przemytu ludzi (PKW Sophia) oraz w unijnej operacji w Republice Środkowoafrykańskiej.

→ Polskie siły zbrojne są zaangażowane w misje mające wzmocnić południową flankę NATO w Rumunii i na Łotwie.

→ Zakończyła się czteroletnia misja w Kuwejcie prowadzona w ramach operacji „Inherent Resolve”.

Jej celem było wsparcie koalicji przeciwko siłom tzw. Państwa Islamskiego. PZ, JT ■



**TEMAT
NUMERU**

/ SZTUKI WALKI



WIDZIMY SIĘ



ZA MACIE

**Podobno w każdym z nas
drzemie dusza wojownika.
Jak ją w sobie obudzić?**

EWA KORSAK

**TRENINGI
NA MACIE**

TO NAUKA NIE TYLKO
WALKI, LECZ TAKŻE
ASERTYWNOŚCI,
BUDOWANIA MOCNEGO
CHARAKTERU, TO NABIERA-
NIE ODWAGI I WEWNĘTRZ-
NEJ SIŁY.

MASTER 1305/STOCK.ADOBE.COM



W

filmach wszystko wydaje się proste: do mistrza sztuk walki (koniecznie małowównego, oschłego mężczyzny) trafia zbuntowany nastolatek, skrzywdzona kobieta albo niezaradny, szukający „czegoś więcej” pracownik biurowy.

Najpierw nie mogą się dogadać, bo mistrz ma zasady, których trudno jest przestrzegać zwykłemu śmiertelnikowi, a potem nagle BUM! Kilka treningów na macie i z osoby, która nigdy wcześniej nie była nawet na siłowni, rodzi się wojownik będący w stanie pokonać każdego przeciwnika (co zresztą zwykle udowadnia w finałowej scenie filmu). Tak to wygląda w filmach klasy B. A w życiu? Czy każdy może przyjść na trening sztuk lub sportów walki i obudzić w sobie wojownika?

SIŁA, KTÓRA ŚPI

„Wierzę w to, że wszyscy mamy w sobie ducha wojownika, bo każdy ma adrenalinę, hormon, który powoduje, że wychodzimy sami z siebie i przekraczamy własne granice”, twierdzi Marta Niewczas, sześciokrotna mistrzyni świata w karate tradycyjnym, doktor nauk o kulturze fizycznej na Uniwersytecie Rzeszowskim i założycielka Akademii Karate Tradycyjnego w Rzeszowie. Zdarza się, że tego wojownika widać już w kimś na samym początku. „Miałam kilkanaście lat, kiedy przyszedłam na pierwszy trening taekwondo. Byłam jak petarda. Nie potrzebowałam, by ktokolwiek mnie przekonywał, że mam być odważna, wojownicza. Taka byłam od dziecka. Owszem, miałam swój zamknięty świat, ale nie byłam pierdołą”, mówi Iwona Guzowska, bokserka i kick bokserka, mistrzyni świata, Europy i Polski.

Zdarza się jednak, że wojownika w człowieku odkrywają dopiero trenerzy sztuk walki, tak jak to było z Martą Niewczas: „Marzyłam o tym, żeby ćwiczyć karate. Ale moja mama mówiła, że nie, że gdzie ja tam... Zapisła mnie do szkoły muzycznej. Poprosiłam więc tatę o pieniądze na karate. I mi je dał. Ale nie dlatego, że zwrócił uwa-

gę na mój talent. Byłam dość otyłym dzieciakiem i on pomyślał, że karate pomoże mi schudnąć. Bo inaczej to sobie męża nie znajdę...”, śmieje się mistrzyni.

Zwykle jest jednak tak, że ta wewnętrzna siła, odwaga i waleczność zostają uśpione w człowieku na długie, długie lata. „Najczęściej o to, byśmy nie byli wojownikami... albo inaczej, o to, żebyśmy byli ciamajdami, dbają nasi rodzice. Kiedy dziecko się rodzi, ma tylko dwa lęki: boi się głośnych dźwięków i wysokości. Wszystkie inne obawy rodzice wbijają do głowy, kiedy mówią: »Nie biegnij tak szybko, bo się przewrócisz! Nie wchodź tam, bo spadniesz! To nie dla ciebie, nie poradzisz sobie z tym!«”, wyjaśnia Iwona Guzowska. Treningi sztuk czy sportów walki są jednym ze sposobów, by te lęki od siebie odsunąć. Udaje się to nawet wtedy, kiedy jest się już osobą dorosłą. „Kiedyś na trening krav magi przyszła kobieta. Nieśmiała, cicha, szara myszka. Miała sąsiada, który nie dawał jej spokoju. Po pół roku treningów nabrała na tyle odwagi, by stanąć z nim twarzą w twarz i głośno powiedzieć, żeby się... odczepił”, opowiada Łukasz Mikłusiak, instruktor Krav Maga Poland.

WRZESZCZ!

Okazuje się więc, że treningi na macie to nauka nie tylko walki, ale też asertywności, budowania mocnego charakteru, to nabieranie odwagi i wewnętrznej siły oraz... mocy głosu. „Kiedy mówisz jak ofiara, to tak cię będą postrzegać. W akademii karate uczyć głośnego okrzyku, oddychania przeponą, tak jak robią to śpiewacy operowi. Okrzyk wzmacnia każdy cios. To dodatkowa energia. Powtarzam uczniom: jak przestraszysz się czegoś w ciemnej piwnicy, nie łap powietrza do środka, tylko wrzaśnij!”, mówi Marta Niewczas.

Dzięki treningom nabiera się też pokory. „Tylko trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że tego uczy każdy sport. Mnie najwięcej w tej kwestii dał nie kick boxing, nie dżudo, a jeździectwo. Kiedy zdajesz sobie sprawę z tego, że twoje sukcesy nie zależą tylko od ciebie, ale też od zwierzęcia... Tu dopiero trzeba mieć dużo pokory”, podkreśla Iwona Guzowska. Treningi uświadamiają też, że działają

JAREK NIEKRASZ



MARTA NIEWCZAS:
„To bardzo, bardzo ważne, by sprawdzić osobę, która będzie nas uczyła. Unikajmy samozwań-
czych mistrzów”.

WRZESZCZ! OKRZYK WZMACNIA KAŻDY CIOS. TO DO- DATKOWA ENERGIA

na nas prawa, na które nie mamy wpływu. Jeśli zdamy sobie z nich sprawę, będziemy mocniejsi. „Z czego wynika pewność siebie? Ale taka prawdziwa, niebędąca przykrywką dla kompleksów. Z pokory i respektu do praw natury. Musisz sobie uświadomić, że mały nie wygra z dużym, chyba że go zaskoczy. Prawo dżungli. Znaj swoje słabości, ułóż strategię i wtedy stań do walki”, mówi mistrzyni karate.

Sztuki walki to również nauka samodzielności i dyscypliny. „Kiedy byłem w szkole oficerskiej, nie sprawiało mi żadnego problemu dostosowanie się do zasad, które tam panowały. Dyscyplina, zorganizowanie, punktualność – to nie były obce mi kwestie, bo od dziecka chodziłem do szkoły karate i miałem to we krwi”, mówi Karol Sura, uczeń Marty Niewczas, dziś żołnierz. Co jeszcze dają treningi? „Przyjaciół, ludzi z grupy, z którymi znasz się od lat i z którymi łą-

czy cię pasja”, odpowiada Sura. „Wiem, że wszyscy mówią o dyscyplinie, pracowitości, pokorze jako bonusach wynikających z treningów. Ale ja muszę dodać coś oczywistego, co jednak się pomija. Najważniejsze jest to, że kiedy zdasz sobie sprawę z tego, iż wzmacniasz się fizycznie, wzmacni się również twoja energia wewnętrzna. Przecież dla jakiegoś nieśmiałego nastolatka to jest bardzo dużo, kiedy zaczyna czuć, że nie jest bezbronny, że może uderzyć, że wie, jak zadać cios, żeby wygrać. Tylko tę wiedzę trzeba potem właściwie ukształtować”, mówi Iwona Guzowska.

Umiejętności walki kształtuje nauczyciel, mistrz. „To bardzo, bardzo ważne, by sprawdzić osobę, która będzie nas uczyła. Unikajmy samozwańczych mistrzów. Zdarza się, że tacy ludzie »okaleczali« swoich podopiecznych, szczególnie dzieci. Mobilizowali je do walki, krzycząc »Bij! Zabij!«”. To jest niedopuszczalne”, mówi Niewczas.

SZTUKA UNIKANIA

Dobry nauczyciel uświadomi ci również, że czasami warto... nie walczyć. „Dla mnie to bardzo ważne, by uczyć tego, że można, a czasami wręcz powinno się unikać konfrontacji. Jeśli możesz uciec, ucieknij. Jeśli idziesz ulicą i widzisz podejrzaną grupę, przejdź na drugą stronę. Nie pchaj się w konflikt”, mówi Łukasz Mikłusiak. Podobnego zdania są Marta i Iwona. „Nie prowokuj, nie zaczepiaj silniejszych. Nie włącz w ciemną uliczkę. Miej świadomość tego, że jesteś drobniejsza czy drobniejszy od przeciwnika, więc albo szybko biegniesz, albo unikaj takich konfrontacji. Nie mówię, że przewidzisz każdą, ale... Myśl o tym, by się w nic nie pakować”, mówi Niewczas.





TRZY PYTANIA DO

Tomasz Kozłowski

Jak sztuki i sporty walki wpływają na psychikę człowieka? W jaki sposób kształtują jego osobowość?

W sztukach walki bardzo duże, o ile nie kluczowe znaczenie ma kształtowanie „kręgosłupa” adeptów, a nie tylko samej techniki walki. Młodzi ludzie uczą się m.in. szacunku do przegranych, a właśnie po tym poznaje się prawdziwego zwycięzcę. Wiele zależy od trenera. Jeśli będzie on nastawiony na naukę bicia, to takiej postawy nauczy się młody adept tego sportu.

A dorośli? Mogą czegoś nauczyć się na takich treningach?

Oczywiście. Treningi uczą m.in. tego, jak przepracować porażki, zaakceptować swoje słabości. Taka postawa jest fundamentem rozwoju każdego człowieka.

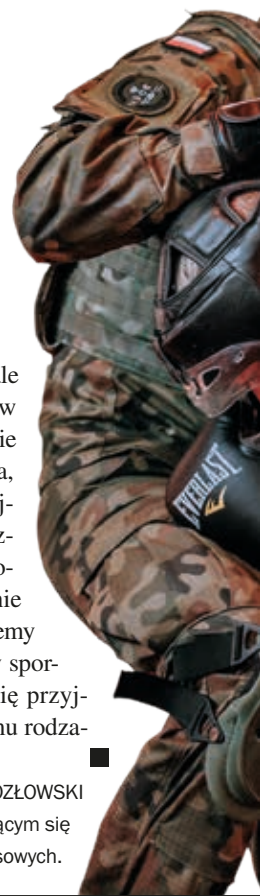
Czy takie treningi mogą w kimś wyzwoić agresję?

Jeżeli ktoś jest agresywny wobec otoczenia, to nawet jeśli będzie instruktorem nauki jazdy, może sprowadzać nieszczęście na innych. Trener sztuk, sportów walki również. Mówię to także jako ojciec siedemnastoletniego Adama, który po ośmiu latach treningów teraz zdaje egzamin na brązowy pas. A największą dla mnie radością nie jest to, że daleko

już w tym sporcie zaszedł, ale że jego senseiem jest Radosław Kulikowski, który ma podejście holistyczne. Szkoli człowieka, a nie zawodnika. Najsilniejszym mechanizmem społecznego uczenia się jest tzw. modelowanie, czyli naśladowanie postaw. Kiedy zatem zapisujemy dziecko na trening sztuk czy sportów walki, bardziej trzeba się przyjrzeć instruktorom niż samemu rodzajowi walki.

TOMASZ KOZŁOWSKI

jest psychologiem specjalizującym się w sytuacjach kryzysowych.



Łukasz podkreśla, że kiedy zaczynasz uprawiać sporty walki, jednocześnie włącza się myślenie o zagrożeniach. „Uczymy zwracać uwagę na niebezpieczeństwa, których zwykle nie zauważamy. Przykład? Impreza. Będzie alkohol, będą ludzie, których nie znamy, więc automatycznie będzie tam więcej zagrożeń niż w innych miejscach. Nie chodzi o to, by popaść w paranoję, nie wychodzi z domu. Wystarczy odrobinę zwiększyć czujność”, mówi Mikołusiak. Sporty walki kształtują też zdolność, dzięki której oko wychwytuje osoby agresywne, a głowa potrafi ocenić, skąd pochodzi ich siła – czy z tego, że są świetnie zbudowane, czy może jest związana z nożem, który ktoś trzyma w dłoni.

„Odpuść” to świetna rada, ale nie zawsze możliwa do zrealizowania. Czy nie po to uczy się walki, by w momencie zagrożenia umieć zadać właściwy cios? „Właśnie dlatego na treningu krav magi uczymy, jak budować swoją postawę wobec zagrożeń, jak wyzwolić złość, jak nie pozostać sparaliżowanym strachem, jak ocenić sytuację, widzieć szerzej: czy przeciwnik jest jeden, czy jest ich kilku?”, wyjaśnia Łukasz. „Na treningach uczysz się zadawać celne ciosy. Sterować swoim ciałem tak, żeby trafić dokładnie w ten punkt, który chcesz. Wszystko po to, by

pokonać przeciwnika”, podkreśla Iwona Guzowska. Jaka jest recepta na sukces? Jak się nauczyć walczyć? „Powtarzać, powtarzać, i jeszcze raz powtarzać”, radzi Marta. A jeśli nie wychodzi? „To powtórz sto razy więcej niż inni, aż w końcu ci wyjdzie”, dodaje mistrzyni karate.

TRENING TO NIE TERAPIA

Czy sztuki walki i sporty walki są dobrym rozwiązaniem dla tych, którzy szukają dla siebie właściwych zajęć, by schudnąć i poprawić kondycję? „Oczywiście, że tak. To jest naprawdę świetny trening, który pozwala spalić mnóstwo kalorii. Celem ćwiczącego nie musi być nauka walki. Można po prostu w ten sposób zadbać o swoją kondycję”, mówi Agnieszka Sajdutka, mistrzyni świata w karate tradycyjnym. Świetnym przykładem są pewni rodzice, którzy przyprowadzali dzieci na zajęcia karate do szkoły Marty Niewczas, po czym sami zapisali się do grup dla dorosłych. Raczej nie będą stawać do walki na macie, ale mają zapewnioną dawkę ruchu, która pozwala utrzymać formę. „Uważam, że nie każdy jest stworzony do tego, żeby być wojownikiem, ale sport powinni uprawiać wszyscy. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby to był trening sztuk czy sportów walki”, mówi Iwona Guzowska. „Poza



CELEM ĆWICZĄCEGO NIE MUSI BYĆ NAUKA WALKI. MOŻNA PO PROSTU W TEN SPO- SÓB ZADBAĆ O SWOJĄ KONDYCJĘ



KOMENTARZ

BOGNA KIETLIŃSKA

Obowiązkowości i regularności, a także wyczerpania na reakcje innych można się nauczyć, trenując właśnie sporty walki. Bez wątpienia jest to pozytywne, jeśli chodzi o aspekt społeczny. Udział w takich zajęciach jest także sposobem na integrację z rówieśnikami. Może to być ważne w wypadku dzieci, które na co dzień mają problem ze znalezieniem kolegów. To samo dotyczy nastolatków, ale warto pamiętać o tym, jak silny jest w tym wieku wpływ grupy rówieśniczej. Sztuki lub sporty walki skupiają zaś

różnych ludzi. Sama trenowałam boks tajski, a dziś ćwiczę boks tradycyjny i poznałam wyjątkowe osoby. Powinniśmy być jednak świadomi tego, że czasami ta integracja jest bardzo pozytywna, ale może też być trudna lub negatywna w skutkach. Bardzo ważną rolę odgrywa tu trener. Dopóki będzie dbał o to, aby na treningach panowała atmosfera wzajemnego szacunku, przebywanie z ludźmi o innych poglądach czy żyjących w innym środowisku może być bardzo wartościowe. ■

Dr BOGNA KIETLIŃSKA jest adiunktem w Instytucie Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

BARTEK GRĄDKOWSKI / 15 GBZ

tym dopiero na takich zajęciach można zobaczyć, jak prawidłowo skakać na skakance i jaki to jest wycisk dla organizmu”, dodaje ze śmiechem.

Jak zapewnia Marta Niewczas, zanim ktokolwiek nauczy się używania bloków i ciosów, musi zdobyć trochę siły. Pewne więc jest, że pierwszych kilka lat treningu to po prostu wzmacnianie kondycji. „Plus bonusy, o których mówiłam: skupienie, koncentracja i punktualność. Same dobre rzeczy”, podkreśla mistrzyni. Czy do treningów trzeba się jakoś fizycznie przygotować? Niejednokrotnie zdarza się, że ludzie wstydzą się iść na siłownię, bo... nie mają kondycji. Z tego samego powodu mogą zwlekać z wejściem na matę i trening sztuk czy sportów walki. „Nie, nie trzeba się specjalnie przygotowywać do tego rodzaju zajęć. Po to jest trening, żeby tę kondycję zbudować”, mówi Mikłusiak. Trener przyznaje, że początkujący często mówią o tym, że mieli zakwasy, bo dawka ruchu jest duża, zwłaszcza jeśli ktoś w pracy zawodowej jest mało aktywny fizycznie lub nie uprawia żadnych sportów. „Ale spokojnie, zakwasy mijają i z czasem jest zdecydowanie lepiej”, mówi Łukasz.

„Treningi ze sportów walki są świetną opcją dla tych, którzy nie czują się mocni, jeśli chodzi o sport. Od początku pracują z trenerem, nie są zostawieni sami sobie. Nie uczą się zadawania ciosów od pierwszych spotkań, a budują swoją wytrzymałość, motorykę i rozwijają swoją kondycję fizyczną”, mówi Tomasz Drwał, właściciel Szkoły Walki Drwala w Krakowie.

Kobiety często wybierają sztuki czy sporty walki jako sposób na nauczenie się samoobrony. „Świetny pomysł. Bardzo ważne jest to, żeby nie myślały o sobie, że są słabsze. A do tego muszą mieć wiedzę i umiejętności, jak uderzyć, żeby się obronić”, mówi Łukasz. „Wiem też, że na takie kursy przychodzą kobiety już skrzywdzone. Tymczasem takie osoby powinny zgłosić się do psychologa czy innego specjalisty, który pomoże im uporać się z traumą i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zostały ofiarami”, twierdzi kick bokserka Iwona Guzowska. Zgadza się z tym pozostali trenerzy. „Kluby sportowe to nie są miejsca, w których leczy się traumy. Owszem, to może być dodatek do terapii, ale na pewno jej nie zastąpi. Jeśli masz tego typu problem, zgłoś się do specjalisty”, mówi mistrzyni karate. Podobnego zdania jest Łukasz. „Jeśli ktoś przychodzi systematycznie na zajęcia, jeździ na staże, seminaria, obozy, to tworzy się grupa, do której należy, i to zawsze pozytywnie wpływa na człowieka. Ale to wzmocnienie, a nie terapia”, mówi trener krav magi.

Wróćmy na kanapę, przed telewizor. Właśnie skończył się kolejny film o mistrzach sztuk walki i ich niepokornych uczniach, którzy mimo lęków pokonują przeciwników. Może chcielibyśmy, tak jak oni, obudzić w sobie moc? Zrzucić garnitur, wstać z kanapy, wyłączyć telewizor, zamknąć laptop i wreszcie porządnie się zmęczyć, zadać ten właściwy cios? Sprawdźmy, kiedy jest najbliższy trening... Jutro o 7.00 rano? Za wcześnie... „Nie zostaje mistrzem ten, kto wstaje o 10.00!”, gani Marta. To jak, widzimy się na macie? ■

Walka wręcz doskonała

Karabin nie zawsze wystarczy, by pokonać przeciwnika. Czasami trzeba użyć siły mięśni. Dlatego nawet w najnowocześniejszej armii nie można zapominać o walce wręcz.

EWA KORSAK, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
MAGDALENA MIERNICKA

Zołnierze chętnie trenują różnego rodzaju sporty walki. Nikogo nie dziwi, że wojskowi zajmują się kick-boxingiem, MMA (mixed martial arts, mieszane sztuki walki), brazylijskim dżiu-dżitsu czy zapasami, ani to, że wygrywają zawody w tych dyscyplinach, zdobywają złote pasy i tytuły mistrzowskie. Czy te umiejętności można wykorzystać w walce? Czy mistrz karate, walczący na macie boso, będzie tak samo skuteczny na polu walki, gdy w rękach będzie miał karabin, a na sobie hełm i kilkanaście kilogramów dodatkowego wyposażenia? Nie do końca. Czy zatem żołnierze nie powinni zajmować się dalekowschodnimi sztukami walki? Powinni, bo takie treningi poprawiają kondycję i refleks. Trzeba jednak znaleźć system, który sprawdzi się w szkoleniu, tak by mogli zastosować go w bezpośrednim starciu z przeciwnikiem.

PROSTE ROZWIĄZANIA

„System walki ma być prosty i skuteczny”, to główna myśl przyświecająca Brytyjczykom, którzy w latach dwudziestych ubiegłego wieku stworzyli własną metodę. Byli to William E. Fairbairn, oficer Royal Marines, a później szanghajskiej policji, oraz Eryk A. Sykes, także żołnierz. Ich system walki defensywny najpierw wprowadzono w pododdziałach szanghajskiej policji, później stopniowo w szeregach brytyjskiego wojska, a następnie zmodyfikowały go i przejęły inne armie.

Walka wręcz jako jedna z form szkolenia żołnierzy pojawiła się także w Polsce. Jednymi z pierwszych, którzy się z nią



mierzyli, byli m.in. cichociemni (więcej na ten temat na str. 24–25). Z kolei po II wojnie światowej, głównie za sprawą płk. Krzysztofa Kondratowicza, miłośnika i zawodnika dżiu-dżitsu, w wojsku dominowały wschodnie sztuki walki. Opracowany przez mistrza system obowiązywał do 1990 roku.

Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia mjr rez. Arkadiusz Kups stworzył rodzinny system walki wręcz. Bazując m.in. na koreańskim kyoksulu wymyślił Combat 56, służący do szybkiej eliminacji przeciwnika. Do armii swój autorski system BAS usiłował wprowadzić także dr Andrzej Bryl. Jednak z uwagi na to, że opierał się na zasadzie „trenuj tak, jakbyś walczył”, został uznany za zbyt niebezpieczny i zrezygnowano z wprowadzenia go w szeregi armii.

Przez lata trwała dyskusja na temat tego, jak uzupełnić szkoleniową lukę. Z inicjatywą opracowania nowego systemu walki wyszli mjr Piotr Tarnawski i kpt. Włodzimierz Kopeć, specjalizujący się w sportach walki wykładowcy cyklu wychowania fizycznego i sportu w poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych, instruktorzy WF-u, trenerzy wschodnich sztuk walki, założyciele Stowarzyszenia Krav Maga Polska. Właśnie z wykorzystaniem tego izraelskiego systemu powstał program walki w bliskim kontakcie (WWBK).

W pracach zespołu utworzonego na rozkaz Sztabu Generalnego WP uczestniczyli również por. Grzegorz Mikuśiak z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu i ppor. Andrzej Grejner z Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie. System miał być pomocny w przygotowaniu żołnierzy do wykonywania zadań na misjach. „Miał sprostać ograniczeniom, jakie ma żołnierz w kontekście mobilności po włożeniu munduru i dodatkowego oporządzenia”, wyjaśnia kmdr ppor. Włodzimierz Kopeć. „Deficyt czasu na szkolenie nie dopuszczał zbyt złożonych, skomplikowanych form ruchu, wymagających lat treningów i ponadprzeciętnych predyspozycji. Z założenia miało to być narzędzie dla każdego żołnierza na różnych poziomach zaawansowania, z uwzględnieniem odmienności zadań różnych rodzajów sił zbrojnych”, dodaje współtwórca systemu.

Wkrótce po tym, jak Tarnawski odszedł do rezerwy, Kopeć poszerzył program i system szkolenia o kursy doskonalące, włączył do niego

broń indywidualną i stworzył BLOS (B – broń, L – lufa, O – otoczenie, S – spust), czyli system walki i bezpiecznego posługiwania się bronią palną. Wprowadził też normy do szkolenia z posługiwania się pistoletem. „Stworzono solidne podstawy formalnoprawne do realizowania szkoleń z tej dziedziny w całych siłach zbrojnych. Wuefisci instruktorzy mogli prowadzić szkolenie z walki w bliskim kontakcie z wykorzystaniem określonych programem norm. Wszystko to zostało opracowane i przygotowane w poznańskim Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych we współpracy z Akademią Wychowania Fizycznego. Wkrótce ruszył proces szkolenia kadr instruktorskich”, mówi dziś z satysfakcją kmdr ppor. Włodzimierz Kopeć.

System WWBK wprowadzono do programu szkolenia polskiej armii na przełomie 2005 i 2006 roku. Najpierw zostali przygotowani instruktorzy, których wytypowano spośród wojskowych wuefistów. „Spod mojej ręki w Poznaniu wyszło ponad tysiąc instruktorów systemu walki w bliskim kontakcie”, wspomina kmdr ppor. Włodzimierz Kopeć. Każdy z nich otrzymał także opracowany przez twórców systemu podręcznik oraz arkusze ocen, na których podstawie można weryfikować i oceniać postępy szkolenia. „I tu kończy się etap rozwoju, a zaczyna ten nazywany »chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zawsze«. Brak kontynuacji w kierunku stworzenia systemowych rozwiązań – struktur szkoleniowych i w końcu mój awans, wiążący się z odejściem z CSWL-u do innego rodzaju sił zbrojnych, spowodowały wyhamowanie procesu szkolenia WWBK. Zdecydowano też, że system walki w bliskim kontakcie nie będzie elementem wpływającym na ocenę z WF-u, a jeśli coś nie podlega ocenie, to bywa traktowane po macoszemu”, mówi kmdr ppor. Kopeć.

Taki stan trwa do dziś, bo chociaż program szkolenia nadal w armii obowiązuje, ciągle nikt nie weryfikuje umiejętności żołnierzy. Niby ćwiczą wszyscy, ale co trenują... to już zależy od specjalizacji instruktora. Mamy więc w WP specjalistów od MMA, dżudo, karate, krav magi oraz innych sztuk i sportów walki. Jak podkreśla kmdr ppor. Włodzimierz Kopeć, to świetne dyscypliny dla żołnierzy, doskonale wpisują się w system szkolenia z walki w bliskim kontakcie. „W znakomity sposób pozwalają rozwijać u żołnierza cechy fizyczne i psychiczne niezbędne w wykonywaniu zadań bojowych na współczesnym polu walki”, podkreśla oficer.

KUŹNIE WOJOWNIKÓW

Na wojskowej mapie Polski są jednostki, w których do walki wręcz przywiązuje się szczególną wagę i uważa za ważny element szkolenia żołnierzy. Tak jest m.in. w wojskach specjalnych, oddziałach



Zaletą systemów walki jest to, że one cały czas się rozwijają, więc można je dopasować do potrzeb wojska.



specjalnych żandarmerii wojskowej, a także w wojskach lądowych, m.in. w 6 Brygadzie Powietrznodesantowej, Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu czy 16 Dywizji Zmechanizowanej. W tej ostatniej żołnierze trenują zarówno dżudo, MMA, jak i krav magę. Regularnie uczestniczą w zawodach, zarówno na szczeblach jednostek wojskowych, jak i międzynarodowych.

Dwóch żołnierzy z dywizji, ppor. mar. Roman Błoiński i st. szer. Andrzej Umański,

reprezentowało polską armię m.in. podczas wojskowych mistrzostw świata w Rio de Janeiro. Regularnie trenuje też sam dowódca dywizji, gen. dyw. Marek Sokołowski. „Tak naprawdę to, na jakim poziomie, jeśli chodzi o walkę wręcz, są żołnierze, zależy od dowódców i organizatorów sportu. U nas w każdej jednostce jest 15–20 instruktorów samej krav magi. Wojskowi oprócz tego, że trenują walkę w bliskim kontakcie, podczas szkoleń posługują się także nożem i bronią”, mówi. „Zresztą w ostatnim czasie sztuki walki stały się modne. Kiedy po raz pierwszy od czterech lat zorganizowaliśmy mistrzostwa Wojska Polskiego w dżudo, chętnych do rywalizacji było więcej, niż mogliśmy wpuścić na matę”.

Walka w bliskim kontakcie jest też stałym punktem szkolenia 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej. Żołnierze trenują ją nawet podczas porannego rozruchu. Oprócz tego odbywają się szkolenia z walki w wodzie, posługiwania się nożem, a na pokazach wyszkolenia można zobaczyć nawet 280 zawiszaków jednocześnie. Nic dziwnego, bo w tej jednostce samych instruktorów samoobrony jest 80. Jeden z nich to kpt. Tomasz Dembiński. Dzięki jego inicjatywie duży nacisk położono w jednostce na krav magę. „Ten system się sprawdza, bo jest prosty. Podczas treningu koncentrujemy się na pamięci mięśniowej, żołnierz ma odruchowo uderzać w odpowiednie miejsca, wiedzieć, kiedy włożyć przeciwnikowi palce w oczy, kiedy i gdzie kopnąć, aby go obezwładnić”, mówi. I dodaje: „Oczywiście, aby walka była skuteczna, potrzebna jest także siła, ale ciosów, które mogą zabić, nie da się wyćwiczyć na człowieku. My trenujemy to osobno, wykorzystujemy do tego tarcze i worki treningowe, dzięki czemu podczas zajęć nie zdarzają się kontuzje”.

Zdaniem Dembińskiego zaletą systemów walki jest to, że one cały czas się rozwijają, więc można je dopasować do potrzeb wojska. „Cechą charaktery-

ŻOŁNIERZA TRZEBA NAUCZYĆ WALKI W WOJSKOWYCH BUTACH I Z BRONIĄ, A NIE W WYGODNYM DRESIE CZY BOSO. CZY ZROBI TO TRENER Z CYWILA?

styczną koreańskiego taekwondo są wyskoki. Choć ten system został opracowany na potrzeby militarne – chodziło o to, aby dzięki niemu np. strącić wojownika z konia – dziś jest nieprzydatny. I nie tylko dlatego, że w razie konfliktu raczej nikt nie walczyłby konno. Czy ktoś wyobraża sobie żołnierza w pełnym umundurowaniu bojowym, który zamiast szybko reagować, bierze rozbieg, aby obalić swojego wroga? Przecież wystarczy tylko kopnąć go w strefę kroku. Może to zrobić każdy, trzeba tylko wykazać się refleksem”, zaznacza.

Zresztą Dembiński wspomina, że trenował różne sztuki walki. I być może robiłby to nadal, gdyby się nie przekonał, że podczas akcji się nie sprawdzają. Krav magę poznał za sprawą brata, Arka Dembiń-





KOMENTARZ

JAROSŁAW GROMADZIŃSKI

Umiejętność walki wręcz powinna być standardem w wyszkoleniu każdego żołnierza, dlatego będzie to priorytetem w naszej dywizji, podobnie jak szkolenie BLOS. Ale już dziś w 1 Brygadzie Pancernej i 21 Brygadzie Strzelców Podhalańskich służą świetni zawodnicy, dlatego w 2020 roku chciałbym zorganizować galę sportów walki, w której będą rywalizowali żołnierze z całej dywizji. Teraz współpracujemy z organizatorem Armia Fight Night. Chcielibyśmy, aby w 2019 roku cztery imprezy odbyły się w naszych garnizonach – w Siedlcach, Chełmie, Rzeszowie i Łomży. Żołnierze się szkolą, walczą, trzeba pokazać, że są gotowi do działania, a tym samym promować sztuki walki. ■

Gen. dyw. JAROSŁAW GROMADZIŃSKI
jest dowódcą 18 Dywizji Zmechanizowanej.

skiego „Motyla”, byłego żołnierza wojsk specjalnych. „Mój brat służył wtedy w Lublińcu, a ja w Giżycku. Spotykaliśmy się i urządzaliśmy sparingi. Jeden z nich zapamiętałem szczególnie. Już miałem obezwładniać brata, kiedy nagle poczułem, że mam czyjeś palce w oczach. Nie wiem, co się dzieje, leżę na glebie, a brat na mnie siedzi. To był mój pierwszy kontakt z krav magą, systemem wywodzącym się z Izraela”, śmieje się Tomasz Dębiński.

MOTORYKA I ODPORNOŚĆ

„Motyl” krav magę poznał podczas służby w 1 Pułku Specjalnym w Lublińcu (dziś Jednostka Wojskowa Komandosów), gdzie uzyskał uprawnienia instruktorskie. Potem, już w Jednostce Wojskowej GROM, odpowiadał za szkolenie specjalsów z walki wręcz w swoim zespole bojowym, a w 2013 roku ukoń-

czył kurs instruktorski krav magi na poziomie expert. Rok później zdobył puchar świata w kick-boxingu, dwukrotnie wywalczył trzecie miejsce w mistrzostwach Europy oraz kilkakrotnie tytuł mistrza Polski. W 2015 został wicemistrzem kraju.

Mimo doświadczeń w wielu dyscyplinach sportów walki nie kryje, że do dziś jest zwolennikiem krav magi. „Szkolenia z walki wręcz są ogromnie ważne. Powody można mnożyć, ale dla mnie tak naprawdę najistotniejsze jest to, że umiejętności zdobyte na treningach można wykorzystać wszędzie, w każdych okolicznościach. Trzeba też pamiętać, że gdy trenujemy sporty walki, to poprawiają się nasza kondycja, motoryka, szybkość, odporność na chwilowy ból, skracamy też czas reakcji tak bardzo potrzebny żołnierzowi. To dla wojska niezwykle ważne”, przyznaje były gromowiec. „Motyl” dodaje, że dla żołnierza umiejętność walki w bliskim kontakcie jest niezbędna, bo



GDY TRENUJEMY SPORTY WALKI, TO POPRAWIAJĄ SIĘ KONDYCJA, MOTORY- KA, SZYBKOŚĆ CZY ODPORNÓŚĆ NA CHWILOWY BÓL

czasami samo użycie broni może nie wystarczyć. „Wiele razy słyszałem o sytuacjach, w których przeciwnik starał się wyrwać broń, co kończyło się tragicznie. I my mieliśmy w wojskach specjalnych takie przypadki. Pewnego razu podczas misji znalazłem się w ciasnym pomieszczeniu. Nagle ktoś próbował wyrwać jednemu z żołnierzy broń. Ale my, dzięki odpowiednim umiejętnościom, wyszliśmy z tej sytuacji cało. Każdy dobrze wiedział, jak poradzić sobie z takim napastnikiem”, wspomina „Motyl”.

Były specjals przyznaje, że w czasie służby w GROM-ie jednym z jego obowiązków było uczenie żołnierzy walki wręcz. I chociaż trenował wtedy kick-boxing i brazylijskie dziu-dzitsu, najwięcej uwagi poświęcał krav madze. „Nie jestem przeciwnikiem MMA czy kick-boxingu. Byłem zawodnikiem, więc znam wartość tych dyscyplin sportu. Ale właśnie o to chodzi. To jest sport – walka w ringu i nic więcej. Oczywiście wypracowujemy siłę, szybkość, kondycję, czyli cechy, które mogą się przydać w wielu sytuacjach, nawet podczas strzelania. Ale jak to wykorzystać w boju?”, mówi Arkadiusz Dembiński. Podaje od razu przykład. W boksie zawodnicy walczą obiema rękami, co w walce z przeciwnikiem na wojnie już się nie sprawdzi. „Nie mogę tak walczyć, bo wówczas karabin będzie wisiał i przekręcał się z lewej strony na prawą. Trzeba znać odpowiednią technikę, przytrzymać broń jedną ręką, tak żeby nie przeszkadzała i żeby nikt mi jej nie odebrał w czasie walki”, dodaje.

SCENARIUSZE Z POLA WALKI

„Motyl” podkreśla, że żołnierze muszą umieć walczyć w bliskim kontakcie, dlatego on podczas szkolenia w GROM-ie oraz obecnie, w czasie zajęć w jednostkach, trenuje wojskowych na przykładach zdarzeń, które miały miejsce na misjach. „Chodzi tu głównie o scenariusze walki w małych pomieszczeniach. Gdy żołnierz w czasie operacji wchodzi do budynku, ma na sobie całe wyposażenie i broń, więc nie rzuci się do walki z przeciwnikiem w parterze. Nie wykona także spektakularnego kopnięcia na wysokość głowy napastnika. To przykłady, które dowodzą, że same sporty walki nie zawsze sprawdzą się w armii”.

Podobne podejście ma „Mixu”, były operator zespołu bojowego Jednostki Wojskowej Komandosów, dziś instruktor wychowania fizycznego i sportów walki, m.in. krav magi i kick-boxingu. W tej ostatniej dyscyplinie przez lata miał wiele sukcesów. „Prywatnie zajmuję się kick-boxingiem, ale cały czas poznaję różne techniki i style sztuk walki. Trzeba pamiętać, że kick-boxing to jest uderzanie, kopanie, żołnierz zaś potrzebuje znacznie większych umiejętności – walki i w parterze, i w stojąco, i z nożem. Na każdej płaszczyźnie i z każdym rodzajem sprzętu”, mówi instruktor. „Kiedy wchodzi się do budynku, który ma 2x2 m, trzeba być przygotowanym na wszystko. Gdy spotkam tam przeciwnika i nie zdążę strzelić, dochodzi do wal-

ki wręcz. Muszę wtedy umieć zareagować”, dodaje komandos. Podoficer z JWK zwraca uwagę na to, że specyfika wojsk specjalnych wymusza działanie w ramach czarnej taktyki, czyli właśnie walki w pomieszczeniach. Takie podejście jest normą w wojskach specjalnych.

W innych jednostkach wygląda to jednak inaczej. „Walka wręcz funkcjonuje tam, gdzie są pasjonaci, ludzie, którzy chcą trenować”, mówi por. Filip Bątkowski z 16 Dywizji Zmechanizowanej, zawodnik MMA, organizator gali Armia Fight Night i instruktor w „Projekcie Wojownik”. „Kiedy uczyłem się w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych, nie odbywały się takie zajęcia, ale organizowaliśmy je sobie jako dodatkowe. Byłem instruktorem dżudo, więc otrzymałem zgodę na to, aby prowadzić treningi. Nie były one jednak obowiązkowe”, mówi por. Bątkowski. „Tak dzieje się do dziś. Często gdy spotykam żołnierzy z innych jednostek, pytają, czy z nimi potrenuję. Żołnierze chcą uczyć się walczyć, tylko nie zawsze mają takie możliwości”, wyjaśnia.

Nic dziwnego, że wielu jest zainteresowanych nauką walki wręcz. Jak bowiem twierdzi por. Bątkowski, „żołnierz po treningu na macie nabiera świadomości, że bez karabinu staje się bezbronny. Uświadamia sobie, że kiedy go straci, będzie musiał radzić sobie za pomocą ciosów, kopnięć, uników. Bez przygotowania to może być trudne”. Jaki jest jego pomysł na zajęcia dla żołnierzy? Regułą powinny być trzy, cztery treningi tygodniowo z mieszanych sztuk walki, składające się z elementów boksu, zapasów, karate i dziu-dzitsu. „Jeśli przeciwnik będzie skracał dystans, wyrwie karabin, to pozostanie walka zapaśnicza, elementy z dziu-dzitsu przydadzą się podczas walki w parterze, a z boksu można wykorzystać takie elementy jak doskok, odskok, zwinność. Dlatego tak ważne jest, aby sztuki walki ze sobą łączyć”, mówi por. Filip Bątkowski. Podkreśla jednak, że kluczową rolę odgrywa instruktor. „Musi znać sztuki walki, dobrze byłoby, gdyby miał doświadczenie w realnej walce, nawet jeśli tylko w tej zawodniczej”, podkreśla.

Kpt. Tomasz Dembiński zwraca uwagę na to, że w armii jest wielu zawodników i instruktorów walki wręcz, ale nie zawsze szkolą oni żołnierzy. Dlaczego? „Kiedyś trzon kadry instruktorskiej sztuk walki stanowili żołnierze w stopniu chorążego, podporucznika. Dziś są to głównie szeregowi. A przecież nie przystoi, żeby podoficer czy oficer został na macie pokonany przez niższego stopniem. To może stanowić barierę psychologiczną”.

To niejedyny powód, dla którego sztuki i sporty walki bywają w polskiej armii traktowane po macoszemu. „Mówi się o tym, aby specjalistów od WF-u zastąpić nauczycielami ze szkół czy trenerami z klubów fitness. A przecież żołnierza trzeba nauczyć walki w wojskowych butach i z bronią, a nie w wygodnym dresie czy boso. Czy robi to trener z cywila?”, pyta twórca systemu walki w bliskim kontakcie. ■



WOJSKOWY INSTYTUT
TECHNICZNY UZBROJENIA

www.witu.mil.pl | witu@witu.mil.pl



Konspiracyjne dżiu-dżitsu

Żołnierze „Parasola” uczyli się technik starojapońskiej sztuki walki.

ANNA DĄBROWSKA

Kilkadziesiąt czarno-białych zdjęć, a na nich dwóch młodych mężczyzn prezentujących techniki walki dżiu-dżitsu. Tak wygląda materiał szkoleniowy, który podczas wojny powstał na potrzeby żołnierzy konspiracyjnego Batalionu „Parasol”, jednego z oddziałów dyspozycyjnych Kierownictwa Dywersji Armii Krajowej, tzw. Kedywu. „To unikatowe fotografie”, mówi Mariusz Olczak, zastępca dyrektora Archiwum Akt Nowych, w którym przechowywane są zdjęcia. Jak podkreśla, nigdzie indziej w dokumentach AK, nawet tych dotyczących pozostałych oddziałów Kedywu, jak „Zośka” czy „Miotła”, nie ma podobnych materiałów.

Z KURSU CICHOCIEMNYCH

„W konspiracji były bardzo rozbudowane szkolenia dotyczące broni, amunicji, wykorzystania materiałów wybuchowych, technik dywersji. Nie było natomiast w programie AK sztuk wal-

ki”, zauważa Olczak. Dopiero, jak dodaje wicedyrektor AAN-u, w marcu 1944 roku gen. dyw. Tadeusz Komorowski „Bór”, komendant główny AK, wydał rozkaz, aby w podległych mu oddziałach przeprowadzać szkolenia ze sportów walki, a konkretnie z dżiu-dżitsu. „Te fotografie pochodzą jednak ze znacznie wcześniejszego okresu. Moim zdaniem powstały około jesieni 1943 roku”, twierdzi historyk, dr Paweł Makowiec.

Niektóre z tych zdjęć pojawiły się w wydanej w 1981 roku monografii Piotra Stachewicza „»Parasol«. Dzieje oddziału do zadań specjalnych Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej”. Nie potraktowano ich jednak jako materiał szkoleniowy. „Uważaliśmy, że to żarty żołnierzy bawiących się w sporty walki”, przyznaje Mariusz Olczak. Zdanie zmienili dopiero, kiedy w maju 2018 roku do AAN-u trafiła cała seria fotografii zrobionych przez Wiesława Raciborskiego „Roberta”,

kwatremistrza „Parasola”. Znalazły się one wśród kilkudziesięciu dokumentów dotyczących Kedywu przekazanych archiwum przez Andrzeja i Piotra Raciborskich, syna i wnuka „Roberta”. „Materiały przetrwały wojnę i powstanie warszawskie schowane w piwnicy w specjalnych skrytkach wybudowanych przez dziadka”, mówił Piotr Raciborski podczas przekazania dokumentów.

Zdaniem dr. Makowca, inspiratorem, a możliwe, że też autorem konspiracyjnego kursu dżiu-dżitsu, był dowódca „Parasola” ppłk Adam Borys „Pług”. Przedwojenny oficer we wrześniu 1939 roku walczył w szeregach 17 Pułku Artylerii Lekkiej, potem przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie przeszedł szkolenie specjalne na kursach dywersyjnych dla żołnierzy mających podjąć walkę z niemieckim okupantem w Polsce. W październiku 1942 roku jako cichociemny został przerzucony do kraju.

Na rozkaz dowództwa Kedywu rozpoczął organizowanie nowej jednostki



ARCHIWUM AKT NOWYCH
KOLEKCJA WIESŁAWA RACIBORSKIEGO

dywersyjnej, składającej się przede wszystkim z harcerzy Grup Szturmowych Szarych Szeregów. Latem 1943 roku powstał nowy oddział do zadań specjalnych. Pierwotnie nosił kryptonim „Agat” (od Anty-Gestapo), potem „Pegaz” (od przeciw Gestapo), a w maju 1944 roku przyjęto nazwę „Parasol”. Celem oddziału było przede wszystkim wykonywanie wyroków śmierci wydanych przez Polskie Państwo Podziemne na głównych zbrodniarzach hitlerowskich i wysokich rangą funkcjonariuszach niemieckiego terroru w okupowanej Polsce. Od września 1943 do lipca 1944 roku oddział przeprowadził 13 operacji specjalnych, m.in. zamachy na Franza Bürckla, komendanta Pawiaka, czy Franza Kutschere, dowódcę SS i policji Dystryktu Warszawskiego.

„»Pług« chciał, aby jego żołnierze byli doskonale wyszkoleni i przygotowani do akcji. Wiedział, jakie zadania ich czekają, przewidywał, że może im się przydać znajomość technik walki wręcz i uznał, że powinien powstać materiał instruktażowy pomagający w nauce podstawowych ciosów”, opowiada dr Makowiec. Jak tłumaczy historyk, „Pług” metody walki wręcz i techniki tzw. cichego zabijania poznał w Wielkiej Brytanii. Nauka tych umiejętności była jednym z ważniejszych punktów szkolenia cichociemnych. Podczas cwi-

czeń polscy żołnierze, którzy podlegali brytyjskiemu Kierownictwu Operacji Specjalnych (Special Operations Executive – SOE), korzystali z brytyjskich podręczników do walki wręcz i instrukcji dla komandosów.

WSZYSTKIE CHWYTY SĄ BARDZO PROSTE I ŁATWE DO NAUCZENIA, DZIĘKI CZEMU SZYBKO MOŻNA WYKORZYSTAĆ NABYTE UMIEJĘTNOŚCI

Wśród autorów tych prac było dwóch brytyjskich żołnierzy: William Fairbairn i Eric Sykes. Podczas służby w policji w Szanghaju, aby lepiej radzić sobie z przemocą na tamtejszych ulicach, opracowali oni proste, ale skuteczne techniki walki wręcz oparte na dźiu-dżitsu, tradycyjnej sztuce walki powstałej w feudalnej Japonii. Wprowadzili je potem do szkolenia agentów SOE, oddziałów komandosów i jednostek sił specjalnych. Autorem innego podręcznika był lekarz, Gordon E. Perrigard, który połączył dźiu-dżitsu ze swoją wiedzą medyczną, aby stworzyć zabójczo skuteczny system walki.

„O tym, że kurs dla »Parasola« był inicjatywą »Pługa«, świadczy m.in. podobieństwo zdjęć i prezentowanych technik do tych pokazywanych w brytyjskich podręcznikach”, dodaje dr Makowiec.

USTAP, ABY ZWYCIEŻYĆ

Na zdjęciach Raciborskiego są pokazane podstawowe techniki dźiu-dżitsu. „Hasłem tej sztuki walki było »ustap, aby zwyciężyć«, czyli należało dać się popchnąć lub pociągnąć, aby zniwelować przewagę przeciwnika. Liczyła się też zwinność, szybkość i skuteczność ruchów”, tłumaczyli instruktorzy jednostki GROM, którzy podczas przekazywania dokumentów do AAN-u omówili elementy systemu walki wręcz stosowanego w „Parasolu” i zaprezentowali techniki pokazane na zdjęciach.

„Wszystkie chwytty są bardzo proste i łatwe do nauczenia, dzięki temu proces szkolenia był krótkotrwały, ale bardzo skuteczny i szybko można było wykorzystać nabyte umiejętności”, podkreślali żołnierze. Jak wyliczali, na zdjęciach widać technikę obrony przed ciosem pałką, duszeniem czy atakiem nożem, rzuty, blokowanie ciosów, chwytty, wykorzystanie dźwigni. „Do dziś te ciosy są stosowane”, dodawali gromowcy.

Do Archiwum Akt Nowych trafiło ponad 30 zdjęć ze szkolenia dźiu-dżitsu. Nie wiadomo, czy ilustrowały one pełen kurs ani w ilu egzemplarzach powstały. „Sądzę, że w najwyżej kilku, a do nauki wykorzystywano też zapewne przedwojenny podręcznik, tak jak podczas szkolenia wojskowego posługiwano się przedwojennymi regulaminami piechoty”, podaje Olczak.

Jak podkreślał w czasie przekazywania dokumentów do AAN-u Andrzej Raciborski, jego ojciec też ukończył kurs dźiu-dżitsu. Znajomość tej sztuki walki pozwoliła mu wyrwać się wraz z dziewięcioma towarzyszami z pułapki zastawionej przez Niemców w jednym z warszawskich mieszkań. „Ojciec zaatakował jednego z pilnujących Niemców, obezwładnił go i zastrzelił. Dzięki temu pozostali mogli pokonać resztę przeciwników. Wszystkim udało się uciec”, opowiadał Raciborski. ■



ST. KPR. TOMASZ
ROŻNIATOWSKI:

„SZTUKI WALKI
TO SPORT, W KTÓ-
RYM KAŻDY ZNAJ-
DZIE COŚ DLA
SIEBIE – DUŻĄ
AKTYWNOŚĆ
FIZYCZNĄ ALBO
WYCISZENIE”

Jesteśmy wojownikami

„Projekt Wojownik” to coś więcej niż trening sztuk walki. To również wsparcie psychologiczne i integracja środowiska weteranów.

MAGDALENA MIERNICKA

Błachowicz, Saleta, Drwal czy Wrzosek – te nazwiska znają wszyscy, którzy kiedykolwiek mieli styczność ze sportami walki. Polscy weterani mogli trenować razem z gwiazdami walki wręcz. A wszystko dzięki „Projektowi Wojownik”, inicjatywie Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej.

Organizatorem cyklu spotkań, które odbywały się w ramach tej akcji na terenie całego kraju, jest płk Szczepan Głuszczyk, weteran operacji wojskowych z Iraku i Afganistanu, szef Oddziału Multimediów WCEO, a także miłośnik sportu. Pomysł na organizację wydarzenia przyszedł mu do głowy, kiedy w telewizji oglądał galę MMA. „Pomyślałem, że warto przygotować dla weteranów zajęcia, które prowadziliby mistrzowie sztuk walki. To lubiani i cieszący się autorytetem sportowcy, więc zajęcia z nimi mogą zmotywować weteranów do ćwiczeń. W końcu nikt lepiej nie zrozumie wojownika niż drugi wojownik”, mówi.

PLEJADA GWIAZD

Pierwsze treningi odbyły się w maju 2018 roku w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu, potem przyszedł czas na 15 Brygadę Zmechanizowaną w Giżycku, Akademię Marynarki Wojennej w Gdyni, 12 Brygadę Zmechanizowaną w Szczecinie, wrocławską Akademię Wojsk Lądowych, 32 Baza Lotnictwa Taktycznego w Łasku, 10 Brygadę Kawalerii Pancernej w Świętoszowie i 6 Brygadę Powietrznodesantową w Krakowie. Wszystko po to, aby w zajęciach mogło wziąć udział jak najwięcej weteranów i by ich miejsce zamieszkania nie było przeszkodą. Okazało się, że wcale nie było. Wielu weteranów jeździło bowiem po całym kraju, by zmierzyć się ze swoimi idolami na macie.

W kilku treningach uczestniczyli m.in. st. kpr. Marta Gajewska i plut. Andrzej Gajewski, weterani misji w Afganistanie, a dziś żołnierze 1 Podlaskiej Brygady Obrony Terytorialnej. „Chociaż ze sztukami walki mamy do czynienia na co dzień, jesteśmy instruktorami krav magi, udało nam się podpatrzeć u naszych trenerów kilka technik. To było bardzo ciekawe doświadczenie”, mówiła kpr. Gajewska.

Plut. Gajewski zwrócił natomiast uwagę, że treningi z wojownikiem to okazja nie tylko do szlifowania umiejętności, lecz także podtrzymywania kontaktów z innymi weteranami. „Na zajęciach spotykamy osoby, które uczestniczą w nich od początku projektu. Zatem nie tylko razem trenujemy, ale też staliśmy się paczką znajomych. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy”, dodaje.

Na wszystkich zajęciach był chor. Marcin Michalak z 1 Dywizjonu Lotniczego w Leżnicy Wielkiej, weteran misji w Afganistanie, który potwierdza słowa plutonowego. „Dobrze, że każdy trening był trochę inny. Ćwiczyliśmy boks z Przemysławem Saletą, MMA (mieszane sztuki walki) z Janem Błachowiczem. Fajne było także spotkanie z Mariuszem Cieślińskim, który pokazał nam techniki muay thai [tajski boks]”, wspomina. „»Projekt Wojownik« to nie tylko treningi, lecz przede wszystkim możliwość zintegrowania naszego środowiska. Ja sam spotkałem tu kolegów, z którymi służyłem na misji”, dodaje.

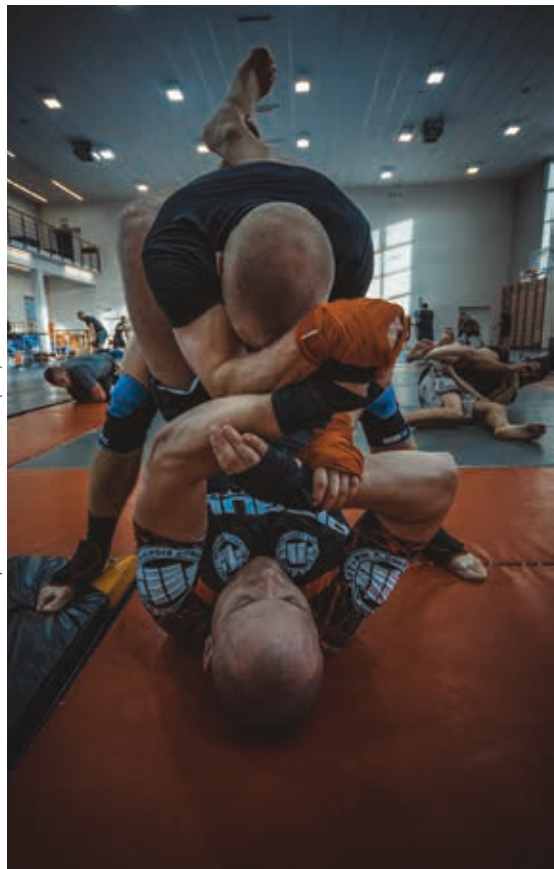
Trenerzy bardzo dobrze ocenili formę i zaangażowanie weteranów. „Jestem zaskoczony, jak dobrze żołnierze są przygotowani do walki”, mówił Marcin „Polish Zombie” Wrzosek, mistrz KSW (konfrontacja sztuk walki), po zajęciach, które poprowadził w Giżycku. „Spodziewałem się amatorów, tymczasem zobaczyłem na macie ludzi z dużymi umiejętnościami.



INSTRUKTORZY:

- **Łukasz „Juras” Jurkowski**, zawodnik MMA, mistrz KSW z 2004 roku
- **Marcin „Zombie” Wrzosek**, zawodnik MMA, w latach 2016–2017 międzynarodowy mistrz KSW, uczestnik programu UFC Ultimate Fighter
- **Piotr „Pietwal” Hallmann**, zawodnik MMA, związany z WFC, Celtic Gladiator i UFC
- **Marcin Tybura**, zawodnik MMA, zwycięzca turnieju M-1 Grand Prix 2013 oraz mistrz M-1 Global wagi ciężkiej, zawodnik UFC
- **Przemysław Saleta**, mistrz świata w kick-boxingu i mistrz Europy w boksie
- **Jan Błachowicz**, zawodnik MMA, zajmuje trzecie miejsce w wadze półciężkiej w rankingu UFC
- **Mariusz Cieśliński**, mistrz świata muay thai oraz **Michał Bobrowski**, zawodnik federacji Babilon MMA
- **Tomasz „Gorilla” Drwal**, zawodnik MMA, związany z Federacją KSW, pierwszy Polak, który walczył w federacji UFC. Założyciel Szkoły Walki Drwala

NATALIA WAWRZYNIAK / 10 BKPanc (3)



Nawet jeśli komuś brakowało doświadczenia, nie sprawiało to problemu. Żołnierze wykonywali polecenia od razu, niczego nie musiałem dwa razy powtarzać. Nic dziwnego, przecież wszyscy jesteśmy wojownikami, mimo że walczymy na innych frontach”, relacjonował w Łasku Jan Błachowicz, zawodnik MMA, który zajmuje trzecie miejsce w wadze półciężkiej w rankingu Ultimate Fighting Championship (UFC).

W zajęciach uczestniczyli też wojskowi, którzy ze sportami walki zetknęli się po raz pierwszy. „Jeśli chodzi o poziom wykształcenia, to różnicowanie na zajęciach było bardzo duże, ale to nie było istotne. W końcu chodziło o to, aby się spotkać i razem potrenować. Ci bardziej doświadczeni pomagali początkującym”, wyjaśnia płk Głuszczyk. Wtórzy mu por. Filip Bątkowski z Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu, zawodnik MMA i organizator gali „Armia Fight Night”. Oficer także prowadził zajęcia podczas „Projektu Wojownik”. „Fajne jest to, że osoby, które do tej pory nie miały styczności ze sztukami walki, nie tylko przyszły na nasze zajęcia, ale też zdecydowały się kontynuować przygodę z tym sportem – kilkoro z nich zapisało się na treningi w swoich okolicach. Obudzili w sobie wojowników, a to jest bezcenne”, podkreśla.

SIŁA DUCHA

„Projekt Wojownik” to coś więcej niż same treningi. Jak twierdzi mjr dr Angelika Szymańska, psycholog z 12 Bryga-

dy Zmechanizowanej, „walka na macie to dobry sposób na rozładowanie napięcia, również dla weteranów wracających z misji. Ważne, że w tym projekcie zajęcia prowadzą profesjonalni zawodnicy. Oni doskonale wiedzą, że walka z samym sobą jest czasem dużo trudniejsza niż z przeciwnikiem. Dlatego często z żołnierzami rozumieją się bez słów”. Mjr dr Szymańska zwraca jednak uwagę, że trening fizyczny nie zastąpi specjalistycznej terapii. Dlatego organizator zapewnił żołnierzom także spotkania z psychologiem, który wyjaśniał, w jaki sposób negatywne emocje można przekuć w sportowe sukcesy, a także z dietetykiem, który opowiadał o tym, jak powinna wyglądać dieta sportowca, aby trening był jak najbardziej efektywny.

Swoją historią dzielił się z uczestnikami treningów także st. kpr. Tomasz Roźniatowski, który podczas misji w Afganistanie stracił rękę. Dziś służy w Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych, Żołnierz opowiedział kolegom o swoim wypadku i o tym, jak aktywność fizyczna pomogła mu dojść do siebie. „Polecam »Projekt Wojownik« wszystkim weteranom. Sztuki walki to sport, w którym każdy znajdzie coś dla siebie: dużą aktywność fizyczną albo wyciszenie”, zaznaczał.

Organizator wydarzenia zaprosił do udziału w projekcie także wojskowych instruktorów WF-u oraz podchorążych. „Zależało nam na tym, aby wiedza, którą przekazują zawodnicy, nie trafiała jedynie do uczestników treningów. Stąd



TRZY PYTANIA DO

Przemysław Saleta

Dlaczego zdecydował się pan przeprowadzić trening dla weteranów?

W ten sposób chciałem pokazać, że ich wspieram. Nigdy nie byłem w wojsku, ale przy okazji różnego rodzaju wydarzeń miałem możliwość poznania uczestników misji. Dużo z nimi rozmawiałem, często mówili o tym, że po powrocie do kraju mają problem z przystosowaniem się do codzienności. Poza tym uważam, że ich praca jest niedoceniana, a nawet zdarza się, że są obrażani. Moim zdaniem to skandal.

Czy sztuki walki mogą pomóc w powrocie do codzienności?

Słyszałem od żołnierzy, że problem jest przede wszystkim brak adrenaliny, której wysoki poziom na misji jest normalny. Myślę, że trening sztuk walki może dać im jej namiastkę. Sam uprawiałem kilka sportów o różnym stopniu ryzyka, na przykład wyścigi motocyklowe. Dlatego wiem, że poziom adrenaliny, który pojawia się, kiedy człowiek wchodzi na ring, jest nieporównywalny z żadnym innym.

A co z kontrolą emocji, panowaniem nad sobą?

W ringu agresja jest potrzebna, ale musi być pod kontrolą. Jeśli ktoś traci zimną krew, przestaje nad sobą panować, traci kontrolę także nad przeciwnikiem i naraża się na kontrę. Poza tym człowiek jest w dobrej kondycji, jest bardziej pewny siebie. Wie, że jest silny, nie musi tego udowadniać. ■

PRZEMYSŁAW SALETA jest mistrzem świata w kick-boxingu, a także mistrzem Polski i Europy w boksie zawodowym.

PRAWIE 450 POLSKICH ŻOŁNIERZY TRENOWAŁO ZE ŚWIATOWEJ SŁAWY ZAWODNIKAMI SPORTÓW WALKI

obecność wuefistów. Wierzę, że kiedy wrócą oni do swoich jednostek, przekażą ją dalej”, mówi płk Szczepan Głuszcak. „Podobnie ze studentami wojskowych uczelni. To oni będą dowódcami plutonów, kompanii, batalionów, brygad. Może któryś z nich kiedyś zostanie szefem Sztabu Generalnego. Jeśli teraz pokażemy im, że robimy coś dla weteranów, oni będą o tym pamiętać”, dodaje oficer z WCEO.

Ramię w ramię z Polakami ćwiczyli także żołnierze armii sojuszniczych. W Giżycku na treningu stawili się Amerykanie, Chorwaci i Rumuni z Batalionowej Grupy Bojowej NATO. Oprócz tego zajęcia odbyły się także w polskim kontyngencie wojskowym, który stacjonuje w Republice Łotewskiej. Trenowali żołnierze z Polski, Łotwy, Kanady, Słowacji oraz Włoch. Zajęcia poprowadził Tomasz „Gorilla” Drwał, pierwszy Polak, który walczył w UFC, największej na świecie federacji MMA. W sumie w „Projekcie Wojownik” wzięło udział

440 osób, z czego 300 to weterani operacji wojskowych poza granicami kraju. „Wydaje mi się, że »Projekt Wojownik« odniósł sukces, bo jeśli po zajęciach udało się pomóc chociaż jednej osobie, chociaż jedna poczuła się lepiej, a wiem, że tak jest, to uważam, że cel został osiągnięty. Udało nam się pomóc weteranom w walce ze stresem, nie tylko związanym z misjami, lecz także tym codziennym”, mówi pułkownik.

Oficer jednak nie zamierza spocząć na laurach. Już w styczniu wystartuje kolejna edycja wydawnictwa. Tym razem dzięki współpracy WCEO ze Stowarzyszeniem Rodzin Poległych Żołnierzy „Pamięć i Przyszłość” w treningach będą mogli uczestniczyć także bliscy tych, którzy z misji nie wrócili. „Chciałbym zaangażować do działania rodziny poległych, bo to grupa społeczna, która jest trochę na uboczu. Co prawda jednostki wojskowe tym osobom pomagają, ale ciągle niewiele się o nich mówi”, dodaje. ■

Kolejny trening odbędzie się 22 i 23 stycznia 2019 roku w 22 Karpackim Batalionie Piechoty Górskiej w Kłodzku. Każdy, kto chciałby wziąć w nim udział, powinien zgłosić się do organizatora, wysyłając zgłoszenie za pośrednictwem facebookowej strony projektu lub wysłać e-mail na adres projekt.wojownik@gmail.com



ARMIA

/ KONDYCJA

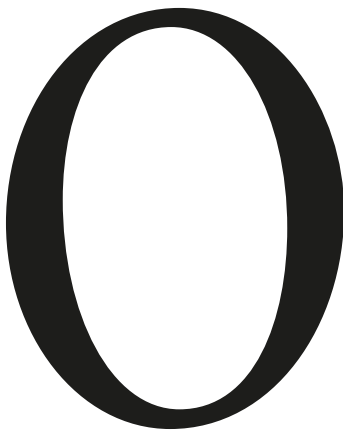


SILNI SZYBCY WYTRZYMALI

Nowe przepisy dotyczące egzaminów
ze sprawności fizycznej żołnierzy obowiązują
od 1 stycznia 2019 roku.

**Kobiety i mężczyźni będą zaliczać
te same konkurencje.**

PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



tym, że roczny egzamin ze sprawności fizycznej ma się zmienić, żołnierze wiedzieli już od roku. Nie wszyscy jednak zdążyli się oswoić z nowymi wytycznymi. Entuzjastów wprowadzonych regulacji nie brakuje, ale są i tacy, którzy krytykują niektóre elementy testu. Największe kontrowersje budzi pokonanie na czas ośrodka sprawności fizycznej. Czy OSF dobrze sprawdzi siłę, szybkość i wytrzymałość żołnierzy? Przekonamy się już w maju, kiedy to wojskowi po raz pierwszy podejść do nowych egzaminów.

DŁUGI ROZBIEG DO ZMIAN

Każdego roku żołnierze zawodowi muszą zaliczyć egzamin ze sprawności fizycznej. Jeszcze w 2017 roku w jego skład wchodziły takie konkurencje, jak marszobieg na dystansie 3 km lub pływanie w czasie 12 minut (kobiety – marszobieg na 1000 m), podciąganie na drążku lub ugięcia ramion, skłony tułowia w ciągu dwóch minut oraz bieg po tzw. kopercie, który mężczyźni mogli zamienić na bieg wahadłowy 10 x10 m. Ustalone normy i ćwiczenia w formie testu obowiązywały od 2008 roku. Wtedy też te wymogi zostały obniżone.

Zdania na temat wymagań egzaminacyjnych zawsze były podzielone. Wiele osób twierdziło, że są one zbyt niskie, a same konkurencje w niedostateczny sposób weryfikują sprawność żołnierzy. W resorcie obrony narodowej podejmowano więc próby zmodyfikowania testów z WF-u. Na przykład w 2012 roku rozpoczęła się dyskusja o zmianie ćwiczeń dla kobiet. Panie w mundurach chciały na równi z mężczyznami biegać na 3 km, podciągać się na drążku i zaliczać bieg wahadłowy. Propozycje te nie zostały jednak przyjęte.

Cztery lata później podjęto kolejną próbę reform testów sprawnościowych. Szef MON-u powołał wówczas zespół, który miał opracować nowe ćwiczenia i normy zróżnicowane ze względu na płeć, grupy wiekowe oraz jednostki wojskowe i zajmowane stanowiska służbowe. Jego zadaniem było także przygotowanie nowych zasad i kryteriów oceny sprawdzianu. Po wielu miesiącach udało się wypracować rozwiązania, które obowiązują od 1 stycznia 2019 roku. Sprawdzian będzie

ujednolicony dla kobiet i mężczyzn, dojdą też nowe konkurencje dla wybranych grup żołnierzy.

„To nie jest żadna rewolucja. Podczas opracowywania nowych ćwiczeń i norm uwzględniliśmy kryteria obowiązujące przed 2008 rokiem. Pod uwagę wzięliśmy m.in. różnice procentowe w najlepszych wynikach w biegach długodystansowych uzyskiwanych przez mężczyzn i kobiety w sporcie wyczynowym. Przyjrzeliliśmy się także, jak egzaminy sprawnościowe wyglądają w innych państwach NATO. Jako jedyni na 3 km biegają Norwegowie, żołnierze z pozostałych państw zaliczają tzw. test Coopera. My pozostaliśmy przy marszobiegu”, mówi ppłk Mirosław Bembnowicz, szef Wydziału Wychowania Fizycznego i Sportu Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych i Szkolenia Sztabu Generalnego WP.

Znowelizowane rozporządzenie ujednolici np. konkurencję marszobiegu dla obu płci. Dotychczas panowie mierzyli się na dystansie 3 km, a kobiety – 1 km. W tym roku dla wszystkich żołnierzy wyniesie on 3 tys. m. „Jeśli na danym stanowisku wymagamy od żołnierzy jednakowych kwalifikacji, to także w wypadku sprawności powinno tak być”, tłumaczy ppłk Bembnowicz. Dodaje jednak, że opracowane zasady uwzględniają różnice biologiczne oraz możliwości wydolnościowe kobiet i mężczyzn. Dlatego mimo takiego samego dystansu normy czasowe będą dla nich różne. Aby dostać ocenę bardzo dobrą, mężczyzna do 25 roku życia będzie musiał przebiec 3 km w ciągu 12 minut i 30 sekund, natomiast kobieta – w czasie 14 minut i 10 sekund.

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Rozporządzenie ujednolici także konkurencje sprawdzające siłę żołnierzy. Dotychczas panie wykonywały ugięcia ramion na ławeczce, teraz zaś tak jak mężczyźni będą mogły wybrać między pompkami a podciągnięciami na drążku. Normy dla nich są niższe o prawie 40% w stosunku do mężczyzn, w zależności od grupy wiekowej. Kobieta z sił powietrznych w wieku 31–35 lat będzie musiała wykonać na ocenę bardzo dobrą sześć podciągnięć, a mężczyzna 11. Takie same dla obu płci będą też konkurencje testujące zwinność i sprawność. „Dla kobiet obok biegu zygzakiem wprowadziliśmy do wyboru bieg wahadłowy 10x10, tu normy są niższe o 5% od tych ustalonych dla mężczyzn”, mówi oficer ze Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Kobieta w wieku



PŁK MIROSŁAW BEMBNOWICZ:
„Zaproponowaliśmy, by ocena z marszobiegu była kluczowa przy ostatecznej ocenie ze sprawdzianu”.

SPRAWDZIAN Z WF-U TO NIE ZAWODY SPORTOWE, LECZ JEDNO Z ZADAŃ, KTÓRE ŻOŁNIERZ MUSI WYKONAĆ. MA TEŻ CZAS I MOŻLIWOŚCI, BY SIĘ DO NIEGO WŁAŚCIWIE PRZYGOTOWAĆ

OSIEM GRUP NA TEŚCIE Z WF-U

Bez zmian zostanie dotychczasowy podział na osiem grup wiekowych (grupa I – do 25 lat, grupa II – od 26 do 30 lat, III – 31–35, IV – 36–40, V – 41–45, VI – 46–50, VII – 51–55, VIII – powyżej 55 lat). Zmodyfikowane zostały natomiast niektóre kolumny tabeli, różnicujące żołnierzy, m.in. ze względu na rodzaj jednostki wojskowej i zajmowane stanowisko. Obok dowódców niższych szczebli (batalionu,

kompanii, drużyny, sekcji) i pozostałych żołnierzy wojsk specjalnych znaleźli się też spadochroniarze. Do przedostatniej kolumny tabeli, pod nazwą „pozostali żołnierze”, przesunięto z kolei wojskowych zajmujących stanowiska służbowe w instytucjach cywilnych oraz w korpusach: medycznym, sprawiedliwości i obsługi prawnej, duszpasterstwa, wychowawczym (orkiestry i zespoły). Od 2008 roku

byli oni przypisani do kolumny V, zarezerwowanej głównie dla żołnierzy z kategorią „zdolny z ograniczeniami”. Zdaniem członków zespołu zmiana była konieczna, bo nie może być tak, że zdrowi żołnierze: prawnicy, lekarze czy ci z korpusu wychowawczego, zdają egzamin sprawnościowy według takich samych norm jak żołnierze, którzy mają problemy zdrowotne, ale mogą pełnić służbę. ■

26–30 lat, aby dostać ocenę bardzo dobrą, będzie musiała przebiec w czasie 31 sekund, mężczyzna 29,5 sekundy.

Nowością jest też system oceniania. Ten dotychczasowy, zdaniem autorów zmian, nie mobilizował żołnierzy do zaliczenia marszobiegu lub pływania na ocenę pozytywną. Każda konkurencja była bowiem traktowana oddzielnie, a ogólną notę ze sprawdzianu stanowiła średnia poszczególnych ocen. „Wielu żołnierzy nie podejmowało trudu i w ogóle nie biegło na 3 km. Podchodzili do konkurencji na hali, a gdy uzyskiwali trzy piątki, to nawet przy dwójce z biegu mieli

finalnie czwórkę. To nie był WF, tylko matematyka”, mówi „Mixu”, instruktor wychowania fizycznego Jednostki Wojskowej Komandosów. Podoficer zaznacza przy tym, że ta sytuacja nie dotyczy lublinieckiej jednostki. „Średnia z ocen utrzymuje się u nas na bardzo wysokim poziomie: 4,78. Nie mamy problemu ani z trójkami, ani ze zwolnieniami lekarskimi”, przyznaje. Równie wysoką średnią może się pochwalić gliwicki Agat. „W jednostce każdy chce osiągnąć jak najlepszy wynik, więc nie o same oceny tu chodzi. W ubiegłym roku mieliśmy tylko trzy trójki, a większość to



czwórki i piątki. Egzamin z wychowania fizycznego to bardzo ważny test”, mówi kpt. Mariusz Łapeta, szef wychowania fizycznego w JW Agat i rzecznik prasowy jednostki. Instruktorzy WF-u wyjaśniają, że chociaż żołnierze tak często rezygnowali z biegu, to właśnie ta część egzaminu sprawnościowego jest kluczowa. „Trzeba się do niej przygotować. Pokonać ból i głód tlenowy, czyli zawroty głowy. Przy tym dystansie od razu widać, kto trenował przed testem”, uzupełnia kpt. Łapeta.

Tego samego zdania są specjaliści ze Sztabu Generalnego. „Młody żołnierz nie wygląda dziś źle. Zwykle ma atletyczną budowę ciała. Taka osoba jest silna, ale niekoniecznie wydolna. A armia potrzebuje wytrzymałych żołnierzy. Dlatego zaproponowaliśmy, by ocena z marszobiegu była kluczowa przy ostatecznej nocie ze sprawdzianu”, mówi ppłk Bembnowicz. Wyniki ostatnich egzaminów pokazały, że wytrzymałość jest najslabiej ukształtowaną cechą motoryczną żołnierzy. „Te dane jednak nie do końca pokazują ich faktyczną kondycję. Spośród mężczyzn zdających test z marszobiegu na 3 km ocenę niedostateczną otrzymało niemal 16,5 tys. Ale należy pamiętać, że około 10 tys. żołnierzy z różnych powodów w ogóle nie podeszło do sprawdzianu”, dodaje ppłk Bembnowicz.

Nowy system oceniania ma takie sytuacje wyeliminować. Już podczas najbliższych egzaminów z WF-u wszyscy żołnierze będą musieli podejść do konkurencji biegowej lub pływania. Jeśli tego nie zrobią, ocena końcowa nie będzie mogła być wyższa niż dostateczna. A to z kolei będzie miało wpływ na opiniowanie służbowe i np. – tak jak w jednostkach specjalnych – wysokość wypłacanego dodatku. Słaba ocena może mieć także znaczenie m.in. przy rozstrzygnięciu, którego z żołnierzy wysłać na kurs, szkolenie czy wyznaczyć do awansu. „Nasz poprzedni przełożony, dziś dowódca wojsk specjalnych, ściśle powiązał wypłacanie dodatku specjalnego z oceną z WF-u i opiniowaniem. Na początku ludzie byli zdziwieni, ale ostatecznie się podporządkowali i zaczęło to działać. Poza tym ci, którzy nie dostali piątki z WF-u, mieli tzw. karne zajęcia, czyli dodatkową godzinę tygodniowo”, mówi kpt. Łapeta.

OSF: RELIKT PRZESZŁOŚCI?

Nowością w tegorocznym sprawdzianie będą trzy konkurencje: biegowy test siłowy (BTS), biegowy test zwinnościowy (BTZ) oraz tor prze-



WOJSKOWA ODZNAKA SPRAWNOŚCI FIZYCZNEJ

Zmiany czekają także tych, którzy w tym roku zamierzają zdobyć Wojskową Odznakę Sprawności Fizycznej. W 2017 roku żołnierz musiał w trakcie egzaminu z WF-u zaliczyć wszystkie konkurencje według swojej grupy wiekowej, ale zgodnie z normami sprawnościowymi dla wojsk specjalnych. Od tego roku egzamin na WOSF będzie przeprowadzany oddzielnie, w październiku.

szkód dla wybranych grup żołnierzy. Będą je zaliczać, zamiast brzuszków, przede wszystkim żołnierze do 30. roku życia, głównie z zespołów bojowych jednostek wojsk specjalnych i Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej, piloci, a także dowódcy niższych szczebli. Na torze przeszkód w ośrodku sprawności fizycznej żołnierz będzie musiał m.in. przeskoczyć rów, wbiec na pochylnię, przeczołgać się przez tunel i wspiąć na ściankę za pomocą liny. Gdy w jednostce nie ma OSF-u, żołnierze będą zdawać BTS z elementami sprawdzającymi szybkość, motorykę, zwinność, skoczność – to m.in. podciąganie na drążku, skłony i pokonywanie różnych przeszkód. BTZ

NOWOŚCIĄ W TEGOROCZ- NYM SPRAW- DZIANIE BĘDĄ: BIEGOWY TEST SIŁOWY (BTS), BIEGOWY TEST ZWINNOŚCIOWY (BTZ) ORAZ TOR PRZESZKÓD

z wymykami, skokami przez skrzynię, przewrotami na materacu będą z kolei zaliczać żołnierze sił powietrznych: piloci i nawigatorzy mający do 30 lat.

„Te trzy nowe konkurencje wzbudziły najwięcej kontrowersji. Wskazywano, że to powrót do archaizmów, a same ćwiczenia są kontuzjogenne. Ale przecież żołnierze jeżdżą rosomakami, biegają po poligonach, mają zajęcia z survivalu, bytowania. O czym więc mówimy? To konkurencje najlepiej i wszechstronnie sprawdzające sprawność żołnierza. Z naszego punktu widzenia to żadna nowość, bo od lat jest to obecne w szkoleniu programowym żołnierzy”, mówi ppłk Bembnowicz. Z tą opinią nie zgadzają się żołnierze niektórych jednostek. „Tory przeszkód rzeczywiście sprawdzają żołnierzy pod kątem wszystkich cech motorycznych: zwinności, wytrzymałości, szybkości i siły. I to jest niewątpliwy plus. Problem w tym, że przez OSF zaliczany na czas będzie mnóstwo kontuzji. Oczywiście w ciągu roku żołnierze mają możliwość szkolić się w ośrodku sprawności fizycznej, ale tych godzin jest za mało, by pozwoliło im to dobrze przygotować się do sprawdzianu”, mówi „Mixu” z JWK.

Z torem przeszkód zmierzają się np. żołnierze służący w Gliwicach. I jak przyznają tamtejsi instruktorzy WF-u, budzi to największe obawy, niezależnie od płci żołnierzy. „Zgodnie z przepisami trenować na OSF-ie można od kwietnia do końca października. Trzeba jednak pamiętać, że żoł-

nierze mają bardzo dużo różnych zajęć i systematyczne treningi nie zawsze będą możliwe”, przyznaje kpt. Łapeta. Oficer z Agatu zwraca uwagę jeszcze na jedną rzecz: „Operatorzy wojsk specjalnych są na wyjazdach szkoleniowych poza jednostką wojskową średnio przez sześć czy osiem miesięcy w roku. I oczywiście w terenie mogą przygotowywać się do konkurencji egzaminacyjnych, wszystkich oprócz OSF-u i BTS-u. Ja nie jestem przeciwnikiem OSF-u. Przeciwnie, uważam że mamy jeden z najtrudniejszych torów przeszkód w armiach NATO. I myślę, że powinniśmy szkolić tam żołnierzy. Ale zastanawiam się, czy aby na pewno na czas i w czasie egzaminów”, podkreśla.

TO NIE ZAWODY

Niepokoju nie podziela ppor. Magdalena Żur-Rajewska, tegoroczna absolwentka Akademii Wojsk Lądowych. Służy w 16 Batalionie Powietrznodesantowym (6 BPD) i w maju przystąpi do egzaminu sprawnościowego. „Podczas studiów wielokrotnie zaliczaliśmy egzaminy sprawnościowe, m.in. tory przeszkód OSF czy BTS. Jeśli przeszkody są dobrze przygotowane, suche, a żołnierze mają możliwość, by ćwiczyć pokonywanie przeszkód, to nie powinno być z tym problemu. Wydaje mi się, że to dobry sposób, by sprawdzić wszechstronną sprawność żołnierzy”, podkreśla oficer. Zaznacza także, że jest zadowolona, że dystans biegowy dla kobiet został wydłużony do 3 tys. m. „Żeby przebiec 3 km w dobrym czasie, trzeba mieć kondycję. Cieszę się z tych zmian”, potwierdza pani podporucznik. Podobne zdanie ma Magda, oficer z Jednostki Wojskowej Agat. Jest jedyną kobietą w gliwickiej jednostce specjalnej, która będzie musiała pokonać OSF. „To na pewno będzie wymagało treningów. Muszę przede wszystkim nauczyć się, jak poprawnie technicznie wykonywać zadania. Ale instruktorzy WF-u z jednostki bardzo mi w tym pomagają, więc jestem spokojna. Teraz będę ćwiczyć w hali, wiosną ruszę na OSF”.

Znowelizowane rozporządzenie podwyższyło też niektóre normy konkurencji dla mężczyzn, jak chociażby tych sprawdzających siłę mięśni brzucha. Na przykład żołnierze w wieku 31–35 lat będą musieli w czasie 2 minut zrobić 55 skłonów tułowia zamiast 65, jak było dotychczas.

Czy tegoroczny egzamin właściwie zweryfikuje sprawność żołnierzy? Specjaliści z SGWP zapewniają, że tak. Oczekują jednak, że średnia z egzaminu rocznego, która w całej armii utrzymywała się na poziomie 4,47, będzie niższa. Instruktorzy wychowania fizycznego z jednostek przyznają, że na pewno gorsze oceny uzyskają żołnierze, którzy będą musieli zaliczyć OSF lub BTS oraz kobiety, które spróbują swoich sił na dystansie 3 tys. m. „Sprawność fizyczna wpisuje się w zawód żołnierza. Ale nie demonizujmy. Sprawdzian z WF-u to przecież nie zawody sportowe, a jedno z zadań, które żołnierz musi wykonać. Ma też czas i możliwości, by się do niego właściwie przygotować”, podsumowuje ppłk Bembnowicz. ■

Tylko silne ogniwa

Wszyscy żołnierze służący w pododdziałach bojowych jednostek specjalnych będą zdawać roczny egzamin sprawnościowy według jednakowych wymagań. Dla kobiet nie będzie ani specjalnie dobranych konkurencji, ani zaniżonych wymagań czasowych.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Normy powinny być ustalone pod względem zadań żołnierza na polu walki. Kto zalicza, ten jest żołnierzem. Czy kobiety będą miały jakieś ulgi na polu walki ze względu na płeć? Nie. Więc dzisiejsze, niższe normy dla kobiet są absurdalne”. Albo: „Każdy, kto odstaje pod względem fizycznym czy wyszkolenia, jest słabszym ogniwnem zespołu. Takie ogniwo nie ma płci. Naszym zadaniem jest zminimalizowanie możliwych skutków osłabienia zespołu (...). To szczególnie ważne, kiedy stawką jest ludzkie życie. I właśnie dlatego nie ma miejsca na zróżnicowanie norm względem płci”. To przykładowe komentarze dotyczące konieczności zrównania wymagań ze sprawności fizycznej dla żołnierzy, bez względu na płeć.

Ta dyskusja toczy się od lat, bo zgodnie z obowiązującymi do 2018 roku przepisami kobiety i mężczyźni wykonywali testy różniące się od siebie. I tak na przykład, kobiety biegały na 1000 m, mężczyźni na 3000 m. Mężczyźni twierdzili, że to niesprawiedliwe, bo żołnierz na polu walki nie ma płci, wykonuje jednakowe zadania, nosi to samo oporządzenie i broń, powinien więc być oceniany według tych samych norm. Kobiety zaś tłumaczyły, że mają inną budowę ciała, mniejszą wytrzymałość i inne biologiczne uwarunkowania, nie mogą więc równać do męskich standardów. Wydawało się więc, że tych dwóch skrajnych stanowisk nie da się pogodzić.

Nowe światło na ten spór rzuca rozporządzenie ministra obrony narodowej z 27 marca 2018 roku

AVEBREAK MEDIA MICRO / FOTOLIA



w sprawie przeprowadzania sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierzy zawodowych. W myśl zmienionych przepisów kobiety i mężczyźni będą oceniani podczas prób wysiłkowych w tych samych konkurencjach: marszobiegu na 3000 m (lub pływania w czasie 12 minut), podciągania na drążku (lub ugięcie ramion na ławeczce – wybór należy do kobiety), biegu wahadłowego, biegu zygzakiem, skłonów tułowia w czasie 2 minut (od trzeciej grupy wiekowej). Będą także zaliczać tor przeszkód OSF (ośrodek sprawności fizycznej) lub BTS (biegowy test siłowy). Personel pokładowy z sił powietrznych – BTZ (biegowy test zwrotnościowy). Mimo jednakowych konkurencji wprowadzono dla kobiet i mężczyzn inne normy czasowe.

Różnice nie dotyczą wszystkich kobiet w mundurach. Kierownictwo resortu obrony zdecydowało bowiem, że kobiety i mężczyźni zajmujący stanowiska służbowe w zespołach bojo-

wych, zespołach szturmowych jednostek wojsk specjalnych i w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej w Warszawie będą egzaminowani ze sprawności fizycznej z tych samych ćwiczeń i według tych samych norm czasowych.

SPECJOLNIERKI

Ppłk Mirosław Bembnowicz, szef Wydziału Wychowania Fizycznego i Sportu Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych i Szkolenia Sztabu Generalnego WP, wyjaśnia, że wprowadzone zmiany były konsultowane przez różnego rodzaju instytucje wojskowe i środowiska, w tym także Radę do spraw Kobiet w MON. „Oczywiście nie było to proste. Kobiety nie zgadzały się na nasze propozycje, ale ostatecznie doszliśmy do porozumienia. W egzaminie wprowadzono te same konkurencje i różne normy czasowe. W praktyce oznacza to, że 25-letnia kobieta



będzie oceniana tak jak 41-letni mężczyzna”, tłumaczy oficer z SGWP.

Jeden z byłych żołnierzy wojsk specjalnych, wspominając swoje zadania na misji w Afganistanie, przyznaje, że niekiedy w operacjach specjalsów brały udział kobiety żołnierze i nie zawsze ta współpraca układała się dobrze. „Niestety nie były to kobiety, które miały podobne wyszkolenie do nas, musiały więc być objęte specjalną opieką. A to mocno komplikowało nam pracę. Z pewnością panie o tym samym lub podobnym poziomie wyszkolenia i sprawności fizycznej ułatwiłyby nam działania”, mówi ekskomandos.

Instruktorzy wychowania fizycznego z jednostek specjalnych popierają unifikację wymagań dla kobiet i mężczyzn. Wyjaśniają, że bojówki, to kluczowy element jednostek specjalnych, dlatego wymagania wobec służących tam ludzi – niezależnie od płci – muszą być bardzo wysokie i co ważne: jednakowe.

„W bojówkach nie ma podziału na płeć, więc każdy musi być w superformie. Żołnierze wykonują ciężką i trudną robotę. Jeśli kobiety chcą służyć w zespołach bojowych, to muszą być tak samo sprawne jak ich koledzy z sekcji. W sytuacji bojowej wróg nie zapyta o płeć i nie będzie wolniej strzelał do kobiet”, mówi „Mixu”, były operator, a dziś instruktor wychowania fizycznego z Jednostki Wojskowej Komandosów.

PODWÓJNY WYCISK

W lublinieckiej jednostce żadna z kobiet nie służy w zespole bojowym, są w sztabie czy zabezpieczeniu. „Jak kobietom marzy się służba w pododdziałach bojowych, to muszą być świadome, do czego aspirują. Normy i wymagania w takim miejscu bezwzględnie powinny być takie same dla wszystkich. A jeśli ktoś to kwestionuje, to znaczy, że pomylił miejsce służby”, podkreśla kpt. Mariusz Łapeta, instruktor WF-u z Jednostki Wojskowej Agat. „Są kobiety, które siłą mogą dorównać mężczyźnie. A służba u nas powinna być dla naprawdę starannie wyselekcjonowanych osób”, dodaje.

Obecność kobiet w pododdziałach bojowych i szturmowych WS i oddziału specjalnego ŻW nie jest powszechna. Na razie to niewielka grupa. Jak panie poradzą sobie na egzaminie z WF-u, czy zdadzą test zgodnie ze swoimi normami wiekowymi i dostaną piątki? Z odpowiedzią na te pytania trzeba poczekać do maja i czerwca, kiedy odbędą się egzaminy roczne.

„Myślę, że nie będzie to dla nich łatwe. U nas w jednostce jest kilka kobiet, ale żadna nie służy »na szturmie«. A i tak widzę, że będą miały problem z zaliczeniem WF-u na dobrą ocenę, chociaż je będą obowiązywały inne normy czasowe niż pań służących w bojówkach”, mówi kpt. Łapeta. Kilka tygodni temu przeprowadził w jednostce zajęcia pokazowo-metodyczne, a potem próbny sprawdzian z WF-u. Tylko połowa z kobiet służących w gliwickiej jednostce specjalnej zdała egzamin biegowy na 3000 m zgodnie z czasem wymagany w ich grupie wiekowej. Dwie panie w ogóle nie dały rady zmierzyć się z tym

dystansem. „Jedna nie zaliczyła także toru przeszkód OSF. Dla mnie niepokojące jest jednak to, że o zmianach w egzaminie z WF-u kobiety wiedziały od roku, a swoich sił na dystansie 3 km spróbowowały pierwszy raz dopiero w październiku. Oznacza to, że straciły dziesięć miesięcy treningów”, dodaje kpt. Łapeta.

NIE DLA REKORDÓW

A jak same panie podchodzą do tego tematu? Szer. „Wydra” z Jednostki Wojskowej Komandosów, absolwentka Akademii Wychowania Fizycznego, przyznaje, że czekała na zmiany w egzaminach z WF-u. „W końcu! Wiecznie słyszałyśmy, że mamy fory. Uważam, że dobrze to zostało przemyślane: te same konkurencje i inne normy czasowe dla kobiet poza zespołami bojowymi”, mówi. Dla niej dystans 3000 m nie stanowi problemu i cieszy się, że będzie mogła w końcu podciągać się na drążku, zamiast robić ugięcia ramion na ławeczce. „Drażek jest

trudny, bo kobiety mają obniżony punkt ciężkości w ciele. Jesteśmy inaczej zbudowane, trzeba więc włożyć więcej siły w treningi, by zrobić kilka powtórzeń. Ale to wszystko jest do wytrenowania. Sama trzy razy w tygodniu po pół godziny ćwiczę podciąganie. W końcu ciało przyzwyczai się do wysiłku”, mówi.

Kobiety, które już służą w pododdziałach bojowych, poprzeczkę mają postawioną jeszcze wyżej. „Jest to decyzja niezrozumiała. Większość pań, które znam, gdy decydowała się na służbę w jednostce

specjalnej, zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie szturmanami, i nie chce nimi być. Wiemy, że będziemy wykonywać zadania nieprzypadkowe, bo jesteśmy dobrze wyselekcjonowane”, mówi jedna z kobiet służących w bojówce w wojskach specjalnych. I dodaje: „To, że kobiety służą w strukturach zespołów bojowych, jest podyktowane wymogami operacyjnymi. Z perspektywy wykonywanych przez nas zadań nowe egzaminy są tylko formalnością. Ale musimy się do tego dwa razy bardziej przygotować ze względu na naszą fizjologię”, podkreśla.

Kobiety z wojsk specjalnych podkreślają, że współczesne pole walki nie jest jednorodne. „Narzuca jej uczestnikom istnienie wielu ról, które w ostatecznym rozrachunku są kluczowe dla powodzenia powierzonego zadania. Żeby te wszystkie wymagania spełnić, dowódca każdego komponentu ustala profil szkolenia. I chyba od tego powinniśmy wyjść. Świadomość dowódcy, jaki efekt chce osiągnąć, determinuje dobór osób ze względu na ich predyspozycje i umiejętności. Nie widzę więc konieczności, żebyśmy musiały zdawać egzamin według norm ustalonych dla mężczyzn”, komentuje jedna z nich.

Kobiety operatorzy z zespołów bojowych WS twierdzą, że mogą przygotować się do egzaminów sprawnościowych tak, by dorównać mężczyznom. Tylko czy o to chodzi? „My nie pracujemy w klubie sportowym, gdzie można poświęcić się tylko poprawieniu kondycji. Sużymy w jednostce wojskowej, jesteśmy zobowiązane do szkoleń, różnych treningów i wyjazdów, tu nie ma czasu na bicie rekordów”. ■

SZER. KRZYSZTOF KUŁAK



Data i miejsce urodzenia:

3 stycznia 1981 roku, Ruda Śląska.

Tradycje woj-

skowe: dziadek żony walczył w 1939 roku pod dowództwem gen. Maczka.

W wojsku służy

od: od 28 października 2018 roku.

Zajmowane stano-

wisko: starszy strzelec wyborowy WOT-u w 131 Batalionie Lekkiej Piechoty 13 Śląskiej Brygady OT.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

od lat zajmuję się sportem, jestem zawodnikiem MMA, dżudo, brazylijskiego dżiu-dżitsu oraz trenerem. Walczyłem sportowo na czterech kontynentach. A prywatnie moim największym osiągnięciem jest szczęśliwa rodzina.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

w 2002 roku zwyciężyłem w Selekcji organizowanej przez mjr. Arkadiusza Kupsa. Poznałem tam wielu ciekawych ludzi, m.in. gen. Romana Polkę. Wtedy właśnie postanowiłem, że zostanę żołnierzem. Udzieliłem nawet wówczas wywiadu, w którym zadeklarowałem chęć służby. 16 lat później moje marzenie się spełniło.

NAJLEPSZA BRONŃ:

MSBS Grot.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ:

oznaki jednostek wojskowych.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU:

wprowadziłbym obowiązek nauki walki wręcz.



CHCĘ SŁUŻYĆ OJCZYŹNIE, DZIELIĆ SIĘ SWOIMI UMIEJĘTNOŚCIAMI SPORTOWYMI, UCZYĆ WALKI WRĘCZ

HOBBY:



podróże



sport



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. KAROL KORZEC / 13 ŚBOT



W MANEWRACH „LAM-
PART '18” BRAŁO UDZIAŁ
BLISKO 1500 ŻOŁNIERZY
Z POLSKI, CZECH, SŁO-
WACJI ORAZ WĘGIER





Strategia lamparta

Żołnierze Grupy Wyszehradzkiej potrafią stworzyć międzynarodową siłę, która nie ugnie się w obliczu wroga.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)



Oficer zamiera w połowie słowa. Minie kilka sekund, nim dotrze do mnie, dlaczego to zrobił. Najpierw zaczyna drgać ziemia. Wraz z narastającymi wibracjami coraz wyraźniej słysząc również rytmiczne dudnienie. W momencie, w którym można ocenić kierunek dźwięku, jest już za późno na reakcję. Zza pobliskiego wzniesienia wyłania się obły, kształtem przypominający tułów prehistorycznego płaza, bojowy wóz piechoty. Mielące ziemię gąsienice zawisają w powietrzu, po czym wraz z całą konstrukcją przewalają się na na-

szą stronę zbocza. Zaraz za pierwszym pojazdem pojawiają się kolejne, jednak wszyscy żołnierze zachowują spokój. Wiedzą, że żadna z 73-milimetrowych armatek nie oberze ich na cel.

WSPÓLNA IDEA

Przejeżdżające przez nasze pozycje BWP-y to kompania zmotoryzowana 22 Karpackiego Batalionu Piechoty Górskiej. Jej zadaniem jest przejąć pierwszą linię po nacierających dotychczas czeskich pododdziałach i kontynuować pościg za wycofującym się przeciwnikiem. Przez ostatnie kilkadziesiąt





MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)



godzin międzynarodowy batalion stworzony z sił Grupy Wyszehradzkiej w pocie czoła pracował nad osiągnięciem przewagi. Początek wydawał się dramatyczny. Zwiadowcy zameldowali o aktywności wrogiej brygady, która kierowała się na ich pozycje. Stosunek sił wynoszący cztery do jednego oraz wsparcie artylerii i lotnictwa nie dawały żadnych złudzeń – pododdział złożony z Polaków, Czechów, Słowaków oraz Węgrów czekał ciężki bój. Mimo trudnej sytuacji międzynarodowy batalion zajął dogodne pozycje do obrony, zatrzymał atak, a następnie odizolował

oddziały przeciwnika. Nie udało się tego osiągnąć, gdyby nie błyskawiczne decyzje sztabowców i zgranie walczących żołnierzy.

Kpt. Adam Trela z sekcji rozpoznania 22 Batalionu Piechoty Górskiej był jednym z oficerów, którzy planowali, a potem nadzorowali operację. „Najtrudniejsza jest koordynacja wszystkich działań. Trzeba się liczyć z tym, że mapy nie zawsze znajdują odzwierciedlenie w rzeczywistości. Dodatkowo dochodzi kwestia współpracy międzynarodowej. Każda armia ma swoje procedury, które trzeba zgrać w jednym

czasie i miejscu. Pomagają nam w tym właśnie wspólne ćwiczenia oraz biegłość w języku angielskim”, podkreśla oficer.

WARTA NA SZPICY

Z wnętrza czeskiego BWP-a wysypuje się oddział żołnierzy. Drużyna zajmuje dogodne pozycje strzeleckie i kładzie zaporę ogniową na lewo od nacierających podhalańczyków. Wśród kanonady słychać pojedynczy, charakterystyczny syk. Pocisk wystrzelony z przeciwlotniczego systemu raketowego Grom zostawia za sobą smugę białego dymu, która



ŻOŁNIERZE DOŚWIADCZENIE ZDOBYTE W NOWEJ DĘBIE WYKORZYSTAJĄ PODCZAS DYŻURU SIŁ ODPOWIEDZI NATO. WARTĘ NA SZPICY ROZPOCZNĄ W STYCZNIU 2020 ROKU

przecina linię horyzontu. W tej samej chwili z lasu wyjeżdża moduł raków. Wystarczy niespełna minuta, by pojazdy zajęły stanowiska ogniowe, a 120-milimetrowe moździerz przybrały odpowiedni kąt. Przytłumiony, charakterystyczny huk sygnalizuje rozpoczęcie salwy. Po niej następuje kolejna. Operacja osiągnęła punkt kulminacyjny. Po trzech dniach walk międzynarodowy batalion zadaje ostateczny cios rozproszonym siłom przeciwnika.

W manewrach „Lampart '18” brało udział blisko 1500 żołnierzy z Polski, Czech, Słowacji oraz Węgier. Ich scena-

riusz zakładał utworzenie batalionu, który miał obronić terytorium fikcyjnego państwa. „Celem ćwiczeń było potwierdzenie zdolności pododdziałów 21 Brygady Strzelców Podhalańskich

do planowania, organizowania i prowadzenia działań w środowisku międzynarodowym. Postawione przed nami zadania realizowaliśmy na wszystkich szczeblach”, wyjaśnia płk Rafał Kowalik i zaznacza, że dla podhalańczyków były to pierwsze ćwiczenia prowadzone w ramach Grupy Wyszehradzkiej. Mimo nowego środowiska polscy żołnierze wykazali się profesjonalizmem. Doświadczenie zdobyte na poligonie w Nowej Dębie wykorzystają podczas dyżuru w ramach Sił Odpowiedzi NATO. Swoją wartę na szpicy rozpoczną już w styczniu 2020 roku. ■

Nocni zwiadowcy

Otwarcie ognia jest dla zwiadowców ostatecznością. Robią to tylko w wypadku wykrycia lub konieczności obrony.

PIOTR RASZEWSKI

Jodłowy zagajnik to niezłe miejsce do ukrycia. Nie tłumi dźwięku, ale całkiem niezłe maskuje. Odgłosy, które słyszę, wskazują jednak wyraźnie, że za chwilę zobaczę dość ciężki sprzęt. Po kilkunastu sekundach zza drzew, jeden po drugim, wyłaniają się opancerzone samochody rozpoznawcze BRDM-2. Jadą w ustalonym szyku i po kilkuset metrach zajmują odpowiednią pozycję. Po chwili z wnętrza wysypują się zwiadowcy. Sprawnie przyjmują postawy strzeleckie i czekają na rozkaz. Gdy pada komenda, robi się naprawdę głośno.

SIŁA RAŻENIA

„To nasze typowe zgrupowanie ogniowo-taktyczne. Skupiamy się przede wszystkim na szlifowaniu umiejętności obsługi broni pokładowej, w którą są wyposażone nasze pojazdy, czyli BRDM i HMMWV”, tłumaczy mjr Tomasz Suchecki, oficer szkoleniowy zgrupowania poligonowego zwiadowców z 2 Pułku Rozpoznawczego w Hrubieszowie. „To są strzelania, które mają przygotować żołnierzy do przeprowadzenia zasadzki czy napadu ogniowego. W takich

działaniach najistotniejsza jest synchronizacja i właśnie ją staramy się tutaj ćwiczyć”. Dlatego na strzelnicy jednocześnie są trzy plutony rozpoznawcze. „Zadania taktyczno-ogniowe, które tu wykonujemy, to najwyższa forma działalności szkoleniowej zwiadowców”, kontynuuje major.

Jego słowa co chwilę giną w hałasie wywołanym kilkunastominutowym ostrzałem. Huk dochodzi raz z prawej, raz z lewej strony. „Wszystko ma tu swój cel i jest dokładnie zaplanowane. Żołnierze najpierw przeprowadzają rekonesans rejonu zasadzki. Dowódca plutonu przygotowuje tzw. stół plastyczny, na którym obrazuje całą sytuację, i rozdziela zadania poszczególnym żołnierzom dowódcom grup”, opowiada por. Piotr Wiśniewski, dowódca kompanii rozpoznawczej. „Następnie przelicza on ilość amunicji, która będzie potrzebna do wykonania zadania, i dzieli ją między dowódców drużyn. Zwykle tam, gdzie siła ognia powinna być największa lub jest najlepszy strzelec, przydziela jej więcej”, dodaje porucznik.

Tak zaplanowana i przemyślana taktyka pomaga w działaniu, ale nie może dać stuprocentowej gwarancji wykona-

nia zadania. „Mimo rekonesansu, żołnierze nie wiedzą dokładnie, gdzie ukażą się cele. I to jest największa trudność. Dopiero po ich pojawieniu się następuje reakcja, najpierw dowódca plutonu, kolejno dowódców drużyn, a następnie celowniczych bądź strzelców”, zaznacza dowódca kompanii rozpoznawczej hrubieszowskiego pułku.

ROLA DOWÓDCY

Dowódca plutonu rzeczywiście ma najwięcej pracy. Jest z żołnierzami i cały czas analizuje, co dzieje się na przedpolu. Obserwuje cele, wydaje komendy. „Muszę wskazywać cele i sektory, gdzie należy prowadzić ogień”, zagaja tuż po wyjściu z BRDM-a plut. Dariusz Wasyluk z 2 Pułku Rozpoznawczego. „Pole jest podzielone na sektory. W wypadku pojawienia się celu pomiędzy określonymi strefami wskazuję kto i z jakiej broni będzie strzelał. Muszę zatem szybko podjąć decyzję, do którego celu mamy prowadzić ogień, ocenić, w jakiej odległości on się znajduje i jaka broń będzie najbardziej efektywna, by go zniszczyć. Ostatni krok to wydanie komend”, kontynuuje plut. Wasyluk.

Za każdym razem cele ustawiane są inaczej, więc dowódca plutonu dostaje do rozwiązania nową łamigłówkę. „W wyposażeniu plutonu rozpoznawczego mamy broń pokładową KPWT kalibru 14,5 mm, karabiny wyborowe i maszynowe PKT, UKM-2000 i PK kalibru 7,62 mm, karabinki Beryl oraz granatniki przeciwpancerne RPG-7W. Możemy wykorzystywać tu wszystkie nasze środki ogniowe, więc cele ustawiamy nawet w odległości do 800 m. Oczywiście symulujemy sytuację realną, więc jeśli te najdalsze cele opancerzone zostały rażone, to za chwilę pojawiają się nowe, bo zakładamy, że żołnierze przeciwnika cały czas podchodzą w naszym kierunku”, wyjaśnia por. Piotr Wiśniewski.

PROFIL SPECJALISTY

Ile komend musi zatem wydać dowódca w ciągu kilku minut, gdy trwa prowadzenie ognia? „Trudno to policzyć, ale bardzo dużo. Muszę reagować na sytuację na przedpolu, cały czas mieć wszystko pod kontrolą. Oczywiście z pomocą przychodzą również dowódcy drużyn, którzy są rozstawieni blisko swoich załóg. Najważniejsza jest więc łączność i komunikacja. Wszyscy muszą się słyszeć, a każdy z osobna wiedzieć, za co odpowiada i jakie zadanie ma do wykonania”, podkreśla dowódca jednego z ćwiczących plutonów, wywołując automatycznie kolejne pytanie – o cechy dobrego zwiadowcy.

Żołnierze z Hrubieszowa zaznaczają, że niezbędna jest wszechstronność, ale nie tylko ona. „Ważne jest również nieszablonowe myślenie. Dobry zwiadowca nie może w działaniu posługiwać się schematami. W takich jednostkach liczy się inwencja, zwracanie uwagi na szczegóły.

To daje nam przewagę. Tak jest na przykład w kwestii maskowania. Nie powinniśmy być przecież widoczni dla niko- go. Musimy zatem działać tak, by umiejętnie wnikać w każdy teren i móc poruszać się po nim, minimalizując szanse wykrycia”, wskazuje mjr Tomasz Suchecki.

Nie bez znaczenia jest też forma. „Od każdego naszego żołnierza wymaga się wytrzymałości i kondycji psychofizycznej oraz odpowiedniego wyposażenia, bo spędzenie nocy w zimowych warunkach jest nie tylko kwestią cięż- zny, lecz także obciążenia psychicznego. Czasami żołnierz wywiadu musi przetrwać sam w ciężkich warunkach. Zwiadowcy są jednak do tego przygotowywani”, zaznacza oficer z Hrubieszowa.

Dlatego dużą wagę przywiązują do specjalnych szkoleń typu SERE (survival, evasion, resistance, escape – prze- trwanie, unikanie, opór w niewoli, ucieczka), które przygo- towują ich do tego, jak radzić sobie w ekstremalnych wa- runkach. Wszyscy zwiadowcy poznają

swoje przyzwyczajenia, uczą się dzia- łać w grupie, budują psychikę i pod- noszą ciężar fizyczny. „Tu, na poli- gonie mamy kolejny etap szkolenia, czyli zgrywanie wyszkolonych żołnie- rzy podczas wykonywania zadań”, wyjaśnia mjr Tomasz Suchecki.

STO PROCENT

Każdy dzień na poligonie upływa według precyzyjnie ustalonego rytmu. Godzina 5.30 ozna- cza pobudkę. O 7.30 pierwsze pododdziały są już gotowe do działania. Ćwiczą nie tylko w dzień, zazwyczaj właśnie po zmierzchu zwiadowcy rozpoczynają swoje działania. O tej porze odbywa się zatem trzy czwarte zajęć taktycz- nych. „W warunkach bojowych zminimalizujemy porusza- nie się w dzień, to w nocy prowadzimy nasze główne dzia- łania”, mjr Tomasz Suchecki.

Szkolenie ogniowe to jedno z podstawowych ćwiczeń po- ligonowych kompanii rozpoznawczych. „Ocena żołnierzy jest dość prosta, bo wyliczamy procentowo, ile celów zo- stało trafionych, w tym tych ważnych, czyli tzw. wysoko- opłacalnych i wysokowartościowych. Dążymy do tego, że- by zawsze było to sto procent”, uśmiecha się por. Piotr Wiśniewski, dowódca kompanii rozpoznawczej z 2 Pułku Rozpoznawczego.

Hrubieszowscy zwiadowcy podkreślają, że żołnierz roz- poznania powinien dobrze strzelać, ale zaznaczają, że pro- wadzenie ognia to w ich wypadku... ostateczność. Wiado- mo, że są skupieni przede wszystkim na tym, by wykry- wać działania przeciwnika. Otwarcie ognia powoduje ujawnienie obecności i pozycji. „Przy obecnym wyposaże- niu w elektronikę i optoelektronikę można to zrobić mo- mentalnie, dlatego ogień otwieramy dopiero w wypadku wykrycia, czyli konieczności obrony”, zdradza na koniec mjr Tomasz Suchecki z 2 Pułku Rozpoznawczego w Hru- bieszowie. ■

ĆWICZĄ NIE TYLKO W DZIEŃ, ZWIADOWCY ZAZWYCZAJ PO ZMIERZCHU ROZPOCZYNAJĄ SWOJE DZIAŁANIA

Chłodna głowa

gorąca robota

Ciemno, zimno, ciężko, bo sprzęt, który trzeba na siebie włożyć, waży kilkadziesiąt kilogramów. W dodatku z każdym metrem w głąb Bałtyku rośnie ciśnienie. A to dopiero początek. Za chwilę trzeba się uporać z toną materiału wybuchowego.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Tym razem nurkowie musieli zmierzyć się z niemieckimi minami dennymi typu GC. Znalezione w sumie trzy, a każda miała jakieś 700 kg heksanitu, co w przeliczeniu daje siłę równą tonie trotylu. Eksplozja takiej ilości materiału może zrobić potężną wyrwę w kadłubie statku albo okrętu. „Po wybuchu powstaje fala uderzeniowa. Jeśli ktoś w tym czasie akurat będzie w wodzie, może doznać mikrourazów, które uszkodzą mu układ nerwowy. A to oznacza około dwóch godzin w miarę normalnego funkcjonowania, kilka godzin śpiączki, potem śmierć”, tłumaczy kmdr ppor. Jacek Barczak, dowódca Grupy Nurków Minerów 13 Dywizjonu Trałowców. „I nie mówimy tu o ludziach kąpiących się w bliskim sąsiedztwie eksplozji. Promień rażenia tak dużej miny wynosi 10,7 km, a jej wybuch rejestrują sejsmografy oddalone o 250 km”.

Te trzy miny odkryto podczas prac hydrograficznych przy wejściu do portu wojennego w Gdyni i nieopodal fałochronu. W wodzie przeleżały blisko 80 lat. Teraz należało je w kontrolowany sposób zniszczyć. Ale jak to zrobić, kiedy brzeg jest na wyciągnięcie ręki, poligon morski daleko, ruch na akwenie spory, a na dnie kable i przewody telekomunikacyjne? „Nasi nurkowie musieli zejść pod wodę, podczepić miny do pontonów wydobywczych i nieznacznie unieść. Tak na jakieś 2–3 m, by nie spowodować gwałtownej zmiany ciśnienia, która mogłaby doprowadzić do eksplozji”, wspomina kmdr ppor. Barczak. Potem jedna po drugiej zostały odholowane przez łódź minerską w głąb Zatoki Gdańskiej i ponownie osadzone na

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO
OD KULIS** PRZECZYTAJCIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWLOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

„KIEDY WYKONUJE SIĘ PRACE PRZY ŁADUNKU, KTÓRY ZAWIERA KILKASET KILOGRAMÓW MATERIAŁU WYBUCHOWEGO, TO MOŻNA SIĘ SPOCIĆ”, PRZYZNAJĄ MINERZY

dnie. Spektakularna detonacja przy użyciu trotylu nadal jednak nie wchodziła w grę. Nurkowie jeszcze raz zeszli pod wodę i założyli specjalne ładunki kumulacyjne, które miały wypalić znajdujący się wewnątrz materiał wybuchowy. Niestety nie wypaliły całego, więc i tak skończyło się na detonacji. „Wybuch był mniejszy, ale i tak spory”, przyznaje kmdr ppor. Barczak. Choć nie taki, jak kilka lat wcześniej, kiedy nurkowie GNM klasyczną metodą wysadzali w okolicach Gdyni inną minę GC. „Na skutek eksplozji w mieście zatrzęsły się szyby w oknach, a znaki drogowe na skwerze Kościuszki drżały przez kilka sekund”, wspomina kmdr ppor. Barczak.

Neutralizacja min GC zajęła trzy dni. Przeprowadzona została w październiku 2018 roku i była ostatnią w minionym roku tak dużą operacją z udziałem minerów z 13 Dywizjonu Trałowców. Liczba mniejszych i większych interwencji w ciągu roku idzie jednak w dziesiątki...

NURKOWANIE NIE SIELANKA

Ciemno zazwyczaj robi się już kilkanaście metrów pod powierzchnią. Do tego dochodzi chłód, przed którym na dłuższą metę nie jest w stanie ochronić nawet suchy skafander z ocieplaczem. Bez względu na porę roku temperatura na tej głębokości oscyluje przecież w granicach trzech, czterech stopni. A kiedy wziąć jeszcze pod uwagę rosnące z każdym metrem ciśnienie i kilkadziesiąt kilogramów sprzętu, który trzeba na siebie włożyć, okazuje się, że nurkowanie w Bałtyku to nie sielanka. Najgorszy jest jednak stres. „Kiedy własnymi rękoma wykonuje się prace przy

ładunku, który zawiera kilkaset kilogramów materiału wybuchowego, to proszę mi wierzyć, można się spociec”, przyznaje kpt. mar. Damian Rogocki, zastępca dowódcy Grupy Nurków Minerów 13 Dywizjonu Trałowców. „Dlatego, gdy wychodzimy na akcję, staram się skupić na zadaniu i nie myśleć zbyt, co złego może się wydarzyć”, dodaje.

Z drugiej strony, jeśli nurek w ogóle wyłączy myślenie, to przepadł. Może się bowiem zdarzyć sytuacja, w której wpajane przez lata automatyzmy okażą się niewystarczające. Wtedy potrzeba zimnej głowy i odrobiny szczęścia. „To było jedno z moich pierwszych poważnych zadań”, wspomina por. mar. Wojciech Radziszewski. „Osiem lat temu w okolicach Półwyspu Helskiego schodziłem na wrak kanonierki, gdzie miały się znajdować jakieś dziwne beczki. Podejrzewaliśmy, że to mogą być bomby głębinowe. Wspólnie z kolegą mieliśmy je odnaleźć i nagrać film do analizy”, opowiada. Przy wraku por. Radziszewski zaplątał się w jedną z lin znajdujących się na pokładzie. „Zacząłem walczyć, żeby się z niej uwolnić, ale bez skutku. Kolega nie widział sygnałów, które mu wysyłałem, a mnie powoli zaczynało kończyć się powietrze”, wspomina oficer. „Na szczęście zdołałem się uspokoić, odpiąłem karabińczyk łączący linę kamery z moim skafandrem i zacząłem się wypłatywać. Kiedy skończy-

łem, odnalazł mnie kolega z pary i razem z nim wypłynąłem na powierzchnię”.

Nurkowie z GNM mają na koncie setki podobnych zadań. Neutralizowali stare miny GC odnalezione przy zbiornikach gazu w gdyńskim porcie i w pobliżu ujścia Martwej Wisły w Gdańsku, niszczyli niemieckie torpedy ćwiczebne i śmiertelnie niebezpieczne pozostałości II wojny światowej, których wielka liczba zalega u wybrzeży Litwy, Łotwy oraz Estonii (cyklicznie organizowane „Open Spirit”). Każda taka operacja odbywa się według ściśle określonych reguł. Zawsze jest szczegółowo zaplanowana. Nad jej przebiegiem czuwa kierownik podwodnych działań, nurkowie zwykle schodzą pod wodę parami, a z pokładem łodzi minerskiej często są połączeni za pomocą linki sygnałowej, choć akurat to nie jest regułą – wszystko zależy od rodzaju zadania i decyzji kierownika. Śmiertelne z reguły niebezpieczeństwo można jednak co najwyżej zminimalizować. Wykluczyć go nigdy się nie da.

ARSENAL W WIŚLE

Czasem, żeby stanąć z nim oko w oko, nie trzeba wcale schodzić pod wodę. Kilka lat temu na plaży w Krynicy Morskiej spacerowicz dostrzegł wystający z wody obły kształt. Zawiadomił policję. Szybko okazało się, że morskie fale odsłoniły i wyrzuciły na brzeg starą torpedę ćwiczebną. Taki pocisk nie



TRZY PYTANIA DO

Jacka Barczaka

Co wyróżnia pododdział, którym pan dowodzi, spośród innych jednostek Wojska Polskiego?

Na pewno specyfika naszej służby, która łączy w sobie zadania typowe dla nurków i saperów. Obok grupy nurków i saperów 12 Dywizjonu Trałowców jesteśmy jedynym tego typu pododdziałem w całej polskiej armii. Angażując kilku, czasem kilkunastu specjalistów, możemy zneutralizować zagrożenia niezwykle istotne nie tylko dla marynarki wojennej, ale też dla żegluga

w ogóle. A przecież to właśnie drogą morską odbywa się większość wymiany handlowej pomiędzy Polską a zagranicą. Do naszych podstawowych zadań należy likwidacja niebezpiecznych pozostałości z czasów I i II wojny światowej: starych min, torped, bomb głębinowych i innych niewybuchów oraz niewypałów. Tego typu operacje prowadzimy zarówno na pełnym morzu, we współpracy z załogami trałowców czy niszczycielami min, jak i w portach, na redach, płyciznach, słowem tam, gdzie ze względu na brak miejsca czy

niewielkie głębokości okręty nie są w stanie wykonywać swoich zadań. Działamy też na akwenach w głębi lądu. Polska została podzielona na dwie strefy. My odpowiadamy za usuwanie niewybuchów we wschodniej części kraju, a GNM 1 Dywizjonu Trałowców w zachodniej. Oczywiście w razie konfliktu zbrojnego będziemy współodpowiedzialni za neutralizację min oraz przedmiotów wybuchowych i niebezpiecznych rozstawionych przez przeciwnika.

Jakich ludzi zatem potrzebujecie?

Przede wszystkim odważnych – nurek przecież własnymi rękoma dotyka bardzo niebezpiecznych materiałów wybuchowych. Ważne jest też poczucie odpowiedzialności. Podczas akcji należy pamiętać, że od naszych decyzji zależy zdrowie i życie kolegi, który

ŚMIERTELNE NIEBEZ- PIECZEŃSTWO MOŻNA CO NAJWYŻEJ ZMINI- MALIZOWAĆ. WYKLUCZYĆ GO NIGDY SIĘ NIE DA

zawiera materiału wybuchowego, ma za to zbiorniki ciśnieniowe wypełnione gazem, więc jest niebezpieczny. Na miejsce wezwano nurków minerów. W końcu znalezisko odkryte zostało w morzu... „Na szczęście działo się to jeszcze przed sezonem i na plaży nie było zbyt wielu osób”, opowiada por. mar. Radziszewski. „Udało nam się unieść torpedę z jednej strony, umieścić na przyczepie traktora i odwieźć do najbliższej placówki Straży Granicznej”, dodaje. Tam torpeda została załadowana na ciężarówkę, wywieziona na poligon i zdetonowana.

Jak zgodnie przyznają nurkowie, praca w płytkiej wodzie potrafi być nie mniej uciążliwa, niż zadania wykonywane kilkadziesiąt metrów pod po-

wierzchnią. A zdarza się ona stosunkowo często. Do zadań minerów należy bowiem również neutralizacja starej amunicji i niewybuchów, które zalegają w jeziorach, kanałach czy rzekach. „Dno jest tam często bardzo muliste, widoczność bliska zera, zimą dochodzi jeszcze nurkowanie pod lodem”, wylicza kmdr ppor. Barczak. Tak było chociażby w okolicach Brodnicy, gdzie w niewielkiej rzece Skarlance odkryto cały arsenał z czasów II wojny światowej. Zaczęło się od wypadku domorosłego poszukiwacza złomu, w którego rękach wystrzelił zapalnik starego pocisku. Mężczyzna zginął, a wystraszeni koledzy postanowili wrzucić amunicję do rzeki. Tam po pewnym czasie została dostrzeżona przez spacerowicza.

„Na Kujawy przyjechaliśmy zimą. Zanim zaczęliśmy nurkować, musieliśmy przygotować miejsce prowadzenia prac podwodnych, tak aby można było wykonywać zadania w silnym prądzie i pod lodem. Było tak zimno, że nurek wychodzący na powierzchnię, musiał szybko iść do ogniska i rozebrać się tam ze sprzętu nurkowego, by nie popękał na nim skafander”, wspomina kmdr ppor. Barczak. Z rzeki udało się wydobyć dziesiątki mniejszych i większych pocisków, które potem przekazano w ręce saperów.

Podobną historię przywołuje kpt. mar. Rogocki. „W 2012 roku wezwano nas w okolice Mikoszewa,

działa z nami w parze. Nurek musi mieć w sobie spokój, silną psychikę, powinien być także gotowy na działanie w bardzo trudnych warunkach. Na Bałtyku zazwyczaj już kilkanaście metrów pod wodą robi się ciemno. Temperatura bez względu na porę roku oscyluje tam w granicach 4°C, do tego dochodzi jeszcze wysokie ciśnienie i świadomość, że mamy do czynienia z niewybuchami oraz że dysponujemy ograniczoną ilością powietrza albo mieszaniny oddechowej. Nurkowie minierzy używają przecież sprzętu autonomicznego. Krótko mówiąc: warunki pod powierzchnią wód Bałtyku nie należą do komfortowych. Na jeziorach i rzekach głębokości nie są może tak wielkie, a zatem i ciśnienie nie jest wysokie, ale zdarza nam się na przykład nurkować pod lodem. W dodatku nurek, który wyjdzie już na powierzchnię,

nie ma zbyt wiele czasu na odpocznienie, bo musi zabezpieczać kolegów rozpoczynających nurkowanie.

A jak można do waszego pododdziału trafić?

Preferujemy żołnierzy, którzy mają już uprawnienia nurkowe. Może do nas jednak przyjść również żołnierz bez kwalifikacji, którego wysyłamy na kursy organizowane przez Ośrodek Szkolenia Nurków i Płetwonurków WP. Tam może kolejno zdobyć uprawnienia młodszego nurka, nurka минера, starszego nurka минера i na koniec kierownika nurkowania oraz kierownika podwodnych działań minerskich. Kursy są trudne. Aby zostać nurkiem, trzeba nie tylko cieszyć się nienagannym zdrowiem, ale też przyswoić pokaźną wiedzę z fizjopatologii oraz techniki nurkowania, sprzętu czy z fizyki. Zdobyć

najwyższych kwalifikacji zajmuje czasem i dziesięć lat. Bywa też tak, że już podczas pierwszego kursu okazuje się, że kandydat się do takiej służby nie nadaje. Nie zawsze oznacza to dla niego odejście z pododdziału. Taka osoba może zostać u nas na przykład kierowcą czy operatorem robota saperskiego. O wiele efektywniejszym sposobem pozyskiwania kadr jest jednak przejście nurka z innej jednostki i przekwalifikowanie go na минера. Działamy trochę jak klub piłkarski. Mamy swoją „sieć skautingu”, obserwujemy potencjalnych kandydatów, składamy im propozycje. Ale takie „transfery” niełatwo sfinalizować. Nikt chętnie nie pozbywa się dobrego żołnierza... ■

Kmdr ppor. JACEK BARCZAK jest dowódcą Grupy Nurków Minerów 13 Dywizjonu Trałowców.

SPRZĘT

Nurkowie minierzy korzystają z autonomicznego sprzętu do nurkowania, zasilanego powietrzem lub mieszaninami oddechowymi.

Do pierwszego rodzaju zaliczają się zestawy Nurpak 03 i 04, a do drugiego zestaw Nurpak 02, w którego skład wchodzi aparat Crabe (na mieszaniny oddechowe o obiegu półzamkniętym). Wydechana przez nurka mieszanina przechodzi przez wapno sodowane, które absorbuje dwutlenek węgla, następnie trafia do worka oddechowego. Część ponownie wraca do pętli oddechowej, część zaś jest wydalaną do wody w postaci drobnych pęcherzyków. Takie rozwiązanie oraz

zastosowanie odpowiedniej mieszaniny oddechowej – nitroksu, umożliwia nurkowi dłuższe przebywanie w zanurzeniu. GNM dysponuje łodziami motorowymi S-10500K, S8-900 i S7-400, a także łodzią przeprawową Pioner. Dzięki płaskiemu dnu dobija ona bezpośrednio do brzegu. Po opuszczeniu władu na dziobie nurkowie mogą przenieść transportowany niewybuch prosto na ląd. Podczas poszukiwania oraz identyfikacji min, zalegających na dnie bomb czy torped żołnierze używają pojazdów podwodnych Seabotix i Gavia, sonaru DSE-1, podwodnego wykrywacza Mimid, wreszcie konsoli nurkowej Artemis. Marynarze mają również sprzęt lądowy. Korzystają ze specjalistycznego samochodu Topola-S, który został przystosowany do przewozu niebezpiecznych materiałów, oraz z dwóch samochodów do transportu ludzi – VW Craftera i Stara 266. Do tego dochodzą dwa roboty saperskie Expert i Talon.

ARCH. GRUPY NURKÓW MINERÓW 13 DTR.



Zestaw Nurpak 04

gdzie Wisła uchodzi do Bałtyku. W czasie II wojny światowej Niemcy zorganizowali tam przeprawę kolejową. Została ona jednak zbombardowana przez Armię Czerwoną. W rzece znalazło się mnóstwo amunicji. Część z niej została odsłonięta, kiedy poziom wody obniżył się na skutek upałów”, opowiada nurek. Nurkowie minierzy pracowali w Mikoszewie przez trzy tygodnie. „Amunicję wybieraliśmy, a często wręcz wyszarpywaliśmy spomiędzy kamieni rękoma: czasem stojąc po pas w wodzie, innym razem – schodząc 5 m pod powierzchnię. Prąd był w tym miejscu bardzo silny, widoczność bliska zera, a przecież przy niekontrolowanym wynurzeniu z tej głębokości ryzyko urazu ciśnieniowego jest bardzo duże. Największe różnice ciśnień występują w strefie do 10 m”, wspomina kpt. mar. Rogocki. W sumie nurkowie wydobyli na powierzchnię kilka tysięcy sztuk starej amunicji: pociski artyleryjskie

różnych kalibrów, granaty moździerzowe, granaty ręczne, naboje. „To była jedna z najciekawszych, ale i najtrudniejszych akcji, w których brałem udział”, przyznaje kpt. mar. Rogocki.

EFEKT ZZA TABELEK

Do Grupy Nurków Minerów dochodzili różnymi drogami. Kmdr ppor. Barczak początkowo służył na trałowcach OORP „Rybitwa” i „Śniardwy”, a w 1996 roku trafił do Dywizjonu Pomocniczych Jednostek Pływających. „Przyjęli mnie do Grupy Ratownictwa Morskiego i po jednym dniu wystąpi na kurs nurkowania. Prowadzący zajęcia por. mar. Wichniarek, późniejszy dowódca Formozy, spytał nas: »Macie przedmuch?«. Chodzi o prostą technikę wyrównywania ciśnienia. Zatyka się nos i dmucha aż do kliknięcia w uszach. »Mamy«, stwierdziliśmy. A ja nachyliłem się do



GRUPA NURKÓW MINERÓW

Historia pododdziału rozpoczęła się 20 maja 1969 roku. Wtedy szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego powołał do życia dwie grupy pływających minierów, które weszły w skład 14 i 15 Dywizjonu Kutrów Trałowych. Nurkowie minierzy, którzy dziś stacjonują w Gdyni, zostali przypisani do drugiego z nich. Ówczesnym miejscem ich stacjonowania był Hel, a do ich zadań należało wykrywanie i niszczenie min w portach, na redach oraz akwenach przybrzeżnych, gdzie głębokość sięgała najwyżej 20 m. Mogli działać, jeśli stan morza nie przekraczał dwóch stopni w dziesięciostopniowej skali Douglasa. Na początku 1977 roku 15 Dywizjon Kutrów Trałowych przestał istnieć, a pływające minierzy zostali włączeni w struktury 45 Dywizjonu Pomocniczych Jednostek Pływających. Tak pozostało przez kolejnych 12 lat, aż w 1989 roku zasilili 13 Dywizjon Trałowców. W jego składzie pozostają do dziś. W 2009 roku pododdział zmienił nazwę na Grupę Nurków Minierów. ■

kolegi i zapytałem: »Ty, a co to takiego?«. Chwilę później dowiedziałem się tego: w basenie, 5 m pod wodą», wspomina kmdr ppor. Barczak. Potem był on jeszcze szefem sztabu w Dywizjonie Pomocniczych Jednostek Pływających, by ostatecznie wrócić do 13 Dywizjonu Trałowców i objąć dowodzenie Grupą Pływających Minierów, przemianowaną wkrótce na GNM.

Z kolei jego obecny zastępca wspomina: »Nurkiem chciałem zostać już podczas studiów w Akademii Marynarki Wojennej. Przeszedłem wszystkie badania lekarskie, ale się okazało, że w GNM nie ma wolnych miejsc. Przez kilka lat służyłem na trałowcach, wreszcie nadarzyła się okazja, by tym nurkiem jednak zostać i z niej skorzystałem».

Por. mar. Radziszewski służyć w GNM zaczął jako podoficer. Uparcie jednak szedł w górę i zdobywał kolejne kwalifikacje. Ukończył szkołę oficerską. Dziś jest najmłodszym kierownikiem podwodnych działań minerskich w polskiej marynarce.

Wszyscy oni zgodnie przyznają: »Mamy poczucie, że należymy do marynarskiej elity». Kmdr ppor. Barczak dodaje: »To wyczerpująca robota, ale też przynosząca mnóstwo satysfakcji. Przede wszystkim dlatego, że nie ginie ona w statystykach i tabelkach, które wypełniamy. Jej efekt jest widoczny gołym okiem. I choć czasem bywamy uciążliwi dla mieszkańców, gdy zamykamy duże odcinki plaż, naprawdę robimy to dla bezpieczeństwa ludzi».



Na pozycji skrzydłowego

O konieczności wprowadzenia zmian w korpusie podoficerskim pisaliśmy w „Polsce Zbrojnej” od lat. Teraz plany staną się rzeczywistością: podoficerowie mają się rozwijać, lepiej zarabiać i odgrywać większą niż dotąd rolę w polskiej armii.

PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

RAFAŁ MNIEDZIŁO/11 LDK PANC

Długo wyczekiwany przez żołnierzy dokument został podpisany przez ministra obrony Mariusza Błaszczaka. Zmiany zapowiedziane w „Koncepcji rozwoju korpusu podoficerów zawodowych” będą dotyczyć przede wszystkim struktury korpusu, naboru i ścieżki rozwoju podoficerów, kształcenia, szkolenia i doskonalenia zawodowego oraz systemów wynagrodzeń i motywacyjnego. „To ogólne wskazanie kierunków zmian. Teraz koncepcję musimy przełożyć na praktykę i wypracować rozwiązania szczegółowe. Zmian będzie sporo!”, zaznacza st. chor. sztab. Sławomir Nastarowicz, starszy podoficer Sztabu Generalnego WP. Za wprowadzenie koncepcji w życie będzie odpowiadać szef SGWP.

PRZYWRÓCIĆ HIERARCHIE

Koncepcja zakłada zmiany w strukturze korpusu. Dziś, zdaniem wielu osób, zachwiana jest hierarchia stopni. „Ponad 17% wszystkich podoficerów jest w stopniu starszego chorążego sztabowego. Stało się tak za sprawą m.in. zniesienia limitów awansowych i likwidacji martwych stopni. Mimo takiego samego stopnia, różne są odpowiedzialność żołnierzy, poziom ich umiejętności i kwalifikacji oraz umiejscowienie w strukturze sił zbrojnych. Chcemy przywrócić prawidłowe proporcje, powracając do zasady tożsamości stopnia i stanowiska wśród podoficerów starszych”, mówi pierwszy podoficer Wojska Polskiego. Wskazuje też, że jest to rozwiązanie bazujące na doświadczeniach m.in. podoficerów amerykańskich, gdzie awans jest ukoronowaniem wzorowej służby, oznacza nowe obowiązki, zwiększenie odpowiedzialności i wyższe wynagrodzenie, ale często również zmianę miejsca pełnienia służby.

Dodatkowym wyróżnikiem podoficerów zajmujących najwyższe stanowiska ma być grupa uposażenia U10A (dziś podoficerowie starsi są przyporządkowani do grup U8, U9 i U10). W praktyce stopień wojskowy będzie taki sam, ale tzw. zaseregowanie do U10A dostanie jedynie kilku, kilkunastu żołnierzy na najwyższych stanowiskach.

Jednym z priorytetów wskazanych w koncepcji jest utworzenie etatowych stanowisk starszych podoficerów dowództw (SPD) we wszystkich batalionach i dywizjonach. Dziś tacy żołnierze funkcjonują jedynie przy dowództwach rodzajów sił zbrojnych, dywizjach, brygadach i samodzielnych batalionach. „To duża luka w łańcuchu wsparcia dowodzenia. Na przykład brygada, w której służy często kilka tysięcy podoficerów, a sama jednostka rozmieszczona jest



KOMENTARZ

MARIUSZ BŁASZCZAK

Korpus podoficerów to kręgosłup Wojska Polskiego. Nowa koncepcja przyniesie jego wzmocnienie. Podoficer to żołnierz niezwykle ważny dla struktury armii. Jest liderem dlatego, że szkoli tych, którzy do niej wstępują, i dlatego, że stanowi wzór do naśladowania. Podoficerowie są wsparciem dla dowódców i odgrywają ważną rolę szkoleniową oraz doradczą. Chciałbym podkreślić, że najważniejsze

jest postawienie na podoficerów specjalistów i stworzenie nowego stopnia – starszego szeregowego specjalisty, po to, aby wykorzystać jego doświadczenie zdobyte przez lata służby. Ważne jest utworzenie też stanowisk podoficerskich w dowództwach i zrezygnowanie ze służby kontraktowej, zastąpienie jej służbą stałą, aby wykorzystać doświadczenie żołnierzy dla dobra obronności. ■

MARIUSZ BŁASZCZAK jest ministrem obrony narodowej.

w kilku garnizonach, ma tylko jednego starszego podoficera dowództwa. Jakie ma on dziś możliwości wsparcia swojego dowódcy? Zdecydowanie efektywniej mógłby wykonywać powierzone mu zadania, gdyby miał możliwość współpracy ze swoimi odpowiednikami w podległych batalionach”, uważa st. chor. sztab. Nastarowicz. Takie stanowiska są niemalże we wszystkich armiach NATO oraz państwach partnerskich, a u nas mają pojawić się już w przyszłym roku w największych i najważniejszych jednostkach bojowych. Docelowo ma powstać około 120 takich stanowisk. „To bardzo ważne, że uzupełnimy nasz łańcuch wsparcia dowodzenia. To tak, jakby w kręgosłupie pojawiły się wszystkie kręgi i trzymały nasze ciało w pionie”, mówi st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik, starszy podoficer Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej. Przyznaje, że wymaga to od podoficerów kreatywności, mądrości i zaangażowania. „Łańcuch wsparcia pozwala mi na budowanie kultury organizacyjnej, tak by mój dowódca mógł sprawnie działać w nowoczesnych warunkach operacyjnych. Wielu oficerom może się to wydawać niepotrzebne, ale zapewniam, że to tylko usprawni funkcjonowanie wojska. Skoro podoficerowie przejmują odpowiedzialność szkoleniową i wykonawczą, to potrzebują do tego narzędzi. I takim narzędziem jest m.in. łańcuch wsparcia dowodzenia”, dodaje st. chor. sztab. Wojtusik.



Podpisana przez ministra koncepcja zakłada stworzenie dwóch ścieżek rozwoju podoficerów: specjaliści i dowódcy. „W strukturach sił zbrojnych potrzebujemy zarówno jednych, jak i drugich. Chcemy, by żołnierz, który szkoli się z logistyki, nie stawał się nagle łącznościowcem tylko dlatego, że mamy akurat taki wolny etat. Chodzi o to, by miał zaplanowaną ścieżkę rozwoju w jednej dziedzinie i w niej zaczął służbę od najniższego szczebla, z perspektywą, że trafi kiedyś np. do sztabu dywizji i tam zostanie starszym podoficerem – specjalistą logistyki. Dla nas to będzie inwestycja w prawdziwych fachowców”, mówi st. chor. sztab. Nastarowicz.

Jak zaznacza st. chor. sztab. Arkadiusz Niedziela, starszy podoficer Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, w armii już dziś występuje naturalny podział na specjalistów i dowódców, wynikający ze specyfiki służby. „Podoficer dowódca ma być przygotowywany do kierowania ludźmi. Uczylby się m.in. planowania, wypracowywania decyzji, precyzyjnego formułowania poleceń oraz metodyki szkolenia. Podoficer specjalista musi być przygotowywany do wykonywania zadań wynikających z danej specjalności wojskowej oraz z obsługi powierzonego sprzętu. Planowane zmiany ścieżki rozwoju spowodują, że efektywność szkolenia będzie większa, lepiej zostanie też ono dostosowane do potrzeb podoficerów”, przyznaje st. chor. sztab. Niedziela. Możliwa będzie też zmiana stanowisk z dowódczych na specjalistyczne i odwrotnie, po ukończeniu odpowiedniego przeszkolenia.

Opracowanie ścieżek rozwoju wynika też z potrzeby stworzenia warunków do zdobywania coraz wyższych stopni. „Dziś, niezależnie od ambicji, system traktuje nas tak samo. Kolejne stopnie w wielu wypadkach osiąga się bardzo szybko [awans w ramach limitu] i w pewnym momencie pojawia się pytanie: »Co dalej?«. To sprawia, że stajemy się ofiarami swojego sukcesu. I mimo ambicji, włożonej pracy, brak jest możliwości rozwoju. Musimy odejść od przeświadczenia, że awans należy się zawsze i każdemu. Czy każdy porucznik od razu wie, że zostanie pułkownikiem? Dlatego na etapie prac nad rozwiązaniami szczegółowymi będziemy chcieli określić, co dany podoficer musi umieć, by móc piąć się wyżej”, mówi st. chor. sztab. Nastarowicz.

UCZONY PODOFICER

Obecny system szkolenia i kształcenia podoficerów wymaga sporych modyfikacji. Dlatego w dokumencie znalazły się także zagadnienia z tej dziedziny.



KOMENTARZ

GEN. BRONI RAJMUND T. ANDRZEJCZAK

Dziś, kiedy armia się modernizuje, a do jednostek będzie docierał nowoczesny sprzęt, potrzebujemy więcej sprawnych, wykształconych i dobrze zmotywowanych podoficerów. Spotkałem wielu takich, którzy odegrali ważną rolę w mojej karierze wojskowej. Taką osobą był np. st. chor. sztab. Jerzy Drewniak, który pokazywał mi, jako młodemu dowódcy kompanii czołgów, co zrobić, by była ona sprawna, zdyscyplinowana, żeby paliwo było zawsze na czas,

a żołnierze nakarmieni. Tego nie zrobią oficerowie. W dalszej swojej służbie zdziwiłem się, kiedy pierwszy raz rozmawiałem z naszymi amerykańskimi kolegami, oni nigdy nie mówili o swoich podoficerach „mój podwładny”, tylko „mój skrzydłowy”. Skrzydłowy wspiera oficera w tych skomplikowanych zadaniach, dba o standardy, rozmawia z nim, czasem nawet się nie zgadza. Dlatego ranga tego, o czym dzisiaj mówimy, jest naprawdę niezwykła. ■

Gen. bron. Rajmund T. ANDRZEJCZAK jest szefem Sztabu Generalnego WP.

ny. Zmiany mają dotyczyć przede wszystkim kształcenia i szkolenia szeregowych zawodowych, czyli kandydatów na podoficerów. „Chodzi nam głównie o to, by urealnić i dopasować do potrzeb kurs podoficerski”, mówi st. chor. sztab. Nastarowicz. W połowie grudnia prace w tym kierunku rozpoczął już specjalny zespół powołany przez szefa Sztabu Generalnego. Do końca marca 30 ekspertów ma przedstawić gotowe propozycje i rozwiązania.

Zmiany mają pójść nie tylko w kierunku ujednolichenia programów kształcenia ogólnego, lecz dotyczyć także treści programowych. Ma być więcej praktycznej metodyki oraz zajęć z przywództwa. Możliwe, że z programów kształcenia znikną kwestie, które się dublują ze szkoleniem w jednostkach wojskowych. Sam kurs podoficerski ma być skrócony. „Wystarczy, że niektóre elementy z teorii wykładanej w sali żołnierze mogliby przyswajać w formie e-learningu. Jest to rozwiązanie nowoczesne, obniżające koszt szkolenia i wcale nie mniej efektywne”, mówi pierwszy podoficer WP.

Zmiany mają też nastąpić w kursach kwalifikacyjnych oraz doskonalących. W planach jest utworzenie jednego dodatkowego – dla najbardziej elitarnych stanowisk podoficerskich, w tym starszych podoficerów dowództw oraz tych planowanych do wyznacze-

nia na stanowiska poza granicami kraju. „Będzie to odpowiednik funkcjonujących w innych krajach NATO kursów CSEL [Command Senior Enlisted Leader], zawierający w programie m.in. elementy sztuki wojennej, szczebla strategicznego, planowania, psychologii, kontaktów z mediami czy współpracy międzynarodowej oraz zasad funkcjonowania paktu północnoatlantyckiego. Wydaje się, że taki kurs mógłby się odbyć przy wsparciu Akademii Sztuki Wojennej, ale rozważamy różne warianty”, mówi st. chor. sztab. Niedziela.

Podoficerowie przyznają, że kurs tego rodzaju to konieczność, bo dziś poza szkoleniami zagranicznymi podoficerowie nie mają w kraju możliwości zdobycia wiedzy na poziomie strategicznym czy operacyjnym. „A wychodzimy z założenia, że podoficer na tych wyższych szczeblach dowodzenia powinien mieć wiedzę i wykształcenie zbliżone do tego, jakie ma jego dowódca. Musi być bowiem dla niego równorzędnym partnerem do współpracy”, mówi st. chor. sztab. Wojtusik.

Projektowane zmiany mają też umożliwić udzielenie wsparcia finansowego i pomocy w podnoszeniu poziomu wykształcenia tym podoficerom i szeregowym, którzy zdecydują się na podjęcie studiów. W pierwszej kolejności bierze się pod uwagę uczelnie wojskowe, a jeśli nie będzie takiej możliwości, również cywilne. „Siły Zbrojne RP chcą inwestować w najlepszych, ambitnych szeregowych oraz podoficerów, wyposażając ich w trudno osiągalne umiejętności i wiedzę, np. z zakresu informatyki czy obrony cybernetycznej”, dodaje starszy podoficer Dowództwa Operacyjnego.

AWANS MA SIĘ OPŁACAĆ

W koncepcji zostały zawarte propozycje dotyczące wynagrodzeń. Dziś różnica zarobków między najniższym a najwyższym stopniem w korpusie podoficerskim wynosi zaledwie 820 zł brutto, w praktyce kwota ta uwzględnia więc całą karierę podoficera. „Różnice w uposażeniach między stopniami i grupami są niewielkie, a za jakimkolwiek awansem nie idą pieniądze. Ma to duży wpływ na m.in. mobilność podoficerów, ich dyspozycyjność. Owszem, nowe stanowisko może być prestiżowe, dawać szanse na rozwój, ale i tak znakomita część żołnierzy rozpatruje to w kategoriach materialnych. Doszło do kuriozalnych sytuacji, że nie opłaca się awansować, bo wiąże się to w wielu wypadkach ze zmianą miejsca zamieszkania i większą odpowiedzialnością”, mówi st. chor. sztab. Nastarowicz.

Podoficerowie proponują zatem, by siatka płac była powiązana z najniższym

uposażeniem żołnierza zawodowego. Oznacza to, że np. pensja na grupie U10 powinna być określona wielokrotnością tej z grupy U-0. Czyli niezależnie od tego, jaki będzie budżet i jakie będą podwyżki, relacje wynagrodzeń między stopniami powinny być takie same.

W kwestiach finansowych planowane jest też wprowadzenie nowych stawek uposażenia w korpusie podoficerów z grupy U-10A oraz w korpusie szeregowych z grupy U-1A. Zwiększony ma być także dodatek służbowy dla szefa pododdziału w związku z jego planowaną nową rolą – pierwszego podoficera kompanii. Na nowy dodatek będą mogli liczyć podoficerowie pełniący służbę w centrach, szkołach i ośrodkach szkolenia.

Choć podpisana przez ministra koncepcja dotyczy głównie podoficerów, część zmian ma objąć szeregowych zawodowych, kandydatów na kaprali. Przewiduje się m.in. utworzenie dodatkowego stopnia – starszego szeregowego specjalisty. Takie rozwiązanie ma poprawić możliwości rozwoju służbowego dla tych, którzy nie zamierzają wstąpić do korpusu podoficerskiego. „Zwiększy to możliwości rozwoju dla najlepszych szeregowych, zajmujących najbardziej odpowiedzialne stanowiska, na których jest konieczne ukończenie wymagających szkoleń i kursów. Ale to nie przekreśla ich przejścia na normalnych zasadach do korpusu podoficerów”, zaznacza st. chor. sztab. Niedziela. Starszy podoficer SGWP podkreśla z kolei, że chodzi o rozróżnienie stanowisk szeregowych, którzy pełnią w wojsku funkcje proste, od tych, którzy są specjalistami, np. kierowcami KTO Rosomak.

„Taki żołnierz musiał ukończyć odpowiednie kursy, jest odpowiedzialny za sprzęt warty kilka milionów złotych, a jego obowiązki są znacznie większe” mówi st. chor. sztab. Nastarowicz.

Zmianą, która powinna ucieszyć żołnierzy, ma być odejście od służby kontraktowej na rzecz stałej. W korpusie podoficerskim służy około 10% żołnierzy kontraktowych, a korpus szeregowych zawodowych składa się z żołnierzy służących na kontraktach. W armii zatem zostaną wprowadzone mechanizmy, które pozwolą zrezygnować z kandydatów nienadających się do służby. Zakłada się więc ustanowienie okresu próbnego w wymiarze od roku do trzech lat.

„To ważna chwila dla naszego korpusu, długo czekaliśmy na te zmiany. Chcemy armii funkcjonalnej, a nie socjalnej. Te regulacje mają nas przybliżyć do tego, by wojsko było w pełni sprawne operacyjnie, dawało satysfakcję tym, którzy chcą służyć i pomnażać swoje umiejętności”, mówi st. chor. sztab. Wojtusik. ■

ANALIZA STANOWISK

Sztab Generalny WP zapowiada przegląd wszystkich stanowisk służbowych. Chodzi o to, aby dokonać ponownej „wyceny” każdego z nich pod względem umiejscowienia w strukturze, zakresu obowiązków i odpowiedzialności, a także wpływu na budowanie ścieżki rozwoju służbowego danego żołnierza. Analiza ma stworzyć warunki do przeprowadzenia ewentualnej „konwersji” pomiędzy trzema korpusami. W opinii żołnierzy istnieje określona liczba stanowisk zajmowanych np. przez oficerów, na których z powodzeniem mogliby służyć dobrze przygotowani i doświadczeni podoficerowie. ■

Gotowy na wezwanie

Jest mistrzem Europy wśród żołnierzy w honorowym oddawaniu krwi.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Wubiegłym roku stuknęła mu czterdziestka – st. chor. sztab. Jacek Schmidt z Oddziału Żandarmerii Wojskowej w Szczecinie po raz pierwszy oddał honorowo krew w 1988 roku. Bezcen-
nym płynem, który od tamtego czasu przekazywał innym (173 l krwi i jej składników), można by napęlić sporą wannę. Zamiast o rekordach Jacek Schmidt woli jednak mówić o pomocy w uratowaniu życia ponad 70 osób.

„Dziś żyjemy szybko. Dążymy do tego, aby mieć więcej i lepiej. Tym bardziej decyzja o oddaniu części siebie, aby ratować życie i zdrowie innych, jest dla mnie pięknym i szlachetnym gestem”, podkreśla chorąży.

„To człowiek nietuzinkowy, serdeczny i przyjacielski. Nigdy nie odmawia pomocy. Nie tylko sam oddaje krew, lecz także namawia do tego innych. Często angażuje się też w akcje promujące wojsko”, mówi por. Błażej Łukaszewski z 12 Brygady Zmechanizowanej, w której służył chorąży.

RODZINNA TRADYCJA

„Lubię pomagać ludziom, dlatego dzielę się z nimi tym, co najcenniejsze. Nauczył mnie tego mój tata, także honorowy krwiodawca, który był dla mnie wzorem i autorytetem”, podkreśla Schmidt.

Był już pełnoletni, gdy ojciec opowiedział mu historię z dzieciństwa. Miał niecałe dwa lata, gdy ciężko zachorował i rodzice bali się o jego życie. Uratowała go właśnie transfuzja – dostał krew ojca. „Po dwóch tygodniach byłem już zdrowy i zostałem wypisany ze szpitala. Ta opowieść oraz osobisty przykład mojego taty spowodowały, że zostałem krwiodawcą”, opowiada.

Krew zaczął oddawać, gdy był słuchaczem drugiego roku Szkoły Podchorążych Wojsk Obrony Przeciwlotniczej w Koszalinie. Miał 19 lat. „Pamiętam, że ciekawiło mnie, co się dzieje z człowiekiem podczas oddawania krwi. Byłem wówczas szczęśliwy, że w końcu tego dokonałem”, wspomina. Od tamtej pory regularnie pojawia się w Regionalnym Centrum Krwiodawstwa w Szczecinie.

Dobry przykład mobilizuje. „Moja żona i starsza córka również oddają hono-

rowo krew. Córka poszła w moje ślady, gdy ukończyła 18 lat. Towarzyszyłem jej wówczas w stacji krwiodawstwa i nie ukrywam, że byłem dumny z jej decyzji”, dodaje.

W ponad 30-letniej karierze honorowego krwiodawcy Jacka Schmidta nie brakowało wzruszających momentów, gdy okazywało się, że 450 ml czerwonego płynu ratowało czyjeś życie. Chorąży wspomina czas, gdy był żołnierzem 124 Pułku Przeciwlotniczego w Szczecinie. „Otrzymałem informację, że pilnie potrzebna jest krew dla oficera z naszej jednostki. Natychmiast razem z 20 żołnierzami pojechaliśmy do szpitala przy ul. Unii Lubelskiej w Szczecinie, gdzie oddaliśmy krew. Kapitan, który ją otrzymał, wrócił w pełni sił. To jednak nie koniec tej historii. Po latach do pododdziału, w którym byłem szefem kompanii, trafił syn owego kapitana. Gdy dowiedział się, że byłem organizatorem akcji oddania krwi dla jego ojca, serdecznościom i podziękowaniom nie było końca. Było to dla mnie wzruszające przeżycie”, opowiada Jacek Schmidt.

W 2013 roku, jako zasłużony dawca krwi, chor. Schmidt został uhonorowany przez prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi. Wśród licznych odznaczeń ma m.in. złote medale: „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny”, „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, „Za Długoletnią Służbę” czy Gwiazdę Afganistanu.

SPORTOWE PASJE

Chor. Schmidt to osoba pozytywnie zakręcona, jeśli chodzi o sport – jest długodystansowcem oraz morsem. „Aktywność fizyczna zawsze odgrywała w moim życiu ważną rolę”, przyznaje. Od czwartej klasy szkoły podstawowej trenował piłkę

ręczną. Grę w szczypiorniaka zakończył po kilkunastu latach, gdy klub Energetyk Gryfino wszedł do II ligi. Po trzydziestce zaczął biegać. Dziś codziennie pokonuje co najmniej 10 km, ale jego pasją są biegi długodystansowe. „W tym sporcie ważna jest systematyczność”, tłumaczy. Dzięki takiemu podejściu ma za sobą 65 maratonów i 15 ultramaratonów, w tym ten kaszubski, zorganizowany przez stowarzyszenie działające przy jednostce morskich sił specjalnych Formoza. To było prawdziwe wyzwanie – należało pokonać dystans 185 km.

W POLSCE JEST PONAD 600 TYS. HONOROWYCH DAWCÓW KRWI. ABY DOŁĄCZYĆ DO ICH GRONA, WYSTARCZY SKOŃCZYĆ 18 LAT, BYĆ ZDROWYM I MIEĆ DOBRE CHĘCI

Jego sportowym marzeniem jest ukończenie Spartathlonu. Trasa tego biegu liczy 246 km i prowadzi z centrum Aten do Sparty, gdzie kończy się pod pomnikiem Leonidasa. Zawodnicy muszą ją pokonać w ciągu 36 godzin, meldując się w określonym czasie w punktach kontrolnych. Nawet niewielkie spóźnienie powoduje dyskwalifikację. „Co roku zostaje zakwalifikowanych 350 biegaczy z całego świata, którzy przechodzą odpowiednią weryfikację. W 2018 roku byłem wpisany na listę rezerwową, nie miałem szczęścia w losowaniu”, opowiada chorąży. „Jacek ma duszę sportowca i zawsze dąży do postawionego sobie celu”, podkreśla sierż. Jacek Łagiewka z Garnizonu Szczecin.

KREW NA CZAS

Jacek Schmidt dwukrotnie wyjeżdżał na zagraniczne misje. W 2008 roku był pomocnikiem dowódcy plutonu NSE (National Support Element, czyli narodowe wsparcie logistyczne) na XVIII zmianie PKW KFOR Kosowo. W 2013 roku spędził osiem miesięcy na XII zmianie PKW Afganistan, gdzie pełnił obowiązki szefa grupy wsparcia ogniowego. W Afganistanie honorowe krwiodawstwo

odbywało się na tzw. wezwanie. Przez radiowęzeł nadawano komunikat, że pilnie jest potrzebna krew danej grupy. Chętni do jej oddawania wypełniali odpowiednie formularze, które później przyspieszały całą procedurę. Chor. Schmidt znalazł się na takiej liście, ale wezwania nie usłyszał.

Na misji w Afganistanie został ranny. „W wyniku nieszczęśliwego zdarzenia doznałem urazu prawej ręki, co spowodowało trwały uszczerbek na zdrowiu w wysokości 5%”, mówi. Ma status weterana poszkodowanego i jest członkiem Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Dwukrotnie został wybrany podoficerem roku 12 Dywizji Zmechanizowanej: w 2007 roku jako żołnierz 3 Pułku Przeciwlotniczego w Szczecinie oraz w 2014 roku jako żołnierz 12 Brygady Zmechanizowanej w Szczecinie. W 2014 roku został podoficerem roku Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

SZEŚĆ RAZY W ROKU

Przez 27 lat chor. Schmidt był członkiem Wojskowego Klubu Honorowych Dawców Krwi Polskiego Czerwonego Krzyża w Szczecinie, który zrzesza żołnierzy zawodowych i emerytowanych oraz ich rodziny. W latach 2001–2018 był prezesem tego klubu. Promował honorowe krwiodawstwo i do niego zachęcał. „Jacek udziela się w wielu akcjach charytatywnych i odpowiada niemal na każdy apel o pomoc”, dodaje sierż. Jacek Łagiewka z Garnizonu Szczecin.

Chor. Schmidt przytacza statystykę: w Polsce jest ponad 600 tys. honorowych dawców krwi. Aby dołączyć do ich grona, wystarczy skończyć 18 lat, być zdrowym i mieć dobre chęci. „Mężczyzna może oddawać krew do 65. roku życia, co dwa miesiące, czyli sześć razy w roku”, podkreśla. Podczas operacji zwykle zużywa się około 2 l krwi, do bardziej skomplikowanych zabiegów potrzebnych może być nawet 15 l.

Jak tłumaczy chorąży, ważne, aby krew oddawać regularnie, a nie wtedy, gdy dochodzi do tragedii. Przywołuje przykład katastrofy dachu hali Międzynarodowych Targów Katowickich. Wówczas tak wiele osób odwiedziło lokalne punkty krwiodawstwa, że trzeba było część krwi zutylizować.

„Będę krwiodawcą, dopóki zdrowie i lekarz mi na to pozwolą”, podsumowuje rekordzista. Od 2008 roku jego nazwisko znajduje się w europejskiej bazie danych dawców szpiku kostnego. Także tą drogą może uratować komuś życie. ■

MICHAŁ NIWICZ



MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

WSPARCIE NA CZTERECH ŁAPACH



W WOT będą służyć psy. Czworonogi zajmą się poszukiwaniem osób zaginionych. Z czasem wyszkolone zostaną także do wykrywania ładunków wybuchowych i grup dywersyjnych przeciwnika.

Koncepcja wykorzystywania psów przez terytorialsów wpisuje się w przygotowywaną ideę pozyskania zdolności typu urban search and rescue (USAR), a ratownictwo w obszarach miejskich jest jednym z kierunków, w jakich będzie się rozwijać WOT.

SPRAWDZONE W BOJU

„Pewne wzorce będziemy czerpać np. z jednostek izraelskich. Tam dziedziną USAR zajmuje się Dowództwo Frontu Krajowego [Home Front Command – HFC]”, opowiada płk Maciej Klisz, szef sztabu Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej. „Zakres działania HFC w pewnym stopniu zbieżny jest z tym, co zamierzają robić wojska OT. Koncentrujemy się bowiem na rozwijaniu zdolności podwójnego zastosowania, czyli takich, które można wykorzystać zarówno w czasie pokoju, jak i wojny. Poszukiwanie osób zaginionych na terenach miejskich na pewno wpisuje się w te zdolności”, tłumaczy oficer.

Płk Klisz w październiku 2018 roku wziął udział w specjalistycznych warsztatach, organizowanych corocznie od ponad 15 lat przez dowództwo Home Front Command. Cieszą się one dużym zainteresowaniem armii z całego świata. W tegorocznej, 15. edycji wśród 70 uczestników z 13 krajów – m.in. z Filipin, Hiszpanii, Chin, Gruzji, Francji, Niemiec, Kanady, USA – byli także Polacy. Nasze siły zbrojne reprezentowała delegacja z DWOT-u oraz MON-u. „To był bardzo ciekawy czas, który zaowocuje już w niedalekiej przyszłości. W 2019 roku w Polsce odbędą się spotkania planistyczne i przygotowawcze. Wspólnym celem jest to, by w 2020 roku odbyły się

w naszym kraju pierwsze ćwiczenia prowadzone zgodnie z założeniami USAR. W szkoleniach wezmą udział przedstawiciele izraelskiego HFC, ale prawdopodobnie także inne służby mundurowe z Polski, np. policja czy straż pożarna”, mówi płk Klisz. Podkreśla przy tym, że USAR nie sprowadza się tylko do szybkiego odnalezienia i identyfikacji zaginionych. „Izraelczycy uważają, że trzeba jak najszybciej uporać się ze skutkami negatywnych zdarzeń, takich jak np. trzęsienia ziemi czy ataki terrorystyczne. Chodzi o to, by w społeczeństwie nie utrzymywać traumy, a pokazywać ludziom, że są instytucje, które potrafią opanować chaos i zaplanować skuteczne działanie”, mówi.

Żołnierze WOT-u, którzy byli w Izraelu, podkreślają także, że ważnym aspektem działalności z zakresu USAR jest pomoc psychologiczna. „Istnieje tam coś takiego jak psychologiczna pierwsza pomoc. Chcielibyśmy rozwijać zdolności WOT-u także w tym obszarze”, zapowiada szef sztabu DWOT-u. W opracowywaną ideę urban search and rescue wpisuje się także wykorzystanie w służbie psów.

NAJPIERW NA ŚLĄSKU

Pilotażowy program grup poszukiwawczo-ratowniczych K9 zostanie uruchomiony w 13 Śląskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej. Jej dowódca, płk Tomasz Białas, przypomina, że brygady OT oprócz wykonywania zadań operacyjnych mają też działać w sytuacjach kryzysowych, czyli m.in. brać udział w misjach poszukiwawczych. Takie możliwości daje ustawa o powszechnym obowiązku obrony, w której zapisano, że woj-



KAROL KORZEC

SZUKANIE W MIEŚCIE

Home Front Command ma doświadczenie w działalności typu urban search and rescue. Poszukiwanie osób zaginionych na terenach miejskich prowadzono na szeroką skalę m.in. podczas drugiej

wojny izraelsko-libańskiej w 2006 roku, kiedy to w wyniku ataków rakietowych ucierpiała ludność cywilna. Wojsko izraelskie przekonało się, jak ważne jest umiejętne zarządzanie sytuacją kryzysową. ■

WPROWADZAJĄC PSY DO SŁUŻBY, ŚLĄSKA BRYGADA OT BĘDZIE KORZY- STAĆ Z POMOCY OCHOTNICZEJ STRAŻY POŻARNEJ



ska OT, jako jedyny rodzaj sił zbrojnych, mogą uczestniczyć w akcjach poszukiwawczych oraz ratowania lub ochrony zdrowia i życia ludzkiego. „Poszukiwanie osób zaginionych opiera się w dużym stopniu na ochotniczej straży pożarnej. Postanowiliśmy uzupełnić ich możliwości. Nie chcemy być dla nich konkurencją, tylko wsparciem”, podkreśla dowódca.

Psy w WOT mają wykonywać dwa podstawowe zadania. Po pierwsze, w czasie działań kryzysowych będą służyć do poszukiwania zaginionych w terenach miejskich trudno dostępnych dla człowieka, np. gdy dojdzie do katastrofy budowlanej, lub w obszarach lesistych. Po drugie, w czasie działań bojowych mają służyć do wykrywania grup dywersyjnych przeciwnika. Będą mogły poszukiwać izolowanego personelu, mają być też przygotowane do wykrywania materiałów wybuchowych.

„Sprawdziliśmy, że w straży pożarnej są psy i ich przewodnicy, ale przede wszystkim brakuje nawigatorów. I właśnie tę lukę w pierwszej kolejności będziemy wypełniać”, mówi płk Białas. Szer. Monika Ligejka, żołnierz terytorialnej służby wojskowej (TSW) i przewodnik psów, wyjaśnia, że idealny team składa się z psa, przewodnika i nawigatora. „Zadania są ściśle podzielone. Przewodnik koncentruje się wyłącznie na psie, jego poszukiwaniach, kondycji, sprawdza stan zdrowia zwierzęcia i wychwytuje ewentualne kontuzje czy zachowanie, które może wskazywać na to, że zwierzę zwróciło uwagę na jakiś obszar. Nawigator zaś skupia się wyłącznie na dokładnym czytaniu mapy lub GPS-u, kontroli, czy wyznaczony teren został przeszukany, zaznaczaniu miejsc niemożliwych do przeszukania, komunikuje się też z dowodzącymi. To jest ważne, bo większość akcji poszukiwawczych jest prowadzona w nocy”, mówi. Podaje też przykład akcji poszukiwawczej w Norwegii, gdzie przewodniczka była tak skupiona na działaniach psa, że sama uległa wypadkowi i spadła ze skarpy.

Wprowadzając psy do służby, śląska brygada OT będzie korzystać z pomocy ochotniczej straży pożarnej. Na początku

wyselekcjonowana grupa żołnierzy TSW trafi do OSP na szkolenia instruktorskie nawigatorów. Potem oni sami pod okiem OSP będą mogli szkolić następców już w 13 BOT.

SZEROKA PERSPEKTYWA

Zgodnie z założeniami przez pierwszy rok czy dwa lata WOT będą szkolić nawigatorów. Dopiero później spośród wyselekcjonowanych żołnierzy tej formacji z odpowiednimi predyspozycjami psychofizycznymi zostaną wybrani potencjalni przewodnicy psów. „Obserwujemy ogromne zainteresowanie tym tematem, chętnych do pracy z psami jest sporo. Trzeba jednak pamiętać, że to wyzwanie wymaga zaangażowania 24 godziny na dobę. Szkolenia rotacyjne nie wystarczą, by szkolić zwierzę”, mówi płk Białas.

WOT chcą odejść od praktykowanych dotąd w armii sposobów szkolenia i hodowli psów. Intencją dowództwa 13 ŚBOT jest całkowita rezygnacja z chowu klatkowego na rzecz kynologii rodzinnej. Psy mają być socjalizowane, zaprzyjaźnione z ludźmi i zupełnie pozbawione agresji.

Służba psów w WOT będzie się opierała na istniejących przepisach – rozporządzeniu ministra spraw wewnętrznych i administracji w sprawie zwierząt wykorzystywanych w akcjach ratowniczych. „Jeżeli żołnierz WOT-u zechce zostać przewodnikiem psa, to będzie musiał spełnić wymagania zawarte w tym rozporządzeniu. To on poniesie koszty związane z kupnem zwierzęcia, jego wyszkoleniem i utrzymaniem. On przygotowuje psa do państwowego egzaminu. Jeśli zwierzę zostanie dopuszczone do służby, zasady nieco się zmienią”, zapowiada płk Białas. Pies otrzyma etat w 13 Brygadzie, armia będzie łożyć na szkolenie, żywienie oraz opiekę weterynaryjną. Szacuje się, że pierwsze psy w służbie pojawią się za trzy lata.

Jeżeli projekt K9 sprawdzi się w śląskiej brygadzie, Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej wprowadzi go w kolejnych jednostkach OT. ■

MILITARIA

/ PRZEGLĄD

IRANIAN DEFENSE MINISTRY VIA AP/EAST NEWS



MOCNE WEJŚCIE NAPASTNIKA

**Karrar, udana irańska modyfikacja czołgu T-72,
ma szanse znacznie podnieść skuteczność
formacji pancernych tego kraju.**

TOMASZ OTŁOWSKI

**NOWY
IRAŃSKI CZOŁG
PODSTAWOWY**

KARRAR jest bez wątpienia efektem bliskiej współpracy technologicznej i konstruktorskiej Irańczyków z Rosjanami.

P

od koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku siły zbrojne Islamskiej Republiki Iranu (IRI) były zdziesiątkowane i wyczerpane osmioletnim (1980–1988), krwawym konfliktem z Irakiem, a formacje pancerne należały do jednego z najbardziej dotkniętych stratami w ludziach i sprzęcie komponentów irańskich sił zbrojnych. Budowane po 1979 roku faktycznie od podstaw, podobnie jak cała armia rewolucyjnego Iranu, dysponowały wyłącznie sprzętem odziedziczonym po siłach zbrojnych Szacha: archaicznymi czołgami podstawowymi produkcji amerykańskiej (M-47M, M-48A5, M-60A1) oraz nieco tylko nowocześniejszymi brytyjskimi maszynami Chieftain Mk.3/Mk.5. Nic zatem dziwnego, że przez cały czas trwania wojny Irańczycy nie mogli w starciach pancernych sprostać Irakijczykom, wyposażonym w setki względnie nowoczesnych, głównie sowieckich czołgów. Tylko podczas jednej bitwy pancernej, stoczonej w rejonie zachodnioirańskich miast Ahwaz i Susangerd w styczniu 1981 roku, Irańczycy stracili aż 214 swych czołgów, co stanowiło około 20% całości ówczesnych sił pancernych rewolucyjnego Iranu.

Ta i inne klęski w bitwach pancernych na frontach wojny z Irakiem sprawiły, że jeszcze w trakcie trwania konfliktu Teheran zaczął desperacko szukać możliwości szybkiego dostarczenia swym oddziałom ciężkiego uzbrojenia. Sankcje ze strony Zachodu, a także ograniczenia wynikające z własnej doktryny „trzeciej drogi” (unikanie trwałych związków ze Wschodem i z Zachodem), spowodowały, że rewolucyjny Iran miał jednak niewielkie możliwości pozyskania względnie nowoczesnego uzbrojenia.

ZDOBYWANE I KUPOWANE

W trakcie wojny zdobyto na Irakijczykach kilkadziesiąt sztuk czołgów produkcji sowieckiej (T-54/-55, kilka T-62), a w Sudanie, Libii i Syrii udało się zakupić niewielką liczbę w większości używanych T-54/-55/-62. W 1985 roku Teheran za 400 mln dolarów kupił w Socjalistycznej Republice Wietnamu sprzęt wojskowy należący niegdyś do armii południowowietnamskiej, w tym około stu sztuk czołgów M-48 wraz z setkami ton oryginalnych części i podzespołów (co ciekawe, lista zakupów obejmowała także samoloty bojowe

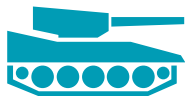
F-4/5 oraz śmigłowce AH-1 Cobra). Już pod koniec wojny z Irakiem w Chinach zakupiono kilkaset czołgów z serii typu 59 (chińska wersja T-55). Te nowo pozyskane wozy w większości nie zdążyły jednak odegrać większej roli w konflikcie z Irakiem (który stał się pozycyjną wojną na wyczerpanie), stały się za to podstawą procesu unowocześniania irańskich sił pancernych.

Prawdziwy przełom w tym zakresie nastąpił jednak dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Rozpad ZSRS sprawił, że Iran mógł już swobodnie kupować uzbrojenie w takich krajach, jak Ukraina, Białoruś czy Kazachstan, które szybko stały się (wraz z Rosją i Chinami) głównymi dostawcami nowoczesnego sprzętu wojskowego dla Teheranu. Irańczykom udało się w 1992 roku wykupić od Rosjan licencję (z pełną linią technologiczną) na produkcję T-72 i w ciągu niespełna dekady wyprodukowali u siebie ponad 400 czołgów tego typu. Dodatkowo, w latach 1994–1995, Iran kupił w Polsce 104 egzemplarze T-72.

CZOŁGI NIE DO PARY

W efekcie tych zakupów oraz modernizacji już posiadanego sprzętu, po roku 2000 (a więc w okresie gwałtownych zmian w środowisku międzynarodowym Bliskiego Wschodu, wywołanych m.in. amerykańską inwazją na Irak) siły zbrojne IRI dysponowały już komponentem pancernym składającym się z około 1,5–1,6 tys. czołgów. Problem polega jednak na tym, że w arsenale tym mieści się kilka różnych ich generacji i typów. Są to zarówno muzealne już amerykańskie wozy z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku (w irańskiej służbie wciąż znajduje się niemal 50 maszyn typu M-60A1 i M-48A5, trzy razy tyle tworzy zaś „rezerwę materiałowo-strategiczną”), równie stare sowieckie T-54/-55/-62 i chińskie typu 59/69, jak i nieco tylko nowsze maszyny brytyjskie (Chieftain), kupione przez rząd Szacha tuż przed rewolucją, a także najnowocześniejsze w irańskim arsenale czołgi z rodziny T-72 i Zulfikar. Ta różnorodność sprzętu stwarza olbrzymie problemy logistyczne, organizacyjne i techniczne (m.in. wymóg zróżnicowania bazy remontowo-serwisowej, zaplecza logistycznego i amunicyjnego itp.), co znacznie osłabia w praktyce siłę irańskiej „pancernej pięści”.

W takich realiach problem zdecydowanego odświeżenia i unowocześnienia floty czołgów znaj-



PO ROKU 2000
siły zbrojne IRI
dysponowały już
komponentem
pancernym
składającym się
z około

1500
czołgów.



IRAŃSKI T-72S w odświeżonej wersji „napastnika” został wyposażony w nową, smuklejszą, wieżę wraz z dodatkowym pancerzem zewnętrznym, co upodobiło jej kształt do najnowszych światowych konstrukcji, takich jak: Abrams, Leopard A5, T-90 (na zdjęciu).

RÓŻNORODNOŚĆ SPRZĘTU „PANCERNEJ PIĘŚCI” STWARZA OLBRZYMIE PROBLEMY LOGISTYCZNE I TECHNICZNE

dujących się w wyposażeniu regularnych sił zbrojnych IRI (Artesh) oraz Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (Pasdaran) staje się kwestią niecierpiącą zwłoki.

PRZEŁOMOWY PROJEKT

W lipcu 2018 roku ministerstwo obrony IRI oraz dowództwo Pasdaranu ogłosiły nowy plan rozbudowy i modernizacji sił pancernych kraju. Zgodnie z tym ambitnym projektem w ciągu najbliższych kilkunastu lat zarówno Artesh, jak i Pasdaran mają otrzymać łącznie do 700–800 nowych czołgów rodzimej produkcji. Irańczycy zakładają, że tempo modernizacji ich sił pancernych pozwoli na dostarczanie jednostkom w linii do 60 nowych maszyn rocznie. To bardzo ambitne zamiary, biorąc pod uwagę nowe sankcje amerykańskie. Dotychczasowy projekt modernizacji irańskich czołgów (Zulfikar), rozpoczęty na początku obecnego stulecia, pozwolił na dostarczenie jednostkom liniowym w sumie zaledwie około 50 w pełni sprawnych maszyn tego typu. Zulfikar jest jednak projektem opartym na komponentach z tech-

nologicznie różnych rozwiązań konstrukcyjnych (amerykańskich M-47M/M-60, rosyjskich T-55 i T-72 oraz chińskich Typ-69), jego sukces od początku był więc wątpliwy.

Źródła irańskie zapewniają jednak, że tym razem ma być inaczej, bowiem podstawą planowanego programu modernizacji sił pancernych IRI będzie modyfikacja konstrukcji T-72S. Iran ujawnił prace nad tym projektem w 2016 roku, w kolejnym zaś roku pokazano światu prototyp czołgu Karrar (napastnik).

Irański T-72S w odświeżonej wersji „napastnika” został wyposażony w nową, smuklejszą wieżę wraz z dodatkowym pancerzem zewnętrznym, co upodobiło jej kształt do najnowszych światowych konstrukcji (Abrams, Leopard A5, T-90). Tylna część mocno wydłużonej wieży służy jako dodatkowy magazyn amunicji do działa czołgowego. Większość źródeł sugeruje jednak, że załoga nie ma doń dostępu z wnętrza wozu, co znaczenie obniża skuteczność czołgu w warunkach bojowych. Dodatkowo tył wieży jest wyposażony w zewnętrzny stalowy kosz bagażowy, zwiększający jej



PROBLEM ZDECYDOWANEGO ODŚWIEŻENIA I UNOWOCZEŚNIENIA FLOTY CZOŁGÓW UŻYWANYCH PRZEZ REGULARNE SIŁY ZBROJNE IRI (ARTESH) ORAZ KORPUS STRAŻNIKÓW REWOLUCJI ISLAMSKIEJ (PASDARAN) STAJE SIĘ KWESTIĄ NIECIERPIĄCĄ ZWŁOKI

parametry defensywne. Korpus i wieża „napastnika” są wyposażone w pancierz reaktywny, który przypomina najnowszą rosyjską generację tego typu opancerzenia (Relikt), z nieco tylko pomniejszonymi kasetami – być może jest to irańska kopia tego rozwiązania. W każdym razie pancierz reaktywny zamontowany na nowym czołgu Karrar z pewnością nie jest modyfikacją przestarzałego już rozwiązania typu Kontakt-1, standardowo montowanego na rosyjskich T-72. Wzmocnieniem ochrony kadłuba i dolnej części wieży są ekrany przeciwkumulacyjne w postaci stalowych kratownic, a także gumowe osłony na elementy trakcyjne. Ochrona i bezpieczeństwo załogi wzmacniają automatyczne systemy gaśnicze i ochrony ABC.

Siłę ognia „napastnika” zapewnia głównie gładkolufowe działo kalibru 125 mm z amunicją różnego typu: ładunkami przeciwpancernymi (APFSDS – podkalibrowe, stabilizowane brzechwowo z odrzucanym sabotem) oraz ogólnego przeznaczenia (HE-FRAG – burząco-odłamkowe i HE – burzące). Według oficjalnych danych, efektywny zasięg ładunków typu APFSDS wynosi 2–3 km. Z zamontowanego w karrarze działa można także wystrzeliwać kierowane pociski przeciwpancerne (ATGM) bliżej nieokreślonego typu, o zasięgu rażenia 4–5 km. Działo ładowane jest przez automat karuzelowy, znany z sowieckich rozwiązań konstrukcyjnych w T-72, pozwalający osiągnąć szybkie tempo ognia działowego (do ośmiu strzałów/minutę), ale równocześnie drastycznie zmniejszający poziom bezpieczeństwa załogi (amunicja znajduje się bezpośrednio w przedziale załogi).

Charakterystycznym elementem w sylwetce karrara jest wydłużony kanciasty kołnierz u podstawy mocowania działła. Przeznaczenie tej zagadkowej konstrukcji nie jest jasne – być może jest to dopancerzenie styku lufy z wieżą, nie można też jednak wykluczyć, iż chodzi o zwiększenie stabilności armaty podczas strzałów w ruchu. Co ciekawe, niemal identyczne rozwiązania przedstawili kilkanaście lat temu Rosjanie, gdy przygotowywali własne modernizacje czołgu T-72 (futurystyczne projekty T-72I4 i T-72N4).

Oprócz działła głównego uzbrojenie „napastnika” stanowi również zdalnie sterowany moduł zamontowany na wieży i wyposażony w wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 12,7 mm (wg części źródeł 14,5 mm). Także i tutaj widać podobieństwa do zdalnego modułu zastosowanego przez Rosjan w T-90. W irańskim projekcie zrezygnowano ponadto ze współosiowego kaemu przy działle głównym.

Karrar – obsługiwany przez trzyosobową załogę – wyposażono w nowe systemy obserwacji i kontroli pola walki, w tym panoramiczny wizjer dowódcy wozu oraz wizjer działonowego. Czołg ma także przednie i tylne kamery (w tym na podczerwień), wspomagające kierowanie pojazdem. Według Irańczyków, jednocześnie zachowano jednak oryginalne systemy wizyjne z T-72.

Dopancerzenie i doposażenie pojazdu zwiększyło jego masę, dlatego konieczne było zamontowanie nowego, mocniejszego silnika. „Napastnik” jest zatem napędzany nową jednostką die-

selską o mocy 1000–1200 KM. Większość zachodnich źródeł jest zgodna co do tego, że Iran nie jest w stanie samodzielnie wyprodukować tego typu nowoczesnych konstrukcji napędowych, co oznacza, że silniki te (lub przynajmniej ich komponenty) muszą być dostarczone z zagranicy, zapewne przez Rosję.

Ciekawym rozwiązaniem konstrukcyjnym, rzadko spotykanym w przypadku czołgów, jest wbudowany w kadłub karrara lemiesz, służący do samodzielnego okopania się pojazdu.

REALNY PRZEŁOM

Nowy irański czołg podstawowy Karrar jest bez wątpienia efektem bliskiej współpracy technologicznej i konstruktorskiej Irańczyków z Rosjanami. Wskazuje na to zastosowanie wielu rozwiązań konstrukcyjnych ewidentnie rosyjskiego pomysłu i pochodzenia, a także ogólne uderzające podobieństwo „napastnika” do T-90. Bez odpowiedzi pozostaje na razie pytanie, czy współpraca ta to efekt oficjalnej polityki Moskwy, czy też – jak sugeruje część źródeł – „podkupienia” przez Teheran inżynierów i techników czołgowych z Rosji i państw dawnego ZSRS, wraz z ich know-how. Niezależnie od tych wątpliwości, karrar wydaje się realnym projektem militarnym, w odróżnieniu od wielu innych „przełomowych” propozycji zbrojeniowych Iranu z ostatnich lat, będących w istocie zwykłymi fantomami o PR-owym i propagandowym charakterze. „Napastnik” nie jest z pewnością maszyną mogącą się równać z najnowszymi konstrukcjami zachodnimi, rosyjskimi czy nawet chińskimi. W skali regionu ma jednak szanse stać się rozwiązaniem znacznie zwiększającym efektywność irańskich formacji pancernych. Warunkiem będzie utrzymanie przez Irańczyków zapowiadanego ambitnego tempa produkcji nowego czołgu, co z powodu sankcji amerykańskich i gwałtownie pogarszającej się, m.in. z tego powodu, kondycji gospodarki IRI może być trudnym zadaniem. ■

EURO POL TECH

20
19

Warszawa
8-10 maja
2019

**IX. MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA POLICYJNA**

**VI. MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
NAUKOWA CENTRALNEGO LABORATORIUM
KRYMINALISTYCZNEGO POLICJI**

**MIĘDZYNARODOWE TARGI
TECHNIKI I WYPOSAŻENIA
SŁUŻB POLICYJNYCH
ORAZ FORMACJI
BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA**

Okręt z drukarki 3D

Do służby w US Navy ma wkrótce trafić miniaturowy, bo mający zaledwie 9 m długości, okręt podwodny. I choć takich konstrukcji nasi sojusznicy mają w służbie sporo, ta będzie wyjątkowa.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Morscy komandosi, czyli jednostki specjalne przeznaczone do działań w środowisku wodnym, nie bez przyczyny są zaliczani do „operatorskiej” elity. Żołnierze tych formacji muszą być bowiem przygotowani do wykonywania zadań również na lądzie i w powietrzu. Na lądzie – bo to właśnie tam będą kluczowe elementy portowej infrastruktury, którą trzeba będzie zdobyć, zniszczyć, wyzwolić. I w powietrzu – bo czasem tylko desant ze śmigłowca będzie jedynym sposobem, aby dostać się np. na okręt lub statek, będący celem misji.

Każda licząca się na świecie armia ma morskie jednostki specjalne: Amerykanie – osławione US Navy SEALs, Brytyjczycy – Special Boat Service, Niemcy – Kampfschwimmerkompanie, Norwegowie – Marinejegerkommandoen, Duńczycy – Jægerkorpsset, Hiszpanie – Unidad de Operaciones Especiales. My nie jesteśmy gorsi. Mamy nie tylko Formozę, czyli wyspecjalizowaną jednostkę morską, lecz także GROM, który w swojej palecie zadań ma też operacje wodne, takie jak odbijanie statków, platform wiertniczych, minowanie okrętów. Nie bez przyczyny świat dowiedział się o „gromikach” w 2003 roku, kiedy to wspólnie z amerykańskimi „fokami” zdobyli terminal naftowy w irackim porcie Umm Kasr.

SZYBKO, JESZCZE SZYBCIEJ

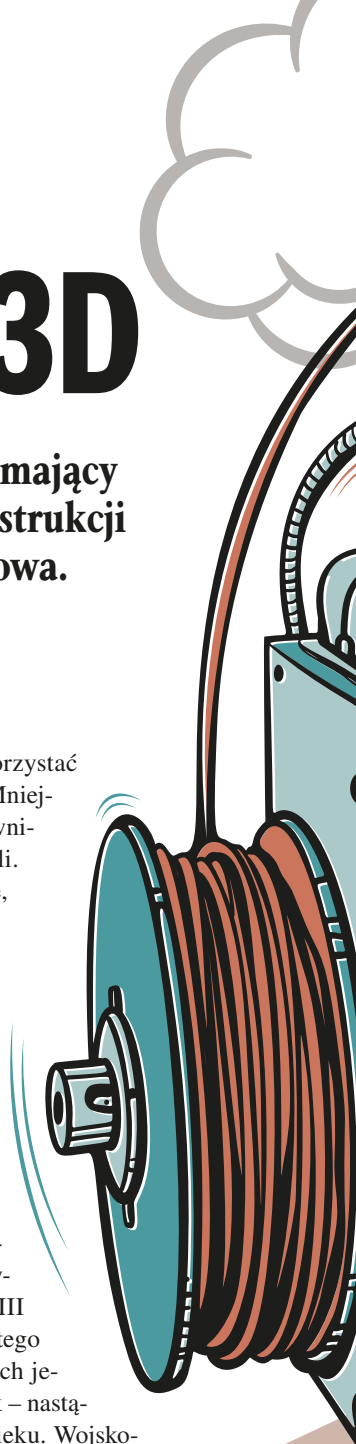
Aby operatorzy z wymienionych jednostek mogli wykonywać powierzone im zadania, potrzebują wysoce wyspecjalizowanego sprzętu. Nie tylko bojowego, w postaci różnorodnego uzbrojenia, lecz także logistycznego, z naciskiem na ten transportowy. O ile bowiem w rejon działania komandosi mogą się dostać w zasadzie dowolnym środkiem pływającym, latającym czy jeżdżącym, o tyle do celu misji szlak najczęściej prowadzi już po wodzie. Jeżeli wybierają łodzie, to zazwyczaj korzystają z bardzo szybkich konstrukcji typu rigid inflatable boat (RIB). Jeśli niezbędna jest skrytość, to muszą używać albo siły własnych mięśni (płetwy), albo innego rodzaju specjalnych pojazdów podwodnych.

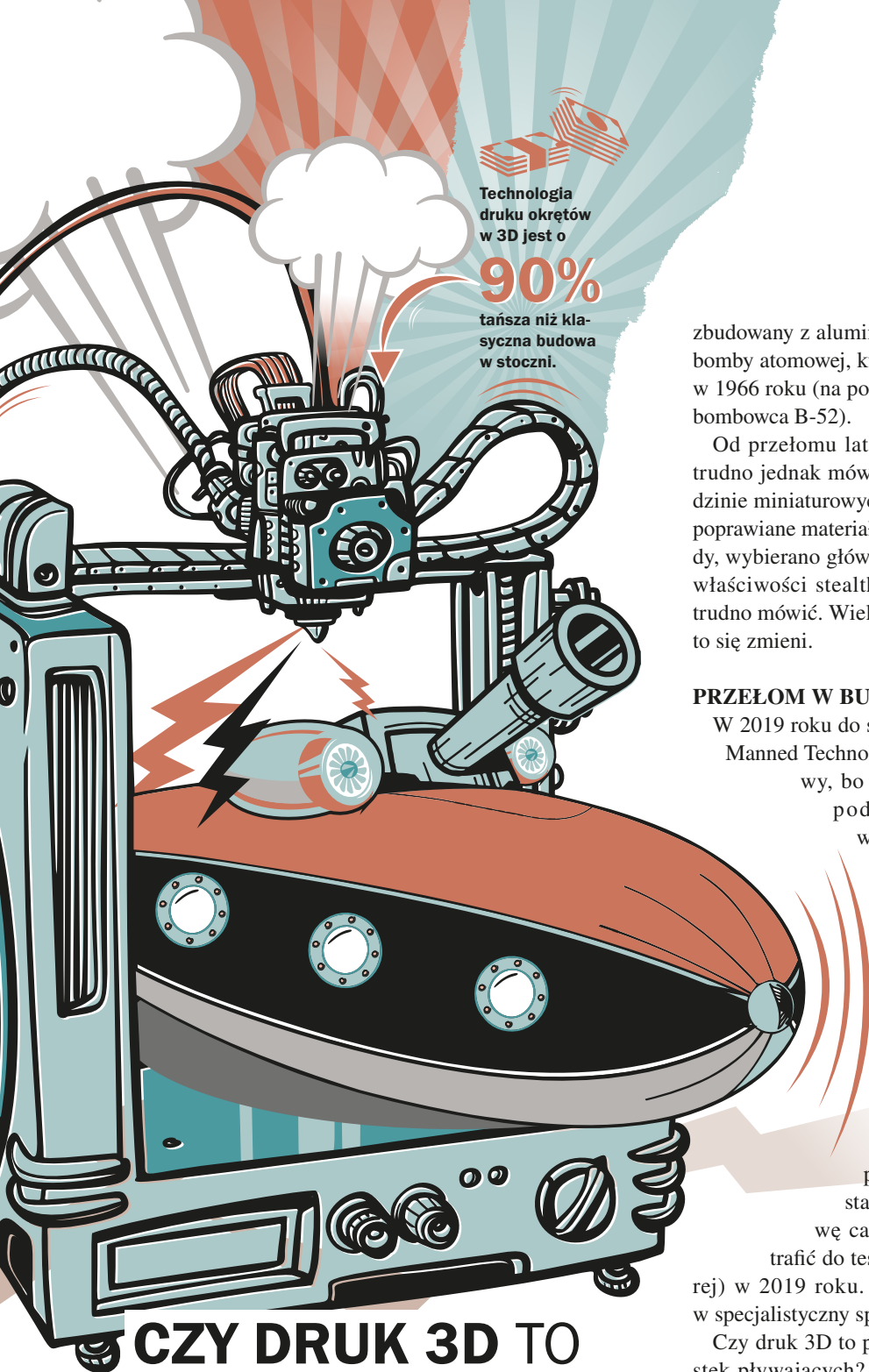
Możemy je podzielić na dwa typy – mokre i suche. Pierwsze to takie konstrukcje, w których operator ma cały czas

bezpośredni kontakt z wodą i musi korzystać (bez przerwy) z aparatów tlenowych. Mniejsze modele służą jako podwodne holowniki, a w większych siedzi się w gondoli. Zdecydowanie bardziej skomplikowane, ale dające znacznie lepsze możliwości skrytego podejścia (ze względu na większą głębokość działania), są konstrukcje suche. Ich budowę można w zasadzie opisać jednym zdaniem – to miniaturowe łodzie podwodne, które mogą mieć od 5 do ponad 20 m długości i są w stanie zabrać na pokład od sześciu do ośmiu operatorów.

Choć historia miniaturowych łodzi podwodnych jest bardzo długa, bo przecież od takich właśnie konstrukcji zaczął się podbój morskich głębin w XVIII wieku, to prawdziwy wysyp pojazdów tego typu – wyspecjalizowanych, niebędących jedynie mniejszą wersją dużych jednostek – nastąpił w latach trzydziestych ubiegłego wieku. Wojskowi z całego świata, zaczynając od Brytyjczyków, poprzez Japończyków, Włochów, Niemców, Rosjan, aż po Amerykanów, pokładali bowiem w tego typu uzbrojeniu spore nadzieje. Takie okręty miały w portach i na kotwiczniskach zwalczać jednostki nieprzyjaciela – za pomocą min czy torped. Początek II wojny światowej na Pacyfiku (a dokładniej japoński atak na Pearl Harbor) pokazał, że mogą to robić całkiem nieźle. Używano ich jednak nie tylko do ataku. Brytyjski Welfreighter był konstrukcją stworzoną dla wojsk specjalnych, którą wykorzystywano m.in. do przerzucania alianckich agentów do okupowanej Europy.

Po zakończeniu działań wojennych liczące się armie nie porzuciły miniaturowych okrętów podwodnych. Opłacalność ich użycia – nurek mógł zniszczyć wart setki milionów okręt – sprawiła, że wyłożono środki na nowe konstrukcje. Rosjanie opracowali m.in. tritony, a Amerykanie np. model X-1 oraz aluminauta, czyli pierwszy na świecie okręt podwodny





Technologia
druku okrętów
w 3D jest o

90%

tańsza niż kla-
syczna budowa
w stoczni.

CZY DRUK 3D TO PRZEŁOM W BUDO- WIE WOJSKOWYCH JEDNOSTEK PŁYWA- JĄCYCH? NA PEWNO JEST TO ROZWIĄZA- NIE EKONOMICZNE

zbudowany z aluminium. Zasłynął on z akcji poszukiwania bomby atomowej, która trafiła na dno Morza Śródziemnego w 1966 roku (na pokładzie rozbitego u wybrzeży Hiszpanii bombowca B-52).

Od przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych trudno jednak mówić o technologicznej rewolucji w dziedzinie miniaturowych okrętów podwodnych. Owszem, były poprawiane materiały, z których je wykonywano, oraz napędy, wybierano głównie takie rozwiązania, które zwiększały właściwości stealth, ale o przełomowych konstrukcjach trudno mówić. Wiele jednak wskazuje na to, że już wkrótce to się zmieni.

PRZEŁOM W BUDOWIE

W 2019 roku do służby w US Navy ma wejść Optionally Manned Technology Demonstrator (OMTD), miniaturowy, bo mający zaledwie 9 m długości, okręt podwodny, którego kadłub powstał w ogromnej drukarce 3D! Technologię tę, na zlecenie amerykańskiej marynarki wojennej, opracowali inżynierowie z Oak Ridge National Laboratory. W 2017 roku z użyciem wielkoskalowej drukarki Big Area Additive Manufacturing wyprodukowali oni z włókna węglowego sześć fragmentów kadłuba, które następnie połączyli w całość. Ich dzieło trafiło do ośrodka US Navy Carderock (w Potomacu, stan Maryland), gdzie przeszło serię badań i testów. Na tej podstawie dowództwo US Navy zleciło budowę całego prototypowego okrętu, który ma trafić do testów w którejś z flot (nie określono której) w 2019 roku. Obecnie trwa doposażenie jednostki w specjalistyczny sprzęt.

Czy druk 3D to przełom w budowie wojskowych jednostek pływających? Na pewno jest to rozwiązanie ekonomiczne. Jak bowiem podkreślają przedstawiciele US Navy, technologia druku okrętów w 3D jest o 90% tańsza niż klasyczna budowa w stoczni. Wyprodukowanie demonstracyjnego kadłuba OMTD kosztowało około 60 tys. dolarów, a za taki sam obiekt ze stoczni trzeba by zapłacić około 600–800 tys. A więcej pieniędzy w budżecie wojska to więcej środków na inne projekty, chociażby te eksperymentalne. Jednak to również jest rewolucja operacyjna. Skoro kadłub da się wyprodukować w cztery dni, to dowódcy US Navy mogą zlecić inżynierom skonstruowanie okrętów na „bieżąco”, o wymiarach i kształtach dostosowanych do środowiska, w którym w danej, bardzo konkretnej misji mają one działać.

W grudniu 1997 roku Polska podpisała międzynarodowy dokument o zakazie użycia, składowania, produkcji i transferu min przeciwpiechotnych oraz ich zniszczeniu. Choć konwencję ottawską ratyfikowaliśmy 15 lat później, o wiele wcześniej wypełniliśmy jednak większość jego postanowień.

WYPEŁNIANIE LUKI

Polska w 2002 roku miała około 1 056 000 sztuk min przeciwpiechotnych typu PMD-6, POMZ-2(2M), PSM-1 oraz MON-100. W momencie ratyfikacji konwencji ottawskiej w wyposażeniu było jeszcze około 17 tys. min typu PSM-1 oraz elementy pozostałych min przeciwpiechotnych, ale przekazano je Agencji Mienia Wojskowego do utylizacji. Ostatecznie cały proces zakończył się w Polsce w czerwcu 2016 roku. Wtedy w naszym defensywnym systemie obronnym powstała luka. Dlatego w 2007 roku rozpoczęto prace nad stworzeniem nowego, alternatywnego systemu minowania, spełniającego wymogi konwencji ottawskiej. Przygotowanie projektu zlecono Wojskowemu Instytutowi Techniki Inżynierskiej z Wrocławia. Władze wojskowe z czasem uznały jednak, że przy okazji tworzenia nowego systemu zapór minowych przydałby się też ten przeciwpancerny. Dlatego w 2008 roku podpisano z WITI drugą umowę.

Po rozpoczęciu prac projektowych Instytut zaprosił do współpracy inżynierów z firmy MindMade z Warszawy oraz specjalistów z Bydgoskich Zakładów Elektromechanicznych Belma. Powstało konsorcjum, którego zadaniem było stworzenie najnowocześniejszego na świecie systemu sterowanych ładunków wybuchowych (SSEW). W 2012 roku powstał prototyp, który pozytywnie przeszedł badania, ale komisja badań kwalifikacyjnych powołana przez Inspektorat Uzbrojenia MON uznała, że w związku z postępem technologicznym wyrób należy udoskonalić. Ponadto w tym systemie wykorzystano, będące jeszcze w zasobach armii, miny przeciwpiechotne typu MON-100, które zgodnie z postanowieniami konwencji ottawskiej powinny być zutyliczowane.

Inżynierowie mieli zatem opracować humanitarny i nowoczesny system sterowanych ładunków wybuchowych, nad



BOGUSŁAW
POLITOWSKI

Jarzębina dojrzewa

Polscy żołnierze będą mieli do dyspozycji jedno z najnowocześniejszych na świecie systemów sterowanych min przeciwpancernych i ładunków wybuchowych.

wieni. Kiedy bowiem pracowano nad pierwszym prototypem, takich urządzeń jeszcze nie było. Koordynujący projekt w konsorcjum dr inż. Leszek Bogdan, dyrektor WITI, informuje jednak, że dobiega końca wykonanie modelu SSEW, za którego pomocą będą prowadzone badania nad ustaleniem, czy udało się osiągnąć wszystkie założenia taktyczno-techniczne postawione przez zleceniodawcę. Następnie do końca 2019 roku mają zostać wykonane próby pierwszego prototypu, a do końca 2020 powinno dojść do przetargu, tak by w 2021 roku, a najpóźniej w 2022 roku rozpoczęła się seryjna produkcja systemu Jarzębina S.

SIŁA RAŻENIA

Znacznie bardziej zaawansowane są prace nad systemem kierowanych min przeciwpancernych (SKMP). Wyprodukowano już cały moduł, składający się z 21 sztuk kierowanych

którym operator miałby pełną kontrolę, czyli w każdej chwili mógłby uzbroić ustawione pole minowe, rozbroić je lub doprowadzić do samolikwidacji. Co więcej, system powinien nie tylko informować go o wejściu ludzi w strefę niebezpieczną, ale też ostrzegać intruzów. A po wdarcu się osób na zaminowany obszar, mimo wcześniejszych wielokrotnych ostrzeżeń, można by je razić, ale tylko z dużej odległości. „W naszych arsenałach nie było już żadnych środków minersko-zaporowych, dlatego trzeba było stworzyć zupełnie nowy typ ładunków”, wyjaśnia Marian Czarnecki, rzecznik prasowy WITI.

W udoskonalanych projektach postanowiono zastosować ładunek wąskiego rażenia do 100 m i bliżej oraz szerokiego – do 30 m i bliżej. Nad stworzeniem takiego, który będzie raził obiekty z górnej półsfery, zwanego systemem miotaczy granatów odłamkowych, pracuje jeden z członków konsorcjum, czyli Belma. Ładunek ten ma razić cele nie tylko z poziomu gruntu, lecz także z powietrza. Próby na poligonie przynoszą dobre rezultaty, więc wkrótce prace będą na ukończeniu.

Opóźnienie w projekcie nazwanym Jarzębina S wynika też z tego, że dla pełniejszego nadzoru nad ochranianym terenem w skład systemu postanowiono włączyć radar pola walki oraz zestaw kamer światła widzialnego i w podczer-

DO ARSENAŁU ARMII MAJĄ TRAFIĆ SYSTEMY STEROWANYCH MIN PRZECIWPANCERNYCH I ŁADUNKÓW WYBUCHOWYCH



Dr inż. LESZEK BOGDAN: „Postaraliśmy się o to, aby saper nie musiał być dobrze wykształconym elektronikiem”.

ładunków, oraz system ćwiczebny. W listopadzie 2018 roku konsorcjum zgłosiło Inspektoratowi Uzbrojenia gotowość do przeprowadzenia poszerzonych badań kwalifikacyjnych. Jeżeli testy zakończą się pozytywnie, wkrótce zostanie ogłoszone postępowanie mające na celu wyłonienie producenta. W takim wypadku w 2020 roku pierwsza partia systemu Jarzębina K trafiłaby do wojska.

„Saperzy od dawna czekają na tego rodzaju system. Wynika to ze spectrum zadań wykonywanych przez wojska inżynieryjne, a także specyfiki współczesnego pola walki”, mówi ppłk Robert Wysocki, specjalista z Oddziału Gestorstwa i Rozwoju Zarządu Inżynierii Wojskowej Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Dodaje, że gdy ten sprzęt do nich trafi, nasza armia będzie liderem w NATO pod względem wprowadzania tak nowoczesnych, kontrolowanych systemów. „Jest to ważne, ponieważ w sojuszu trwają prace m.in. nad stworzeniem dokumentów standaryzacyjnych w związku z inicjatywą zastąpienia pól minowych systemami wzbraniania kontroli dostępu AAC [Area Access Control]”, podkreśla ppłk Wysocki.

Jarzębina K jest nowoczesną defensywną bronią przeciwpancerną. Jeden element systemu składa się z 21 min o dużej sile rażenia. Potrafi też samoczynnie wykryć pojazd poruszający się w jego pobliżu oraz ustalić jego rodzaj. System najpierw namierza obiekt, ocenia jego kierunek poruszania się, prędkość i czeka. Końcowa faza, czyli przetwarzanie danych i odpalenie ładunku, jest kwestią sekundy. Gdy zostanie użyta jedna mina, ochronę sektora przejmują pozostałe, mające takie same możliwości.

Przeciwpancernego systemu Jarzębina można używać w dzień i w noc, we wszystkich strefach klimatycznych na świecie, w temperaturze otoczenia od minus 30 do plus 70°C. Jego sprawności nie zakłóca ani deszcz, ani śnieg. Jeśli pozostaje w stanie uśpienia, bardzo trudno go zlokalizować, bo nie emituje ciepła ani żadnych fal radiowych.

Co ważne, cały czas jest posłuszny woli operatora. Wyszkolony żołnierz nie tylko „widzi” pracę systemu, ale też jest powiadamiany, gdy trzeba wymienić w nim źródło zasilania czy wykonać inne zadania związane z obsługą. W każdej chwili może też system wyłączyć i przenieść w inne miejsce.

„W tym projekcie zastosowaliśmy wiele innowacyjnych rozwiązań, niespotykanych nie tylko w skali kraju, lecz także na świecie”, mówi dr inż. Leszek Bogdan. Wyjaśnia, że najwięcej problemów było ze spełnieniem wymogów działania systemu w dużym przedziale temperatur. Odpowiedni skaner laserowy znalazł się na Wyspach Brytyjskich, ale jego producenci zastrzegali, że nie nadaje się on do użycia ani w tak niskiej, ani w tak wysokiej temperaturze. Polscy inżynierowie stworzyli zatem odpowiednie osłony i systemy ocieplania, dzięki którym laser działa bez zarzutu w każdych warunkach.

CENNA BROŃ

Nowe systemy sterowanych ładunków nie będą tanie, ale za to warte swojej ceny. Powstaje bowiem jedna z najnowocześniejszych broni defensywnych na świecie. I chociaż będzie produktem bardzo zaawansowanym technologicznie, nie przysporzy problemów obsłudze. „Postaraliśmy się o to, aby saper nie musiał być dobrze wykształconym elektronikiem”, podsumował dr Bogdan. Dodaje też, że SKMP jest wart swojej ceny, bo ma służyć do skutecznego niszczenia najważniejszego i dziesiątki razy droższego sprzętu potencjalnego nieprzyjaciela. Specjaliści z Zarządu Inżynierii Wojskowej DGRSZ dodają, że nowe systemy, szczególnie Jarzębina K, będą miały w przyszłości specjalne zastosowanie. „W razie konfliktu będzie można ich użyć do ochrony obiektów o najważniejszym znaczeniu dla prowadzonych działań zbrojnych”, wyjaśnia płk Wiesław Kuchta, szef Oddziału Gestorstwa i Rozwoju Zarządu Inżynierii Wojskowej DGRSZ. ■

NIE TYLKO MAUZER

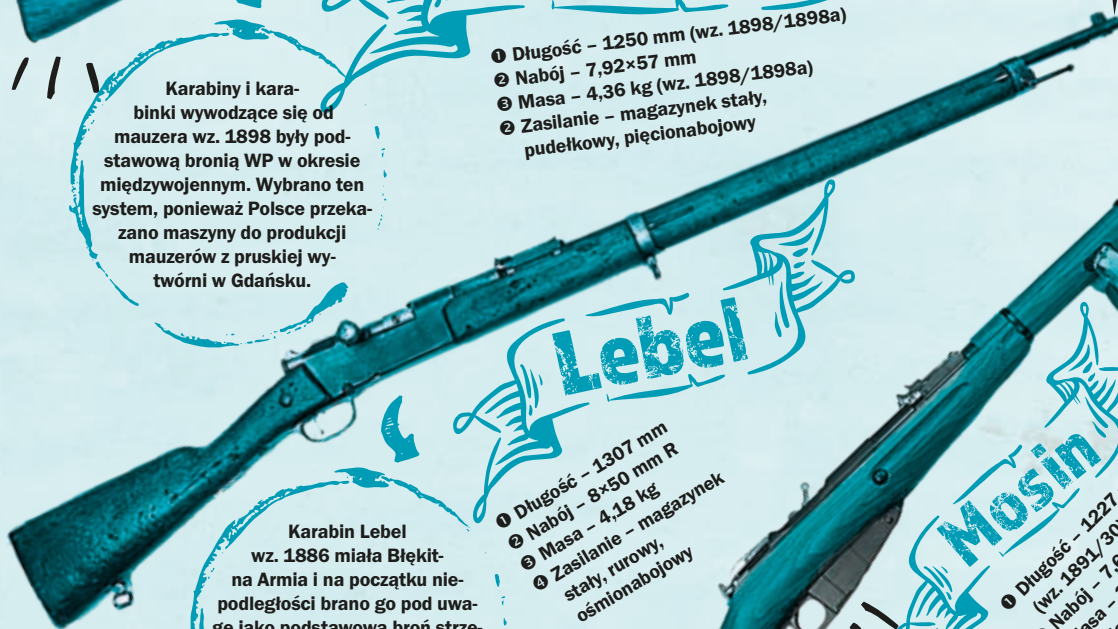
Odrodzone Wojsko Polskie używało różnych typów karabinów i karabinków. W latach 1918–1939 były to mauzery, lebele, berthiery, manlichery i mosiny. Te ostatnie wycofano z wojska w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku.



Mauzer

Karabiny i karabinki wywodzące się od mauzera wz. 1898 były podstawową bronią WP w okresie międzywojennym. Wybrano ten system, ponieważ Polsce przekazano maszyny do produkcji mauzerów z pruskiej wytwórni w Gdańsku.

- ❶ Długość – 1250 mm (wz. 1898/1898a)
- ❷ Nabój – 7,92×57 mm
- ❸ Masa – 4,36 kg (wz. 1898/1898a)
- ❹ Zasilanie – magazynek stały, pudełkowy, pięcionabojowy



Lebel

Karabin Lebel wz. 1886 miała Błękitna Armia i na początku niepodległości brano go pod uwagę jako podstawową broń strzelecką WP. Był używany w 1939 roku, a potem w jednostkach polskich utworzonych w latach 1939–1940 we Francji.

- ❶ Długość – 1307 mm
- ❷ Nabój – 8×50 mm R
- ❸ Masa – 4,18 kg
- ❹ Zasilanie – magazynek stały, rurowy, osmionabojowy



Mosin

- ❶ Długość – 1227 mm (wz. 1891/30)
- ❷ Nabój – 7,62×54 mm R
- ❸ Masa – 3,86 kg (wz. 1891/30)
- ❹ Zasilanie – magazynek stały, pudełkowy, czteronabojowy, pięty nabój w lufie

Tysiące karabinów Mosin wz. 1891 zdobyto w 1920 roku na bolszewikach. Podczas II wojny światowej rosyjskie i sowieckie wersje mosinów trafiły do polskich jednostek w ZSRR. Po jej zakończeniu karabinek wz. 44 był produkowany w Radomiu.



Karabiny i karabinki
Mauzer były charakterystycznym elementem wizerunku żołnierza II Rzeczypospolitej.

Polski plakat propagandowy z 1939 roku mobilizujący do obrony ojczyzny.



Atutem karabinu Lee-Enfield była duża szybkostrzelność – przeciwnicy sądzą, że mają do czynienia z bronią maszynową.

Karabiny Lee-Enfield SMLE No.1 Mk III i No.4 Mk I były bronią jednostek polskich sił zbrojnych na terenie Wielkiej Brytanii i na Bliskim Wschodzie. Poszczególne wersje różniły się długością całkowitą i luf oraz masą.

Enfield

- ❶ Długość – 1132 mm (No.1 Mk III)
- ❷ Nabój – 7,7×56 mm R
- ❸ Masa – 3,96 kg (No.1 Mk III)
- ❹ Zasilanie – magazynek wymienny, pudełkowy, dziesięcionabojowy

OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
GRAF. MARCIN DMOŃSKI

Embraer uruchomił seryjną produkcję wielozadaniowych samolotów transportowych KC-390. Pierwszy z nich wzbił się w powietrze 6 października ubiegłego roku. Wcześniej w zakładzie w Gavião Peixoto, w stanie São Paulo, zbudowano dwa latające prototypy.

SPÓŹNIONY START

Pierwszy KC-390 ma być przekazany 11 Skrzydłu brazylijskich sił powietrznych stacjonującemu w Rio de Janeiro. Producent porozumiał się z wojskiem, że samolot zostanie wykorzystany do testów zamiast uszkodzonego egzemplarza prototypowego, który w maju ubiegłego roku wypadł z pasa startowego lotniska w Gavião Peixoto. Poprzedni wypadek, w październiku 2017 roku, wyłączył go z użytkowania na dwa miesiące.

To dlatego program ma kilkumiesięczne opóźnienie. Niemniej jednak 19 października 2018 roku Embraerowi udało się uzyskać pierwszy certyfikat typu dla KC-390 od brazylijskiej Narodowej Agencji Lotnictwa Cywilnego (Agência Nacional de Aviação – ANAC). Oficjalna ceremonia wręczenia odbyła się 23 października w bazie sił powietrznych w Brasílii, podczas obchodów Dnia Lotnika i Brazylijskich Sił Powietrznych. Dzień wcześniej odbył się lot KC-390 z brazylijskimi generałami na pokładzie. Przyznany certyfikat potwierdził, że zostały spełnione wymagania niezbędne do osiągnięcia pełnej zdolności operacyjnej. Wstępną zdolność, potwierdzoną tymczasowym certyfikatem typu, KC-390 osiągnął w grudniu 2017 roku.

Brazylijskie siły powietrzne do końca 2019 roku mają otrzymać trzy

z 28 transportowców, które planują kupić. Pierwszym zagranicznym nabywcą KC-390 została Portugalia, która w 2017 roku rozpoczęła negocjacje dotyczące zakupu pięciu maszyn z opcją rozszerzenia zamówienia do sześciu. „Prowadzimy z rządem rozmowy na temat finalnego kształtu kontraktu”, mówił podczas briefingu dla mediów 26 czerwca 2018 roku w Lizbonie prezes Embraera Paulo Cesar de Souza e Silva.

Pierwsze nowe transportowce portugalskie lotnictwo wojskowe ma otrzymać w 2021 roku. Innym potencjalnym klientem z Europy są Czechy. Gotowość zakupu dziesięciu KC-390 deklarowała Francja, ale ta transakcja miała być powiązana z wybraniem przez Brazylijczyków samolotu wielozadaniowego Rafale. Ponieważ ostatecznie zdecydowali się oni na gripena, możliwe że w przyszło-



Rywal herculesa

Rozpoczęła się seryjna produkcja wielozadaniowego samolotu transportowego KC-390, największego statku powietrznego, jaki dotąd powstał w Ameryce Południowej.

T A D E U S Z W R Ó B E L

ści „trzystadzieciódziesiątki” zamówią Szwedzi. Samolot ten ma również szansę pojawić się na rynku Ameryki Łacińskiej. Wśród państw, które wyrażały zainteresowanie nim jeszcze w trakcie opracowywania, były Argentyna, Chile i Kolumbia. W sumie te trzy kraje mogłyby zamówić do 24 maszyn. Brazylijski minister obrony podał w 2012 roku, że transportowcem Embraera interesowało się Peru. Wśród potencjalnych klientów mogą być też cywilne firmy lotnicze. Pierwszą z nich będzie prawdopodobnie australijsko-portugalska spółka SkyTech.

Niemniej jednak kluczowe dla przyszłości KC-390 stanie się zacieśnienie współpracy Embraera z amerykańskim Boeingiem. W lipcu pojawiły się informacje, że amerykański koncern kupi 80% udziałów części komercyjnej brazylijskiej firmy lotniczej. Rząd mającej problemy ekonomiczne, polityczne i społeczne Brazylii zdecydował o ich odsprzedażu, ale z zachowaniem tzw. złotej akcji, czyli ostatecznego głosu w sprawie kluczowych decyzji.

Co prawda podpisane w lipcu 2018 roku memorandum skupiało się na współpracy w sferze samolotów cywil-

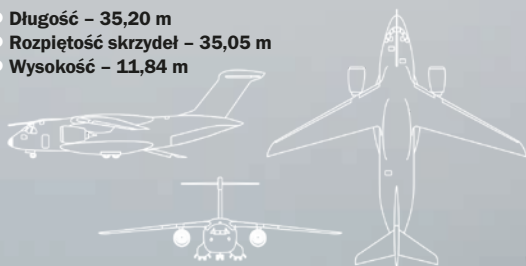
nych, jednak pojawił się w nim zapis, że Boeing będzie zaangażowany w promocję maszyny KC-390 na światowych rynkach.

Amerykanie w 2012 roku rozpoczęli udzielanie wsparcia technicznego projektowi KC-390. Później rozszerzono je na pomoc w sprzedaży transportowców oraz zapewnienie wsparcia w ich serwisowaniu. Podczas salonu lotniczego w Farnborough w 2016 roku doszło do podpisania porozumienia o wspólnym promowaniu KC-390 w Kanadzie, która zamierzała zakupić nowe samoloty poszukiwawczo-



KC-390 W LICZBACH

- Długość – 35,20 m
- Rozpiętość skrzydeł – 35,05 m
- Wysokość – 11,84 m



Zapasy paliwa
(w skrzydłach) – 23 200 l

Załoga
– 3 osoby



Napęd

– 2 silniki turbo-
odrzutowe IAE
V2500-E5, każdy
o mocy 139,4 kN



- Maksymalna masa startowa – 81 t (misje logistyczne)
- Maksymalna prędkość – 0,8 Ma (979 km/h)
- Zasięg z ładunkiem 23/26 t – 2815/2111 km
- Zasięg bez ładunku – 5760 km
- Pułap – 10 973 m

Ładowość (alternatywnie)

– 80 pasażerów, 64 spadochroniarzy lub 74 rannych na noszach i 8 członków personelu medycznego; do 23/26 t (ładunek rozproszony/skoncentrowany); KTO Guarani, Boxer, AMV lub Stryker; 2 transportery M113 lub wozy M-ATV; śmigłowiec S-70

EMBR AER

-ratownicze. Jednak ostatecznie rywalizację wygrała maszyna C-295 Airbusa.

Na przełomie września i października 2018 roku pojawiła się nowa informacja, że firmy rozmawiają o uruchomieniu linii montażowej KC-390 na terenie USA. Tym samym spełniony zostałby formalny warunek pozwalający na zakup południowo-amerykańskiego transportowca przez Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych. W grę mogłyby wchodzić, przynajmniej na samym początku, wersje dla wojsk specjalnych. KC-390 wypełniłby lukę w ofercie Boeinga, która powstała po zakończeniu produkcji jego własnych wojskowych transportowców C-17 Globemaster III. Jednocześnie Boeing rzuciłby wyzwanie firmie Lockheed Martin, bowiem KC-390 jest postrzegany jako alternatywa dla samolotu C-130 Hercules. Brazylijski transportowiec może zabrać na pokład większe ładunki, a odrzutowy napęd zapewnia mu większą prędkość przelotową. Kwestią nie do końca pewną jest natomiast konkurencyjność cenowa. Według danych z 2017 roku cena jednostkowa KC-390 miała wynosić 50–55 mln dolarów, ale w listopadzie ubiegłego roku mówiono już o kwocie około 85 mln dolarów. Tymczasem C-130J kupowany przez lotnictwo amerykańskie kosztuje nieco ponad 67 mln dolarów.

Jak ujawnił 28 września 2018 roku podczas przesłuchania przed podkomisją Komisji Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów gen. por. Jerry Harris, zastępca szefa sztabu US Air Force ds. planowania strategicznego i wymagań, brakuje funduszy na zakup nowych C-130J. Nabywcą może być jednak lotnictwo morskie USA. Kadm. Scott Conn, dyrektor powietrznych działań bojowych w biurze szefa operacji morskich, podał, że na początku przyszłej dekady ma zostać zamówionych 25 lata-

Symbioza

Współpraca w obszarze militarnym pomiędzy Boeingiem a Embraerem nie będzie ograniczała się do programu KC-390. Obejmie też specjalistyczne wersje maszyn wojskowych, np. wywiadu elektronicznego czy wczesnego ostrzegania i kontroli, dla których platformami będą odrzutowce pasażerskie. W tym segmencie obie firmy się uzupełniają. Boeing oferuje samoloty większe, a Embraer mniejsze, zabierające do 150 pasażerów. Tak więc dzięki kooperacji łatwiej im będzie dostosować ofertę do potrzeb i wartości kleszeni potencjalnych klientów. Warto zauważyć, że Boeing postanowił przejść Embraera, gdy jego główny rywal Airbus kupił kanadyjską firmę Bombardier, w której ofercie są podobnej wielkości maszyny jak brazylijskie. ■

jących tankowców KC-130J. Alternatywą może stać się maszyna brazylijska, która została zaprojektowana z myślą o pełnieniu takiej funkcji.

PROGRAM GLOBALNY

Wybór KC-390 przez Portugalczyków nie był przypadkowy. Po firmach z USA, Embraer jest największym zagranicznym przemysłowym inwestorem w ich kraju. W należącej do niego spółce OGMA w Alverca do Ribatejo pod Lizboną powstają m.in. środkowa sekcja

kadłuba i sponsony. Do tego Embraer zbudował w Evora zakład produkujący elementy dla jego business jetów. Powiązania przemysłowe wzmacniają też brazylijskie szanse na rynku południowego sąsiada Polski. Kontrolowana przez czeskie państwo lotnicza spółka Aerovodochody jest zaangażowana w produkcję elementów „trzystadzieciowiećdziesiątki”, takich jak tylna część kadłuba, rampa załadunkowa, drzwi kabiny i część skrzydeł. 24 sierpnia 2010 roku ówczesni szefowie resortów obrony Brazylii i Chile podpisali porozumienie o włączeniu do programu KC-390 chilijskiej firmy ENAER, brakuje jednak konkretnych informacji na ten temat. Wiadomo natomiast, że w Fabrica Argentina de Aviones (FAdeA) wykonuje się m.in. pokrywy podwozia przedniego, osłony siłowników klap i stożek ogonowy.

Poza tym w programie KC-390 uczestniczą tak znane firmy, jak: Safran, Thales, Rockwell Collins, International Aero Engines i BAE Systems. Mimo to większość części KC-390 jest wytwarzana na terenie Brazylii w zakładach należących do Embraera. Aby przyspieszyć prace nad KC-390, firma ta postanowiła wykorzystać w konstrukcji transportowca komponenty z cywilnego odrzutowca E-190.

KC-390 został opracowany z myślą o wykorzystaniu do bardzo szerokiego spektrum operacji, głównie do transportu ładunków i żołnierzy, desantów powietrznych oraz tankowania w powietrzu. Oprócz tego w misjach poszukiwawczo-ratowniczych, ewakuacji rannych i gaszenia pożarów lasów. Kabina o długości 18,5 m wraz rampą o maksymalnej wysokości 2,85 m i szerokości 3,45 m (objętość 169 m³) pozwala na przewożenie pojazdów pancernych lub śmigłowców (po złożeniu wirników). ■



CHINY

Radar na stealth

Czy to koniec niewykrywalności
statków powietrznych?

Media w Chinach od pewnego czasu informują o opracowaniu przez tamtejszych naukowców nowego rodzaju radaru, który może wykrywać amerykańskie samoloty wojskowe wykonane z użyciem technologii stealth. Urządzenie opracowali naukowcy z Nanjing Research Institute of Electronics Technology w prowincji Jiangsu, należącego do China

Electronics Technology Group Corp., największego producenta wojskowych radarów w Chinach. W listopadzie 2018 roku urządzenie zaprezentowano w bazie lotniczej Zhuhai, ale wstęp na pokaz mieli tylko chińscy dziennikarze.

W wywiadzie udzielonym we wrześniu ubiegłego roku największemu anglojęzycznemu chińskiemu dziennikowi „Chi-

CHINA DEFENSE

EKSPERCI WOJSKOWI

mają wątpliwości co do tego, czy pokazany przez Chińczyków radar nie jest tylko makietą.

na Daily”, szef wchodzącego w skład instytutu Intelligent Detection Technology Laboratory Sun Jun podał, że radar ten może wykrywać i śledzić cele powietrzne odległe o ponad 100 km. Chińczycy twierdzą, że ich radiolokator wykrywa nie tylko statki powietrzne w technologii stealth wykonane z materiałów pochłaniających fale emitowane przez obecnie używane radary oraz mające kształty je rozpraszające, lecz także pociski rakietowe.

Skąd takie możliwości? Jest to radar kwantowy, nad którym trwają prace również w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Rosji. Ogólne zasady jego działania są znane. W technologii tej używa się dwóch wiązek radiowych (spolaryzowanych fotonów) w tzw. splątaniu kwantowym, w którym dwa fotony w różnych wiązkach mogą być połączone ze sobą, nawet gdy są oddalone od siebie o kilka kilometrów. Jedna z nich pozostaje w systemie, podczas gdy druga jest wysyłana w kierunku obiektu. Jej fotony odbijają się od niego i tworzą obraz, którego nie da się niezauważenie zmienić.

Eksperti wojskowi zwracają uwagę, że od teorii do praktycznego użycia radaru kwantowego droga pozostaje daleka. Nie są pewni, czy Chińczycy rzeczywiście są tak dalece zaawansowani w tej technologii. Czy pokazany przez nich radar to już działające urządzenie, czy tylko makietą? WR

IZRAEL

PANCERNA SIĘĆ Z MATKĄ



FIRMA RAFAEL
zamierza stworzyć
sieć złożoną z zało-
gowych i bezzało-
gowych pojazdów pan-
cernych.

Firma Rafael pracuje nad rozwiązaniem, które może zmienić przyszłe pole walki. Otóż zamierza stworzyć sieć złożoną z załogowych i bezzałogowych pojazdów pancernych, z których jeden byłby wozem matką. Znajdujący się w nim operatorzy kontrolowaliby drony oraz różne systemy uzbrojenia i koordynowali ich użycie. Już powstał prototyp wozu matki. W jego kabinie zamontowano monitory, na których wyświetlany jest obraz tego, co

dzieje się w promieniu 360 stopni. Wóz matka może wykorzystywać informacje i możliwości innych pojazdów, mających lepszy widok celu, by jak najskuteczniej likwidować zagrożenia. Firma Rafael podkreśla, że tę technologię będzie można zastosować w już istniejących wozach pancernych. Skomputeryzowany wóz matka ma obsługiwać od dwóch do trzech operatorów.

W dalszej perspektywie mogą być to całkowicie autonomiczne jednostki. W

RAFAEL



STRATEGIE

/ ROSJA

POKOJOWE PRETEKSTY PUTINA

Czy sojusz północnoatlantycki
zwiększy swoją obecność wojskową
na Morzu Czarnym?

ANNA MARIA DYNER



AFP / YURI KADOBNOV / EAST NEWS

I

ncydent w Cieśninie Kerczeńskiej nie przyniósł następstw wojskowych, ale miał istotne konsekwencje polityczne i międzynarodowe. Na Ukrainie na 30 dni wprowadzono stan wojenny, a tamtejszy parlament zdecydował o nieprzedłużaniu umowy o przyjaźni, współpracy i partnerstwie z Rosją. Ponadto aneksja Krymu kolejny raz stała się przedmiotem debaty międzynarodowej, m.in. na forum ONZ. Incydent pokazał też, że postępująca militaryzacja Krymu i działania rosyjskich jednostek wojskowych na Morzu Czarnym mogą mieć konsekwencje nie tylko dla Ukrainy, lecz także dla państw NATO.

OPERACJA WOJSKOWA

25 listopada 2018 roku w pobliżu Cieśniny Kerczeńskiej oraz na wodach międzynarodowych na Morzu Czarnym doszło do najpoważniejszego rosyjsko-ukraińskiego morskiego incydentu wojskowego od czasu anektowania Krymu przez Rosję. Dwie jednostki granicznej Federalnej Służby Bezpieczeństwa, mając wsparcie okrętów Floty Czarnomorskiej, zaatakowały i przechwyciły ukraiński holownik „Jany Kapu” oraz kutry opancerzone „Nikopol” i „Berdiańsk”. Rosjanie aresztowali 24 marynarzy pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy. W czasie tej operacji użyli też m.in. śmigłowców Ka-52 z 39 Pułku Śmigłowcowego z Dżankoje oraz samolotów szturmowych Su-25, bombowców Su-24 i myśliwca Su-30 z 37 Mieszanego Pułku Lotniczego gwardiejskich Sił Powietrzno-Kosmicznych Federacji Rosyjskiej stacjonujących na Krymie.

To była nie tylko demonstracja siły – Rosjanie chcieli też doprowadzić do osłabienia potencjału wojskowego Ukrainy na Morzu Azowskim. Trzy



zaanektowane okręty miały bowiem dołączyć do przerzuconych tam już we wrześniu dwóch kutrów artyleryjskich „Kremenczuk” i „Łubny”, żeby wzmocnić stacjonujące na tym akwenie ukraińskie siły. To był również test dla sił Federacji Rosyjskiej ochraniających anektowany Krym – zarówno ochrony brzegowej Służby Pogranicznej Federalnej Służby Bezpieczeństwa oraz Floty Czarnomorskiej, jak i wojsk stacjonujących na półwyspie.

Rosja pogwałciła tymi działaniami Kartę Narodów Zjednoczonych (zgodnie z dokumentem incydent stanowił napad zbrojny) i „Konwencję Narodów Zjednoczonych o prawie morza”. Naruszyła też zawartą w 2003 roku z Kijowem umowę o wspólnym wykorzystaniu Morza Azowskiego, gwarantującą ukraińskim okrętom używanym w celach niekomercyjnych i statkom handlowym nieograniczony dostęp do tego akwenu. Choć Ukraina znajduje się w stanie wojny z Rosją od niemal pięciu lat, był to pierwszy otwarty atak sił rosyjskich na ukraińskie.

MILITARYZACJA KRYMU

Incydent z końca listopada nie był jednak odosobnionym przypadkiem. Do napięć na Morzu

To była nie tylko demonstracja siły – Rosjanie chcieli też doprowadzić do osłabienia potencjału wojskowego Ukrainy na Morzu Azowskim.

CIEŚNINA
KERCZEŃSKA

KRYM

ROSJA

MOST KRYMSKI

KERCZ INFO / EAST NEWS

Azowskim dochodzi regularnie od wiosny 2018 roku. Od czasu oddania do użytku mostu Krymskiego w maju 2018 roku Rosja de facto przejęła pełną kontrolę nad Morzem Azowskim i znacząco ograniczyła swobodę żeglugi na tym akwenie. Nie tylko opóźnia wydawanie pozwoleń na przeprawę przez Cieśninę Kerczeńską (co było pośrednim powodem incydentu z końca listopada), lecz także zatrzymuje i poddaje częstym, zazwyczaj długotrwałym kontrolom statki handlowe płynące do lub z portów w Berdiańsku i Mariupolu. Zmniejsza to atrakcyjność handlową obu miejsc i niekorzystnie odbija się na ukraińskiej gospodarce.

Mariupol był drugim po Odessie najważniejszym portem, jeśli chodzi o eksport produktów metalurgicznych, które są jednym z największych źródeł dochodu państwa (około 25% wpływów z eksportu). Przez rosyjskie działania utracił jednak prawie 30% obrotów. Konieczność przekierowania towarów do Odessy niekorzystnie odbiła się na dochodach kombinatów metalurgicznych, których właścicielem jest jeden z najbogatszych ukraińskich oligarchów Rinat Achmetow. Co więcej, pod pretekstem

ćwiczeń wojskowych Rosja okresowo zamyka wybrane części Morza Azowskiego.

Poza tym Moskwa wykorzystała ostatni incydent do rozmieszczenia na Krymie czwartego dywizjonu systemów obro-

BEZPOŚREDNIO PO INCYDENCIE W CIEŚNINIE KERCZEŃSKIEJ UKRAINA WEZWAŁA UNIEJ EUROPEJSKĄ DO ROZSZERZENIA SANKCJI EKONOMICZNYCH WOBEK ROSJI

ny powietrznej S-400, co wpisuje się w postępującą militaryzację półwyspu. W ostatnich latach niemal trzykrotnie zwiększyła się liczba stacjonujących tam rosyjskich żołnierzy – z 12,5 tys. w 2014 roku do około 32 tys. w 2018. W lutym 2017 roku na Krymie powstał 22 Korpus Armijny. Od czterech lat Rosja konsekwentnie rozmieszcza na półwyspie systemy antydostępowe (A2/AD) Iskander, Pancyr-S, S-400 Triumf oraz kompleksy ochrony brzegowej Bastion i Bał. Zwiększyła też liczbę stacjonujących w tym regionie samolotów, systemów artyleryjskich i czołgów. Flota

Czarnomorska dysponuje 52 okrętami bojowymi, a w formacji tej służy około 25 tys. żołnierzy. W skład Floty Kaspijskiej, która może wspomagać działania Rosji na Morzu Czarnym i Azowskim, wchodzi 28 okrętów.

Na wniosek prezydenta Petra Poroszenki 28 listopada 2018 roku ukraiński parlament (Rada Najwyższa) wprowadził stan





VIKTOR KOROTAEV / KOMMERSANT/EAST NEWS

POSTĘPUJĄCA MILITARYZACJA KRYMU

wojenny na terenie dziesięciu obwodów (charkowskiego, chersońskiego, czernihowskiego, donieckiego, ługańskiego, mikołajowskiego, odeskiego, sumskiego, winnickiego i zaporoskiego) na 30 dni. Obserwatorów zaskoczyło to, że nie wprowadzono go również na Krymie. Ogłoszenie stanu wojennego formalnie mogło jednak zostać wykorzystane do ograniczenia praw obywatelskich (np. zakaz manifestacji) w tej części państwa, w której obowiązywał. Chociaż kiedy Poroszenko zwracał się z prośbą do parlamentu o taką decyzję, zapowiedział, że nastąpi to jedynie w sytuacji rosyjskiej agresji.

MOBILIZUJĄCY STAN WOJENNY

Już sam pomysł wprowadzenia stanu wojennego wzbudził liczne kontrowersje. Ukraińskiemu prezydentowi zarzucano, że chciał przez to wpłynąć na kampanię wyborczą, a nawet przesunąć datę wyborów, które powinny się odbyć 31 marca 2019 roku. Przeciwnicy Poroszenki podkreślali, że nigdy w historii współczesnej Ukrainy nie ogłoszono stanu wojennego, nawet bezpośrednio po aneksji Krymu przez Rosję czy w trakcie walk w Donbasie. Zarzucano też prezydentowi, że chciał w praktyce sprawdzić możliwości, jakie głowie państwa daje nowa, przyjęta w maju 2015 roku ustawa o stanie wojennym. Zwolennicy Poroszenki wskazywali zaś, że gdyby polityk nie ogłosił stanu wojennego, mógłby zostać oskarżony o brak reakcji na zagrożenie ze strony Rosji.

MOŻE MIEĆ KONSEKWENCJE NIE TYLKO DLA UKRAINY, LECZ TAKŻE DLA PAŃSTW NATO

Wprowadzenie stanu wojennego miało posłużyć do mobilizacji społeczeństwa, ale przede wszystkim do sprawdzenia możliwości operacyjnych całego ukraińskiego sektora bezpieczeństwa (włączając w to zarówno armię, jak i służby specjalne). Był to też sygnał dla społeczności międzynarodowej – że zaistniała sytuacja Ukraina traktuje nie tylko poważnie, ale też, że uznała ją za zagrażającą bezpieczeństwu państwa.

W reakcji na listopadowy incydent Rada Najwyższa przyjęła również ustawę o strefie przyległej. Zgodnie z konwencją ONZ o prawie morza z 1980 roku, państwo przybrzeżne może utworzyć taką strefę o szerokości do 24 Mm. Projekt nowego prawa był procedowany od maja 2018 roku, ale wydarzenia w Cieśni nie Kerczeńskiej znacząco przyspieszyły prace. Tym samym



Moskwa wykorzystała ostatni incydent do rozmieszczenia na Krymie czwartego dywizjonu systemów obrony powietrznej S-400, co wpisuje się w postępującą militaryzację półwyspu.

Ukraina może wykonywać kontrolę konieczną do zapobiegania naruszaniu m.in. przepisów celnych, skarbowych, imigracyjnych lub sanitarnych.

Rada Najwyższa nie przedłużyła też umowy o przyjaźni, współpracy i partnerstwie z Rosją, co oznacza, że przestanie ona obowiązywać 31 marca 2019 roku (umowa weszła w życie 1 kwietnia 1999 roku, na dziesięć lat z możliwością automatycznego przedłużenia na kolejne dekady, jeśli żadna ze stron nie wyrazi sprzeciwu).

Kontrowersje polityczne związane z wprowadzeniem na Ukrainie stanu wojennego Moskwa próbowała wykorzystać do podważania legalności tamtejszego procesu wyborczego. Starła się dezawuować pozycję Petra Poroszenki, jako osoby ograniczającej wolność słowa i zgromadzeń oraz wzmacniającej swoje pełnomocnictwa w trakcie kampanii wyborczej. Ze strony Rosji popłynęły też oskarżenia, że stan wojenny został wprowadzony jedynie w tych miejscach, gdzie największą popularnością cieszyła się wcześniej Partia Regionów, a obecnie Blok Opozycyjny.

Co ciekawe, tuż po jego wprowadzeniu wiele osób na Ukrainie, ale również we wschodniej Polsce, otrzymało SMS-y o konieczności stawienia się w najbliższej jednostce wojskowej (u nas w urzędzie gminy). Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że była to akcja kierowana z Kremļa, mająca na celu wywołanie paniki wśród obywateli Ukrainy i negatywnych reakcji Polaków w stosunku do Ukraińców.

DEBATA MIĘDZYNARODOWA

Rosja incydent na Morzu Azowskim wykorzystała jako pretekst do zwołania nadzwyczajnego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ (Ukraina złożyła równoległy wniosek) i wysuwania oskarżeń pod adresem władz w Kijowie o naruszenie granicy, łamanie prawa międzynarodowego oraz polityczną prowokację. Po raz kolejny chciała też dezawuować politykę Ukrainy, wskazując, że to ona odpowiada za wzrost napięcia w regionie. Na posiedzeniu 26 listopada 2018 roku zdecydowana większość Rady była wobec Rosji krytyczna i zaproponowany przez nią tytuł posiedzenia, który wskazywał, że to ukraińscy żołnierze naruszyli rosyjską granicę, został odrzucony. Choć nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ nie zakończyło się przyjęciem rezolucji w sprawie incydentu, sprawiło, że debata międzynarodowa w sprawie Ukrainy skoncentrowała się nie tylko na kwestii wojny w Donbasie – jej tematem znów stała się aneksja Krymu. 17 grudnia 2018 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło projekt rezolucji w sprawie „militaryzacji i agresji Rosji na Krymie

i Morzu Azowskim”. Dokument potępia aneksję i wzywa Rosję do wycofania się z Krymu. Piętnuje również postępującą militaryzację półwyspu, a także rosyjskie działania na Morzu Czarnym i Azowskim. Wzywa też do wypuszczenia uwięzionych marynarzy oraz zwrotu zatrzymanych okrętów.

Ich los pozostaje wyzwaniem dla społeczności międzynarodowej. Stany Zjednoczone już zagroziły, że jeśli Rosjanie ich nie wypuszczą i nie oddadzą Ukrainie zatrzymanych okrętów, to zostaną nałożone kolejne sankcje.

Bezpośrednio po incydencie w Cieśninie Kerczeńskiej Ukraina wezwała Unię Europejską do rozszerzenia sankcji ekonomicznych przeciw Rosji. I choć Unia się na to nie zdecydowała (istotny był tu sprzeciw Niemiec), to w grudniu 2018 roku przedłużyła wcześniej nałożone obostrzenia (choć ze strony Austrii, Włoch czy Węgier pojawiały się głosy o konieczności co najmniej złagodzenia reżimu sankcji). Kwestia incydentu była też przedmiotem rozmów ukraińskiego ministra spraw zagranicznych Pawła Klimkina na posiedzeniu Rady do Spraw Zagranicznych UE, która 10 grudnia 2018 roku debatowała m.in. o sytuacji na Ukrainie. Stro- na ukraińska zaproponowała rozszerzenie mandatu specjalnej misji monitorującej OBWE i wprowadzenie międzynarodowej kontroli na Morzu Azowskim.

Natomiast w mediach w Rosji pojawiło się wiele informacji mówiących o tym, że Stany Zjednoczone mają zamiar kontrolować statki zmierzające na Morze Azowskie – w tym jednostki rosyjskie. Celem tego przekazu było wskazanie, że za wzrostem napięcia w regionie stoi nie tylko Ukraina, ale również wspierające jej politykę USA. Działania amerykańskie są przy tym w Rosji traktowane jako element politycznej rywalizacji obu państw.

Choć wydarzenia z listopada nie eskalowały w konflikt o większym natężeniu, incydenty tego typu jak w Cieśninie Kerczeńskiej mogą stanowić bezpośrednie zagrożenie dla państw NATO. Wykorzystując Flotę Czarnomorską oraz lotnictwo stacjonujące na Krymie Rosja pokazała, że jest gotowa do użycia siły nie tylko wobec jednostek ukraińskich, ale wszystkich przepływających w pobliżu półwyspu. Dlatego sojusz powinien zwiększyć swoją obecność wojskową na Morzu Czarnym, co będzie również gestem poparcia dla Ukrainy. Podobnie jak wsparcie tego państwa w rozbudowie i modernizacji oddziałów straży przybrzeżnej oraz marynarki wojennej i kontynuowanie wspólnych ćwiczeń. ■

ANNA MARIA DYNER jest kierownikiem Programu „Europa Wschodnia” w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

Morze niezgody

*Z Adamem Eberhardtem
o wzroście napięcia między Rosją a Ukrainą,
politycznych kalkulacjach prezydenta Poroszenki
oraz wyzwaniach stojących przed władzami
ukraińskimi rozmawia Robert Sendek.*

Wydarzenia w Cieśninie Kerczeńskiej z końca listopada określane są mianem incydentu. W istocie Rosjanie otworzyli ogień do ukraińskich okrętów, które – jak twierdzą władze Ukrainy – znajdowały się na wodach międzynarodowych. Media ukraińskie donoszą o koncentracji sił rosyjskich przy granicy. Czy to początek nowej fazy konfliktu?

Napięcie wokół Morza Azowskiego rośnie stopniowo od kilku miesięcy. Moskwa twierdzi, że wraz z aneksją Krymu uzyskała prawo do kontrolowania wód terytorialnych wokół półwyspu. Ponadto wbrew rosyjsko-ukraińskiemu porozumieniu z 2003 roku stara się ograniczać obecność ukraińską na Morzu Azowskim przez wprowadzanie okresowych utrudnień w przejściu przez Cieśninę Kerczeńską. Dotyczy to nie tylko okrętów ukraińskiej marynarki wojennej, lecz także statków handlowych. Od kwietnia ponad 200 statków pod różnymi banderami zatrzymała tam i kontrolowała rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa. Jeszcze większe emocje wywołuje obecność wojskowa Ukrainy na Morzu Azowskim. Poroszenko jest oczywiście zainteresowany demonstrowaniem flagi swojego kraju w akwenie, a Putin stara się tego typu działania utrudniać. Drastycznym tego przykładem był właśnie incydent z końca listopada.

Ukraińcy we wrześniu przeprowadzili przez Cieśninę Kerczeńską na Morze Azowskie dwa okręty i obyło się to bez konsekwencji. Dlaczego teraz Rosja sięgnęła po rozwiązania radykalne?

Działania strony rosyjskiej można scharakteryzować jako pełzające ograniczanie dostępu do Morza Azowskiego. Jak dotąd, Rosja nie zdecydowała się na pełną blokadę. Mamy raczej do czynienia z nękaniami strony ukraińskiej, takim jak wprowadzanie ograniczeń, znoszenie

ich, a następnie ponowne wprowadzanie itd. Rzeczywiście, kilka miesięcy wcześniej dwa kutry ukraińskie przeszły przez Cieśninę Kerczeńską, eskortowane przez okręty rosyjskie. Tymczasem teraz doszło do incydentu, pod pretekstem rzekomego złamania przez Ukraińców tymczasowego zakazu przejścia, którego strona rosyjska na czas nie notyfikowała.

Czy należy się zatem spodziewać dalszej eskalacji działań, np. w związku z tym, że Ukraińcy mogą kontynuować przerzucanie na Morze Azowskie sił i środków, co może się nie podobać Rosji?

Ukraina już ma na Morzu Azowskim część okrętów. Są to głównie kutry artyleryjskie, małe jednostki, ale odpowiednie do operowania na niewielkim akwenie. Proszę pamiętać także o tym, że Ukraina ma możliwość przerzucenia kuterów na Morze Azowskie również drogą lądową do Berdiańska. Wiadomo jednak, że dysproporcja w potencjale militarnym na Morzu Czarnym między Rosją a Ukrainą jest gigantyczna. Zatem dążenia Kijowa do zwiększenia swojej obecności na Morzu Azowskim traktowałbym bardziej jako wspomnianą już demonstrację flagi ukraińskiej niż istotne działania z punktu widzenia polityki obronnej.

WIZYTÓWKA

DR ADAM EBERHARDT

Jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich, politologiem, specjalistą w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej Rosji, Białorusi oraz Ukrainy. Autor wielu publikacji poświęconych kwestiom międzynarodowym na obszarze postsowieckim. ■

Rosja stara się zamienić Morze Azowskie we własne morze wewnętrzne. Jakie to może mieć konsekwencje dla Ukrainy, dla jej gospodarki?

Incident wojskowy w Cieśninie Kerczeńskiej otworzył światu oczy na problem, jakim jest ograniczanie Ukraincom dostępu do Morza Azowskiego. Przy czym może to dotyczyć w większym zakresie spraw gospodarczych niż wojskowych. Proszę pamiętać o tym, że Mariupol jest głównym portem dla wschodniej Ukrainy, a przede wszystkim

POROSZENKO JEST ZAINTERESOWANY DEMONSTROWANIEM FLAGI UKRAIŃSKIEJ W SPORNYM AKWENIE, A PUTIN STARA SIĘ TEGO TYPU DZIAŁANIA UTRUDNIAĆ

dla kontrolowanej przez Ukrainę części Donbasu. Tym samym jest kluczowy ze względu na potencjał eksportowy ukraińskiego przemysłu metalurgicznego, pozostającego pod kontrolą największego ukraińskiego oligarchy, Rinata Achmetowa, który pomimo rewolucji godności na Ukrainie wciąż jest silnym graczem na wewnętrznej scenie politycznej [w czasie wydarzeń na Majdanie Achmetow popierał Wiktora Janukowycza, oskarżany był także przez niektórych o finansowanie bojówek separatystów w Doniecku – przyp. red.]. Pozostaje on w taktycznym sojuszu z prezydentem Poroszenką. Ewentualna blokada portów ukraińskich nad Morzem Azowskim byłaby zatem uderzeniem w ukraińską gospodarkę, a wraz z tym także w stabilność społeczną w tej niezwykle wrażliwej części Ukrainy, czyli na obszarach sąsiadujących z linią frontu.

Czy jest to prawdopodobny scenariusz?

Nie wykluczam go, gdyby doszło do eskalacji napięcia rosyjsko-ukraińskiego, choć oczywiście

z prawnego punktu widzenia byłoby to ewidentnym pogwałceniem przez Rosję podpisanych z Ukrainą porozumień. Pamiętajmy ponadto, że z Cieśniny Kerczeńskiej korzystają również jednostki rosyjskie, czy to udające się do portu w Rostowie nad Donem, czy też te wykorzystujące kanał Wołga–Don, kierujące się do śródlądowych portów nad Wołgą albo w basenie Morza Kaspijskiego. To powoduje, że Moskwie trudniej jest pod byle pretekstem zamykać cieśninę. Nękanie strony ukraińskiej przez dodatkowe kontrole jest łatwiejsze do realizacji niż całkowite zamknięcie akwenu.

Niejako w odpowiedzi na incydent w Cieśninie Kerczeńskiej ukraiński parlament przyjął ustawę, która wprowadziła stan wojenny w dziesięciu obwodach na wschodzie i południu kraju. Dlaczego Ukraina dopiero teraz zdecydowała się na taki krok, skoro walki z różnym natężeniem toczą się tam od 2014 roku?

To prawda. Incydent na Morzu Czarnym miał nieporównanie mniejsze reperkusje militarne niż konflikt w Donbasie, w którego trakcie zginęło kilka tysięcy ukraińskich żołnierzy oraz kilka tysięcy cywilów. Wówczas nikt nie wprowadzał stanu wojennego. Oczywiście trudno nie zauważyć tutaj intencji politycznych, stojących za decyzją Petra Poroszenki, który pod koniec marca 2019 roku będzie się ubiegał o reelekcję w wyborach prezydenckich. Jego notowania w sondażach są tak niskie, że nawet wejście do drugiej tury stoi pod znakiem zapytania. Poroszenko gra zatem na konsolidację ukraińskiego społeczeństwa – atmosfera zagrożenia nową fazą wojny z Rosją temu sprzyja. Jeśli chodzi o sam stan



WŁADZE NA KREMLU SĄ W STANIE ZROBIĆ WSZYSTKO, ŻEBY PROCES ODDALANIA SIĘ UKRAINY, W TYM RÓWNIEŻ NA SKUTEK AUTOKE- FALII, OGRANICZAĆ

wojenny, to obawę przed wewnątrzpolitycznym rozgrywaniem napięć w relacjach rosyjsko-ukraińskich podzielił ukraiński parlament. Rada Najwyższa dokonała daleko idących zmian w wyściowym projekcie stanu wojennego, ograniczyła nie tylko długość jego trwania z 60 do 30 dni, lecz także teren, na którym został ogłoszony. Uzyskała też zapewnienie prezydenta, że stan wojenny nie będzie wykorzystywany do ograniczania wolności i praw obywatelskich. Poza tym parlament ostatecznie potwierdził, że wybory prezydenckie odbędą się 31 marca i nie będą przekładane na inny termin.

Incydent w Cieśninie Kerczeńskiej jest zatem w pewien sposób na rękę władzom Ukrainy, przede wszystkim prezydentowi, który uzyskuje w ten sposób argument, mobilizujący elektorat?

Ograniczone napięcie w relacjach z Rosją leży w interesie Poroszenki. Bez wątpienia prezydent stara się budować swoją kampanię wyborczą, kreując się na polityka, który powstrzyma rosyjską agresję. Prowadzi przy tym kampanię ostrą i wyrazistą. Incydent na Morzu Azowskim może być przez niego wykorzystywany politycznie, podobnie zresztą jak politycznie stara się wykorzystywać zbliżające się nadanie tomosu, czyli autokefalii Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, co oznacza zniesienie jej wielowiekowego podporządkowania patriarsze Moskwy.

Poruszył pan temat zerwania ze sobą kościołów ukraińskich i rosyjskiego. Jest to chyba jeden z przykładów na to, że Ukraina coraz mocniej się od Rosji oddala. Mamy poza tym zapowiedzi Poroszenki o wystąpieniu z traktatu o przyjaźni i współpracy z Rosją. Czy postępujący rozbrat z Rosją ma na Ukrainie poparcie społeczne?

Traktat ukraińsko-rosyjski jest martwy od czasu, gdy w 2014 roku Rosja pogwałciła jego najważniejsze przepisy, rozpoczynając swoją agresję wojnę z Ukrainą. Formalne pogrzebanie dokumentu jest działaniem symbolicznym. Ale rzeczywiście na skutek konfliktu zbrojnego Rosja oddaliła się od swego celu, jakim było i jest uzyskanie strategicznej kontroli nad Ukrainą, zarówno, jeśli chodzi o wpływ na jej politykę zagraniczną, jak i wewnętrzną. Doszło także do bardzo głębokich zmian społecznych, w tym do konsolidacji społeczeństwa ukraińskiego przeciwko Moskwie. Rosyjski potencjał oddziaływania na Ukraińców został bardzo poważnie ograniczony, a konsekwencje ostatnich pięciu lat będą widoczne przez pokolenia. Ale to, że Kreml jest bardzo nieskuteczny w dążeniu do podporządkowania Ukrainy, bynajmniej nie oznacza, że zrezygnuje z tych działań. Konflikt w Donbasie wciąż nie jest zamrożony. Mamy

również do czynienia z wyraźnym frontem wewnętrznym, to znaczy z próbą rozchwiania sytuacji Ukrainy od środka przez destabilizowanie regionów, podsycanie konfliktów wewnętrznych oraz osłabianie legitymizacji władz ukraińskich. Ta gra, mająca na celu doprowadzenie do niestabilności politycznej Ukrainy, jest strategią długofalową i Rosja na pewno się z niej nie wycofa. I z tego samego względu będzie w tym celu wykorzystywała również zbliżającą się autokefalię.

Ukraina znajduje się w bardzo trudnej sytuacji międzynarodowej, także pod względem gospodarczym. Co, według pana, będzie stanowiło największe wyzwanie, z jakim władze ukraińskie będą musiały się uporać w najbliższym czasie?

Uważam, że właśnie spór o autokefalię ukraińskiego prawosławia ma największy potencjał destabilizujący relacje rosyjsko-ukraińskie, wyraźnie większy niż incydent na Morzu Czarnym. To wydarzenie ma długofalowo katastrofalne implikacje dla rosyjskich dążeń do kontrolowania Ukrainy. Prawdopodobieństwo poważnej eskalacji konfliktu z Moskwą ciągle jest jednak niewielkie. To podważyłoby rosyjskie nadzieje na normalizację relacji z Zachodem, stanowiłoby groźbę rozszerzenia sankcji, wsparcia Zachodu dla Kijowa, wzmocnienia nastrojów antyrosyjskich na Ukrainie, wykołajenia projektu Nord Stream 2. Ale pamiętajmy, że władze na Kremlu są w stanie zrobić wszystko, żeby proces oddalania się Ukrainy, w tym również na skutek autokefalii, ograniczać. Możliwe są działania, które nam wydają się nieracjonalne. Oczekiwałbym co najmniej zwiększenia akcji dywersyjnych, wykorzystywania środków aktywnych przez organizowanie prowokacji na Ukrainie, być może poprzez eskalację militarną również w Donbasie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie można również wykluczyć scenariusza wojny na większą skalę. Na Kremlu panuje poczucie, że Ukraina coraz bardziej się oddala, a istniejące status quo nie służy rosyjskim interesom.

Jak w takim razie wyglądają scenariusze na najbliższą przyszłość Ukrainy?

15 grudnia odbył się sobór prawosławia ukraińskiego, na którym zapadła decyzja o powołaniu niezależnej ukraińskiej Cerkwi prawosławnej. Procesowi uniezależnienia się będą towarzyszyć napięcia dotyczące przejmowania majątku Cerkwi prawosławnej podporządkowanej Moskwie, w tym dwóch największych ławr – kijowsko-peczerskiej i poczajowskiej przez zwolenników autokefalii, co będzie miało oczywiście wsparcie ze strony ukraińskich władz. Nie można wykluczyć, że poleje się krew. Ta odsłona wojny rosyjsko-ukraińskiej będzie trwać wiele miesięcy, a pewnie i lat. ■

SELEKCJA SELEKCJA



organizator:

www.combat56.pl



Znajdź nas na
Facebooku

/Selekcja

26-30.06.2019



Arkadiusz Kups o Selekcji

Ponoć nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki...

XX Selekcja miała być tą ostatnią realizowaną według starych utartych wzorców. W dobie setek ekstremalnych biegów, imprez i innych wyzwań organizowanych na kilka godzin, Selekcja wydawała się dinozaurem, który musi odejść. Zbyt trudna, nieprzewidywalna, ryzykowna i wymagająca ogromnych poświęceń.

Potrzebowałem też trochę oderwać się od imprezy, która pochłaniała mnie na kilka miesięcy w roku odrywając od spraw firmowych. Mówiłem, że muszę odpocząć, nabrać dystansu do tego wszystkiego. Selekcja była w moim życiu od ponad 20 lat i chciałem wyciąć się, oderwać od tego cienia, który przesłaniał mnie w wielu obszarach.

Kiedy zapadła decyzja, że jedna z firm wydawniczych chce wydać książkę o Selekcji zaczęły napływać wspomnienia uczestników, tych najstarszych, jak i ostatnich edycji. Zacząłem zagłębiać się w losy ludzi, ich plany przygotowań, motywację, wspomnienia z przebiegu imprezy i to, co impreza wniosła w ich życie.

To był prawdziwy szok. Ta lektura przewróciła mi obraz Selekcji, jaki miałem w swojej głowie.

Nigdy nie myślałem, że ta impreza była dla wielu takim motywatorem i taką inspiracją do treningu, zmiany trybu życia, wyznacznikiem i drogą do samodoskonalenia.

Dotarły do mnie wspomnienia blisko trzydziestu ludzi, ale i to wystarczyło bym przejrzał na oczy w pewnych obszarach. Zrozumiałem ilu ludzi dzięki Selekcji pokonało swoje słabości, zmieniło się na lepsze i co daliśmy setkom osób, nie tylko tym, którzy ją ukończyli.

Być może jest to impreza skrajna i dla specyficznych ludzi, których jest chyba już coraz mniej, co nie oznacza, że czas na prawdziwe ekstremalne wyzwania się skończył. Może na starcie nie będzie setek uczestników i materiał z imprezy nie pojawi się na żadnej antenie, ale dla takich wspomnień warto również z siebie wykrzesać jeszcze odrobinę energii i dać to, co tyłu ludziom zmieniło życie.

Dla nas czas się nie zatrzymał i żeby sprostać imprezie musimy też zadbać o właściwy poziom.

Dziękuję za te listy, bo dla mnie stały się one też pewną motywacją, były potrzebne, bym spojrział z nieco innej perspektywy.

Minęło ponad 20 lat od pierwszej Selekcji i dziś w imprezie startować mogą dzieci pierwszych uczestników, ale klimat, wymagalność i poziom imprezy pozostają taki jak kiedyś.

„DOPÓKI WALCZYSZ JESTEŚ ZWYCIĘZCĄ”

Arkadiusz Kups

BELLINGCAT PUBLIKUJE ANALIZY PRZYGOTOWANE PRZEZ WOŁONTARIUSZY



May 13, 2017
Before Russian airstrike on IS leaders,
according to Russian MoD

bellingcat



May 28, 2017
After Russian airstrike on IS leaders,
according to Russian MoD

bellingcat

ŚLED CZY Z SIECI

Serwis Bellingcat zyskał rozgłos w związku z internetowymi śledztwami, w których zostały ujawnione wstydliwe tajemnice wielu armii świata.

ROBERT SENDEK

Obrazek pierwszy: w połowie czerwca 2017 roku na Twitterze Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej pojawiły się wpisy pokazujące rezultaty działań operacyjnych rosyjskiego lotnictwa w Syrii. Efektem podjętej przez Rosjan operacji w mieście Rakka miała być wówczas – jak informowano – śmierć samozwańczego kalifa tzw. Państwa Islamskiego, Abu Bakra al-Baghdadię. Twitterowym wpisom rosyjskiego resortu obrony towarzyszyły fotografie satelitarne, na których pokazano zniszczone podczas ataku budynki, gdzie jakoby odbywało się spo-

tkanie wysokich rangą przywódców tzw. Państwa Islamskiego. Obok, dla porównania, zamieszczono zdjęcia przedstawiające stan zabudowań z końca maja 2017 roku, jeszcze bez widocznych zniszczeń.

Obrazek drugi: w kwietniu 2018 roku w internetowych serwisach Ministerstwa Obrony FR zamieszczono informacje o zniszczeniach w syryjskiej Rakce. Opublikowano fotografie satelitarne, na których była widoczna ich skala. Wskazano i nazwano poszczególne obiekty zdewastowanej infrastruktury miejskiej: domy mieszkalne, szpitale, meczety, szkoły. Zdjęciom towarzyszył komentarz

GLÓWNIŃE NA PODSTAWIE MATERIAŁÓW DOSTĘPNYCH W INTERNECIE



bellngcat



bellngcat

BELLINGCAT

administradora, wskazujący sprawcę – miały nim być siły antyrządowej koalicji współpracującej z USA.

Jaki jest z tym problem? Taki, że w obydwu przytoczonych przypadkach chodzi o dokładnie te same zdjęcia tych samych miejsc w tej samej dzielnicy Rakki. Łatwo można to ustalić ze względu na charakterystyczny układ ulic, kształt budynków czy rozmieszczenie roślinności. W obydwu wpisach zestawiono stan zabudowań sprzed ataku, kiedy wydaje się, że są kompletne, i po bombardowaniu, z już widocznymi zniszczeniami. Za pierwszym razem sprawcą zniszczeń miało być lotnictwo rosyjskie, za drugim – siły koalicji. Chodzi – co warto powtórzyć – o dokładnie te same budynki. Powstaje w związku z tym pytanie: kto zniszczył widoczne na fotografiach satelitarnych obiekty? Lotnictwo rosyjskie w połowie 2017 roku? Czy może koalicja na czele z USA wiosną 2018?

CIEKAWSKY SZPERACZE

Zanim jednak w ogóle takie pytania się pojawiają, trzeba dostrzec, że z opublikowanymi materiałami coś jest nie tak. Wbrew pozorom nie jest to takie

oczywiste. Przeciętny czytelnik portali łatwo się może bowiem pogubić w codziennym natłoku informacji. Mało kto będzie pamiętał o zdjęciu czy komentarzu, które ukazały się kilka miesięcy wcześniej. Na szczęście „odbiorcy informacji” to grupa bardzo zróżnicowana. Są wśród nich ludzie, którzy doniesienia medialne próbują zweryfikować. Robią to z najróż-

niejszych względów, np. z naukowej pasji, z powodów ideologicznych, w związku z wykonywaną pracą czy dla rozrywki. Szybko rozwija się zatem także nowy typ dziennikarstwa, tzw. dziennikarstwo obywatelskie, którym mogą się zajmować także przeciętni użytkownicy internetu, mający jednak czas i ochotę, aby w imię wspólnych wartości podjąć się trudu szperania w sieci. Korzystają przy tym z ogólnie dostępnych narzędzi, jakie internet oferuje swym użytkownikom, i potrafią dotrzeć do źródła informacji oraz je weryfikować.

W przypadku wzmiankowanych na początku artykułu zdjęć, które ukazały się w serwisach społecznościowych rosyjskiego resortu obrony, własne śledztwo przeprowadzili Jeanne Sanya oraz Christiaan Triebert. Wyniki swych poszukiwań



Wiosną 2012 roku Brytyjczyk Elliot Higgins przeprowadził pierwsze internetowe śledztwo w sprawie użycia w Syrii m.in. broni chemicznej.

BELLINGCAT



ogłosili w lipcu 2018 roku na portalu Bellingcat. O samym portalu było ostatnimi czasy głośno ze względu na publikowane tam rezultaty internetowego śledztwa, w którym ustalono tożsamość sprawców zamachu na Siergieja Skripala w Londynie. Okazali się nimi agenci rosyjskich służb specjalnych. Równie głośnym echem odbiło się w świecie inne śledztwo współpracowników portalu: w sprawie zestrzelenia latem 2014 roku nad wschodnią Ukrainą samolotu pasażerskiego Malaysian Airlines MH17. W wyniku żmudnych poszukiwań udało się ustalić, iż rakietą, która go strąciła, została wystrzelona z wyrzutni należącej do rosyjskich sił zbrojnych.

OD ZDJĘCIA DO PRAWDY

Ogłaszane w Bellingcat wyniki internetowych śledztw są o tyle specyficzne, że praktycznie każdy może sam je sprawdzić. W materiałach dotyczących poszczególnych spraw znajdują się opisy etapów poszukiwań krok po kroku, są tam liczne odnośniki do źródeł, gdzie można zweryfikować zdjęcie, film czy internetowy wpis. Podstawą działania Bellingcat jest obserwacja, że w XXI wieku znaczna część życia społecznego rozgrywa się w świecie wirtualnym. Praca osób współpracujących z portalem polega zatem na umiejętnym filtrowaniu ogromnej masy informacji dostępnej w sieci w taki sposób, aby można było dotrzeć do możliwie najbardziej prawdopodobnej wersji wydarzeń. Tak właśnie wyglądała praca Sanyi i Trieberta w sprawie zniszczonych w Rakce budynków. Korzystając z ogólnodostępnych źródeł, tj. wpisów internetowych, doniesień lokalnych mediów, zdjęć, ustalili, że część budynków najprawdopodobniej została zniszczona 28 maja 2017 roku. W śledztwie pomocne były informacje zebrane przez bliźniaczy względem Bellingcat serwis o nazwie Conflict Intelligence Team (CIT), utworzony przez grupę rosyjskich aktywistów w maju 2014 roku. Prowadził on własne śledztwo w sprawie doniesień mediów rosyjskich o śmierci Al-Baghdadi. Ponieważ na przełomie maja i czerwca 2017 roku trwała ofensywa sił koalicyjnych przeciwko islamistom (Rakka była wówczas de facto stolicą Państwa Islamskiego), to najprawdopodobniej właśnie siły koalicji doprowadziły do zniszczenia w czasie walk części budynków. Wprawdzie nie wyklucza to możliwości, iż zostały one zburzone również w wyniku rosyjskiego ataku z powietrza, nie ma jednak dowodów na to, że zginął wówczas Al-Baghdadi. Do dalszych zniszczeń w tej dzielnicy Rakki doszło w sierpniu 2017 roku, podczas kolejnego etapu walk w mieście, prowadzonych przez sojuszników względem USA Syryjskie Siły Demokratyczne. Brakuje natomiast dowodów na to, by swój

bellingcat

Nazwa serwisu wzięła się od angielskiego idiomu „belling the cat”, co dosłownie znaczy „zawiesić kotu dzwonek”. Wyrażenie to wiąże się ze starą baśnią, w której myszy zastanawiały się, jak najlepiej obro-

**KOMU
DZWO-
NIA...**

nić się przed kotem. Któraś z nich wpadła na pomysł, aby drapieżnikowi zawiesić na szyi dzwonek. Dzięki temu kot będzie słyszalny z daleka, co pozwoli gryzoniom uniknąć jego łap. Cały problem polegał jednak na tym, że potrzebny był ochotnik, który odważyłby się podejść do kota. Takie właśnie zadanie wykonują, w swym pojęciu, analitycy publikujący w serwisie Bellingcat. ■

nieć się przed kotem. Któraś z nich wpadła na pomysł, aby drapieżnikowi zawiesić na szyi dzwonek. Dzięki temu kot będzie słyszalny z daleka,

co pozwoli gryzoniom uniknąć jego łap. Cały problem polegał jednak na tym, że potrzebny był ochotnik, który odważyłby się podejść do kota. Takie właśnie zadanie wykonują, w swym pojęciu, analitycy publikujący w serwisie Bellingcat. ■

posażenia. W marcu 2012 roku zaczął prowadzić blog, gdzie pisał, co udało mu się ustalić. Efektem długich godzin spędzonych przed ekranem komputera było udowodnienie, iż w Syrii były używane amunicja kasetowa oraz broń chemiczna. Później Higgins założył serwis Bellingcat, publikujący analizy dziesiątek podobnych spraw, przeprowadzone głównie na podstawie materiałów dostępnych w internecie. Było to możliwe dzięki pracy wolnych strzelców z różnych regionów świata.

Wielu osobom taka historia wydaje się mało prawdopodobna. Padają przy tym np. pytania: w jaki sposób człowiek, który dotychczas zajmował się grami sieciowymi, mógł błyskawicznie stać się specjalistą w zakresie broni armii bliskowschodnich? W jaki sposób ktoś, kto nie znał języka arabskiego, mógł bez problemów korzystać z arabskojęzycznych mediów, aby znaleźć potrzebne informacje? Na wiele podobnych pytań środowiska krytykujące Bellingcat odpowiadają jednoznacznie: ano dlatego, że za tym bezrobotnym graczem stał ktoś, kto potrzebował parawanu. Stąd w wielu rosyjskich mediach pojawiają się oskarżenia, że serwis może mieć powiązania z brytyjskimi służbami. Wskazują na to – ich zdaniem – okoliczności powstania portalu, który został otworzony 15 lipca 2014 roku, na dwa dni przed zestrzeleniem nad wschodnią Ukrainą samolotu MH17. Czy to może być – jak pytają Rosjanie – przypadek?

Okoliczności powstania serwisu nie są jednak tak istotne, jak rezultaty jego działań. Są one za każdym razem publikowane wraz z informacjami, które każdy może sprawdzić. A sieć oferuje dziś takie możliwości, że nawet osoba nieznająca języka arabskiego może sprawnie dotrzeć do informacji w tym języku. Wystarczy internetowy translator. ■

udział w zbombardowaniu tej części miasta miało lotnictwo amerykańskie. To wszystko nie przeszkadzało jednak Ministerstwu Obrony FR zamieścić w internecie dwóch sprzecznych ze sobą wpisów.

A MOŻE TO FAKE?

Głównym bohaterem oficjalnej historii powstania serwisu Bellingcat jest Brytyjczyk Eliot Higgins. Wiosną 2012 roku, tj. w czasie, gdy rozpętywała się wojna domowa w Syrii, Higgins był bezrobotny, całe dni spędzał na grach sieciowych. Słyszając medialne spory w sprawie użycia w Syrii zakazanej broni, sam postanowił to sprawdzić. Miał dostęp do internetu oraz mnóstwo wolnego czasu, zaczął więc szukać informacji. Analizował materiały z miejsc, gdzie toczyła się wojna i sprawdzał wszystko, porównując to z ogólnodostępnymi przekazami, np. dotyczącymi charakterystycznych cech broni czy wy-

MOHAMMED HUWAIS / AFP / EAST NEWS

Dyplomacja z kałasznikowem w tle

Jemeńczycy stali się zakładnikami geopolitycznej rozgrywki między Arabią Saudyjską a Iranem, a także między Stanami Zjednoczonymi a Rosją.

TOMASZ OTŁOWSKI

Gdy rok temu Martin Griffiths obejmował funkcję specjalnego wysłannika sekretarza generalnego ONZ do spraw Jemenu, wiedział, że jego misja nie będzie łatwa. Wręcz przeciwnie, ten doświadczony brytyjski dyplomata doskonale zdawał sobie sprawę, że ze względu na specyficzny charakter ośmioletniego konfliktu w Jemenie zakończenie go w drodze porozumienia politycznego będzie niezwykle trudne. Przewidywania Griffithsa potwierdziły się już we wrześniu 2018 roku, kiedy z trudem przygotowywane przez ONZ rozmowy pokojowe w Genewie między szyickimi rebeliantami z ruchu Huti a uznanym międzynarodowo rządem prezydenta Abda Rabbuha Mansura Hadiego nie doszły do skutku wskutek braku zgody Saudyjczyków na wyłot z Jemenu delegacji szyickiej.

WYMOWA PEWNEGO ZDJĘCIA

Griffiths został zatem zmuszony do odbycia ponownego „dyplomatycznego tournée” po regionie i przeprowadzenia

serii kolejnych spotkań z przedstawicielami zwaśnionych stron. W Rijadzie wysłannik ONZ rozmawiał z przedstawicielami jemeńskiego rządu, a także jego saudyjskimi protegowanymi. Wcześniej, w jemeńskiej stolicy, Sanie, Griffiths spotkał się z obecnym liderem ruchu Huti, Muhammadem Alim al-Husim. W mediach pojawiły się zdjęcia z tej rozmowy. Warto im się przyjrzeć, bo doskonale oddają klimat polityczny panujący wokół kwestii jemeńskiej.

Oto w schludnym i dobrze wyposażonym (jak na kraj targany wieloletnim konfliktem) pomieszczeniu, w zdobionych fotelach siedzi naprzeciw siebie dwóch mężów stanu. Z jednej strony przedstawiciel społeczności międzynarodowej – spięty, zmęczony i jakby zgarbiony pod brzemieniem piętrzących się trudności. Z drugiej jego całkowite przeciwieństwo – swobodnie rozparty w fotelu, wyraźnie zrelaksowany i pewny siebie lider ruchu Huti, ubrany w tradycyjny strój arabski (biała galabija, kefia, sandały), z luźno narzuconą, nieco ciasną marynarką zachodniego kroju →

oraz nieodłącznym jemeńskim rytualnym nożem (dżambia) na piersiach. I rzecz chyba najbardziej wymowna w całej tej scenerii – karabinek AK-47 pozornie niedbale leżący na dywanie pod stolikiem, tuż koło fotela Al-Husiego, w zasięgu jego ręki i z pewnością gotowy do strzału.

Uchwycona na tych zdjęciach scena w niezwykle symboliczny sposób oddaje stan aktualnych relacji między szyickimi rebeliantami a resztą świata. Huti wiedzą, że są w tej rozgrywce górami, nie tylko ze względu na subiektywne przekonanie o wyższości ich racji moralnych i religijnych, ale też dzięki obiektywnym realiom pola walki. To ich formacje wciąż skutecznie powstrzymują napór nominalnie silniejszych i lepiej wyposażonych oddziałów koalicji pod wodzą Arabii Saudyjskiej. To oni dokonują skutecznych kontruderzeń w rejonie kontrolowanego przez nich największego jemeńskiego portowego miasta Hodejda. To oni wreszcie przeprowadzają spektakularne ataki z użyciem rakiet balistycznych na terytorium królestwa Saudów i ostrzeliwują nawet jego stolicę. Ostatecznie to oni kontrolują też historyczną stolicę Jemenu, co daje im polityczną i symboliczną przewagę nad przeciwnikiem. Co równie ważne, to nie Huti ponoszą główną odpowiedzialność za działania, zmierzające do de facto celowego doprowadzenia do głodu milionów Jemeńczyków, takie jak blokada morska wybrzeża Jemenu północnego (zwłaszcza Hodejdy) czy zakaz dostaw humanitarnych drogą powietrzną.

NA KRAWĘDZI ROZPADU

Wysiłki Griffithsa nie okazały się jednak daremne, ostatecznie udało się bowiem posadzić przedstawicieli obu stron konfliktu przy jednym stole rokowań w Sztokholmie. Rozmowy te, przeprowadzone w grudniu 2018 roku, nie zakończyły się istotnym przełomem, np. w postaci trwałego porozumienia pokojowego. Nie powinno to jednak dziwić, zważywszy na poziom wzajemnej nieufności i wrogości oraz geopolityczne uwikłania regionalne każdej ze stron jemeńskiego dramatu.

W podpisanym w stolicy Szwecji porozumieniu zgodzono się na wymianę jeńców, otwarcie międzynarodowego lotniska w Sanie oraz zawarcie rozejmu w Hodejdzie. Stawką jest udrożnienie jak największej liczby kanałów dostępu dla międzynarodowej pomocy humanitarnej dla ludności Jemenu. Niestety, zgodnie z obawami wielu ekspertów, zawieszenie broni w Hodejdzie nie trwało długo



Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie z jednej strony prowadzą bombardowania Jemenu, z drugiej przeznaczają miliardy dolarów wsparcia dla tego wyniszczonego wojną kraju. Na zdjęciu księżę Mohammed bin Salman al Saud z Arabii Saudyjskiej i sekretarz generalny ONZ António Guterres tuż po podpisaniu porozumienia o finansowaniu przez monarchię Saudów pomocy humanitarnej dla Jemenu. Nowy Jork, 27 marca 2018 roku



i wszystko wskazuje na to, że w tym portowym mieście nieprędko skończą się walki sił rządowych i rebeliantów Huti.

Przyczyny dzisiejszych kłopotów Jemenu tkwią w wydarzeniach Arabskiej Wiosny (2010–2011), kiedy w wielu państwach Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej doszło do niepokoju społecznych i masowych protestów. W kilku miejscach – m.in. właśnie w Jemenie – wydarzenia te przerodziły się w zbrojne rewolty i wojny domowe. W odróżnieniu od Libii czy Syrii sytuacja w Jemenie nigdy jednak nie przyciągała na dłużej uwagi społeczności międzynarodowej. Położony na peryferiach regionu Jemen nie dysponuje znaczącymi złożami surowców naturalnych,




Martin Griffiths (na ekranie), specjalny wysłannik ONZ ds. Jemenu, podczas wideokonferencji na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa, która omawiała sytuację w tym niespokojnym rejonie świata. Nowy Jork, 11 września 2018 roku

LOEY FELIPE/UN

nie jest też punktem tranzytowym dla tysięcy uchodźców chcących się dostać na Zachód. Jego rola strategiczna ogranicza się w zasadzie do położenia kraju nad cieśniną Bab al-Mandab, łączącą Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim. W tym miejscu zbiegają się uczęszczane morskie szlaki transportowe, łączące Europę z Azją Wschodnią – każdego dnia transportuje się tamtędy tankowcami około 3 mln baryłek ropy naftowej, z czego większa część to surowiec saudyjski.

W efekcie wydarzeń Arabskiej Wiosny Jemen znalazł się w głębokim kryzysie, który doprowadził do faktycznego rozpadu struktur państwa i władzy, a co najważniejsze, także armii – jedyne go czynnika państwowotwórczego spajającego i kształtującego współczesny kraj. Gdy w 2012 roku – pod presją masowych protestów społecznych, w związku

z falą buntów w armii oraz wznowioną rebelią szyitów na północy – ze stanowiska ustąpił prezydent Ali Abdullah Saleh, twarzą rządu krajem od 1990 roku, Jemen stanął na krawędzi rozpadu i anarchii. Ostatecznie stoczył się w tę otchłań trzy lata później, kiedy ośmieleni słabością sunnickiego południa szyici ruszyli ze swego matczyka w kierunku Sany.

Zamieszkujący północno-zachodnie regiony Jemenu szyici (stanowiący niemal połowę ludności kraju) tuż po roku 2000 podejmowali wysiłki na rzecz poprawy swojego statusu politycznego. Kolejne zrywy ruchu Huti były jednak tłumione przez siły bezpieczeństwa i armię Jemenu, zdominowane przez sunnitów. Gdy w 2012 roku władze centralne zostały osłabione kryzysem w państwie, oni szybko zajęli północ kraju, a dwa lata później podjęli ofensywę na poł-



dnie. Jej celem było zmuszenie sunnitów do kompromisu w kwestii podziału władzy w kraju i uznania autonomii regionów szyickich. Rozkład struktur państwa był jednak już tak bardzo zaawansowany, że Huti nie natrafili po drodze do Sany na żaden zorganizowany opór jednostek rządowych. Zdemoralizowani żołnierze poddawali się bez walki lub przechodzili całymi jednostkami na ich stronę.

Kiedy w styczniu 2015 roku Huti ostatecznie zdobyli stolicę i zmusili prezydenta Hadiego i jego gabinet do dymisji oraz ucieczki z kraju, szyici stanęli przed szansą objęcia rządów (przynajmniej nominalnie) nad całym Jemenem, a nawet odtworzenia historycznego imamatu zajdyckiego, istniejącego nieprzerwanie przez tysiąc lat i zlikwidowanego w 1962 roku przez jemeńskich nacjonalistów. Tym bardziej że ofensywa Huti nie zatrzymała się na Sanie – ich oddziały parły niepowstrzymane na południe i zajęły Aden (dawna stolica Jemenu Południowego i ważny port pełnomorski) oraz wiele prowincji nad Zatoką Adeńską.

Taka sytuacja musiała wywołać niepokój wśród sunnickich Arabów: oto bliscy sprzymierzeńcy Iranu przejmują polityczną kontrolę nad stolicą kolejnego, po Libanie, Iraku i Syrii, kraju arabskiego i większą częścią jego terytorium. Arabia Saudyjska – jako niekwestionowany lider arabskich sunnitów i regionalny rywal szyickiego Iranu – zareagowała więc szybko i zdecydowanie (a jak czas pokazał, także i zbyt pochopnie). Sformowana ad hoc w marcu 2015 roku międzynarodowa koalicja, mająca na celu przywrócenie w Jemenie i w regionie geopolitycznego status quo ante, natychmiast rozpoczęła intensywne działania militarne.

NAKRĘCAJĄCA SIĘ SPIRALA PRZEMOCY

Skala operacji, prowadzonej początkowo wyłącznie z użyciem lotnictwa, nie miała sobie równych, jeśli chodzi o dotychczasowe samodzielne działania zbrojne sił arabskich. Szybko jednak się okazało, że samymi nalotami i atakami raketowymi nie da się pokonać nieregularnej formacji partyzanckiej, jaką w istocie jest ruch Huti – konieczne stało się zatem wprowadzenie sił lądowych. Po początkowych sukcesach w walkach na lądzie, w tym odbiciu z rąk szyitów Adenu, a także kilku południowych prowincji, wojna szybko jednak przekształciła się w konflikt o asymetrycznym charakterze. W tego typu starciu to Huti – jako zaprawieni w bojach partyzanci – dyktowali warunki i zakres działań. Szybko też przejmowali inicjatywę i spychali sojuszników do defensywy.

Siły koalicji ugrzęzły w przewlekłych starciach i niewiele pomogło nawet wprowadzenie do walki kilku tysięcy doświadczonych najemników z Ameryki Łacińskiej, stanowiących elitę sił zbrojnych Zjednoczonych Emiratów Arabskich, jak też liczącej kilkanaście tysięcy żołnierzy wzmocnionej dywizji zmechanizowanej z Sudanu (wypożyczonej i opłacanej z saudyjskiego skarbcza). Konflikt jemeński przekształcił się w typową wojnę pozycyjną,

w której zajęcie kolejnego miasta, regionu czy prowincji to sukces na skalę strategiczną, każdorazowo okupiony jednak niebywałym wysiłkiem militarnym oraz olbrzymimi stratami w ludziach i sprzęcie. Sami tylko Saudyjczycy utracili w niej niemal tysiąc żołnierzy, drugie tyle ich sojusznicy zaangażowani w walki lądowe (głównie Sudan). To typowy konflikt bez szans na szybkie rozstrzygnięcie militarne, a równocześnie wojna na wyczerpanie. Z jednej strony Huti dążą do rozszerzenia pola konfrontacji – atakują okręty koalicji na wodach Morza Czerwonego oraz ostrzeliwiają rakietami balistycznymi terytorium Arabii Saudyjskiej (w tym samą jej stolicę), z drugiej zaś koalicja pod wodzą Saudów zaczyna stosować coraz ostrzejsze metody działań, często sprzeczne z prawem międzynarodowym, takie jak całkowita blokada transportów morskich i powietrznych z pomocą humanitarną (formalnie zniesiona jesienią 2017 roku, ale faktycznie wciąż stosowana przez siły koalicyjne).

KTO GRA JEMENEM?

Efektem nakręcania się tej spirali przemocy jest już nie tylko ogromna skala strat wśród ludności cywilnej (według różnych źródeł 20–30 tys. ludzi), ale przede wszystkim katastrofa humanitarna, będąca udziałem dużej części mieszkańców Jemenu. Do największych zagrożeń, oprócz żywiołowo narastającej epidemii cholery (w roku 2017 nawet kilka tysięcy nowych przypadków dziennie), należy głód, którego widmo wisi nad 10–14 milionami Jemeńczyków.

Oznacza to, że pilnej pomocy żywnościowej potrzebuje od 50 do 75% populacji tego kraju. ONZ oficjalnie ocenia już, że głód w Jemenie może się okazać największym dramatem tego rodzaju w ciągu ostatnich stu lat (być może nawet większym niż „hołodomor” na Ukrainie w latach 1932–1933). Już teraz liczbę małych dzieci i kobiet w ciąży cierpiących na chroniczne niedożywienie ocenia się w Jemenie na ponad 3,5 mln. A według organizacji Save the Children, 85 tys. dzieci w wieku poniżej piątego roku życia zmarło wskutek braku dostatecznej ilości pożywienia.

W Jemenie od samego początku nie toczył się zwykły konflikt wewnętrzny, lecz była to klasyczna wojna zastępcza dla głównych regionalnych graczy strategicznych. Z biegiem czasu zaangażowały się w nią pośrednio także najważniejsze mocarstwa globalne, co tylko pogorszyło sytuację i oddaliło perspektywę porozumienia politycznego. To właśnie udział aktorów zewnętrznych sprawia, że taka sytuacja najprawdopodobniej potrwa jeszcze długo.

Jemeńczycy stali się zakładnikami geopolitycznej rozgrywki, toczącej się w ich kraju i ich kosztem między sunnitami a szyitami (czyli Arabią Saudyjską a Iranem), a także między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. I podobnie jak w Syrii, w takiej sytuacji nie ma większych szans na sukces dyplomacji. Należy się obawiać, że koniec wojny może nastąpić tylko w wyniku sukcesu militarnego jednej ze stron, ze wszystkimi tego dramatycznymi skutkami dla ludności i kraju. ■



Zatrzymać katastrofę

Wojna w Jemenie może doprowadzić do największego kryzysu humanitarnego na przestrzeni ostatnich stu lat. Polacy dołączyli do ponad 30 organizacji pomocowych, które chcą temu zapobiec.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Przez skórę prześwitują żyły i kości. Na wychudzonym ciele można dostrzec, gdzie żebra łączą się z mostkiem. Ich pojedyncze bruzdy rozchodzą się po klatce piersiowej niczym fale. Rysy twarzy się zacierają. Widać tylko spiczaste policzki, cofnięte wargi oraz zapadnięte oczodoły.

W Jemenie co dziesięć minut umiera dziecko poniżej piątego roku życia. Trwająca od trzech lat wojna doprowadziła do epidemii głodu. W październiku 2018 roku na 2 mln dzieci cierpiących głód ponad 400 tys. było w stanie krytycznym. Już wtedy przewidywano, że w ciągu najbliższych miesięcy liczba ta zwiększy się przynajmniej o jedną czwartą.

W ciągu ostatnich 20 lat ONZ dwukrotnie ogłosiła klęskę głodu: w Somalii oraz Sudanie Południowym. Dzieje się tak, gdy przekroczone zostaną trzy progi – 30% dzieci poniżej piątego roku życia cierpi na ostre niedożywienie, 20% gospodarstw domowych doświadcza skrajnego braku żywności oraz codziennie

dwie osoby na 10 tys. umierają z głodu. W przypadku Jemenu decyzja ta nie zapadła tylko dlatego, że nie można zweryfikować ostatniego kryterium.

Przed wojną wielu Jemeńczyków pracowało w krajach zatoeki, a ponad 80% żywności pochodziło z importu. W 2015 roku granica z Arabią Saudyjską została zamknięta. Wraz z działaniami konwencjonalnymi Saudowie rozpoczęli także wojnę ekonomiczną. W efekcie ponad milion pracowników sektora

publicznego żyjących na terenach zajętych przez Huti przestało otrzymywać pensje. Zarazem większość Jemeńczyków to rolnicy i rybacy. Blokady portów oraz bombardowania infrastruktury cywilnej skurczyły oba te sektory o połowę. Tych, którzy starali się ratować za pomocą oszczędności, dobiła narastająca inflacja.

Życie co najmniej 8 mln Jemeńczyków zależy wyłącznie od pomocy dostarczanej z zewnątrz. Na miejscu znajduje się około 30 organizacji pozarządowych, ➔

W CIĄGU OSTATNICH 20 LAT ORGANIZACJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH DWUKROTNIE OGŁOSIŁA KLĘSKĘ GŁODU: W SOMALII ORAZ SUDANIE POŁUDNIOWYM



W JEMENIE BRAKUJE DOSTĘPU DO WODY PITNEJ, BEZPIECZNEGO SCHRONIENIA, OPIEKI MEDYCZNEJ, ŻYWNOŚCI

które desperacko starają się ratować ludzkie życie. W ostatnich tygodniach dołączyły do nich także Polska Misja Medyczna (PMM), Polska Akcja Humanitarna (PAH) oraz Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej (PCPM). Organizacje te połączyły siły i będą dostarczać pomoc najbardziej potrzebującym. Jest to trudne zadanie, nie tylko ze względów logistycznych.

CORAZ BLIŻEJ EPIDEMII

Zaczyna się od biegunki i ostrych wymiotów. W ciągu kilkudziesięciu godzin pojawia się silny ból brzucha, zmienia twarz i głos. Cholera jest stosunkowo łatwa do wyleczenia, ale bez profesjonalnej pomocy umiera na nią ponad 50% zarażonych osób. Według Światowej Organizacji Zdrowia więcej niż połowa jemeńskich placówek medycznych została zniszczona lub zamknięta. Epidemia cholery była tylko kwestią czasu. Obecnie odnotowuje się 10 tys. zachorowań tygodniowo.

Jako pierwsza z epidemią cholery walczyła organizacja Lekarze bez Granic, która jest na miejscu od początku wojny. To właśnie jej działania zdecydowała się wesprzeć Polska Misja Medyczna. „Lekarze bez Granic w Jemenie mają doskonale rozpoznane potrzeby oraz wdrożone międzynarodowe standardy pomocy”, mówi Małgorzata Ołasińska-Chart z Polskiej Misji Medycznej. Podkreśla, że dzięki temu cała zebrana kwota została przeznaczona bezpośrednio na pomoc. „Będziemy

wspierać 37 punktów odżywiania dzieci i leczenia cholery. W ciągu ostatnich czterech lat uratowano tam ponad 101 tys. ludzkich istnień. Nie wydamy jednak ani jednej złotówki na koszty administracyjne czy logistyczne. Nie musimy tam jechać, wszystkie potrzeby są już zweryfikowane przez Lekarzy bez Granic”, zaznacza Małgorzata Ołasińska-Chart.

Polska Misja Medyczna tylko do końca 2018 roku przekazała 20 tys. dolarów. Nie jest jednak tajemnicą, że obie walczące strony próbują zastraszyć pracowników organizacji humanitarnych. W efekcie część pomocy trafia do rodzin bojowników lub wręcz zasila lokalne oddziały. Wraz z kolejnymi incydentami pojawiają się pytania o wiarygodność i skuteczność podejmowanych działań. Wątpliwości te rozwiewa Małgorzata Ołasińska-Chart. „Lekarze bez Granic to ciesząca się największym szacunkiem organizacja medyczna, która jednocześnie bardzo precyzyjnie dobiera swoich partnerów. Jesteśmy pierwszą organizacją humanitarną z Polski, z którą rozpoczęli współpracę. Opiera się ona nie tylko na zaufaniu, lecz także szczegółowych raportach”.

PIERWSZA POTRZEBA

Na początku czerwca ubiegłego roku jemeński rząd rozpoczął ofensywę w Al-Hudajdzie, portowym mieście leżącym na zachodzie kraju. Walki spowodowały, że ze swoich domów uciekło kolejne 400 tys. cywilów. „Chcemy dostarczyć w okolicy Al-Hudajdy 500 domów modułowych oraz 2 tys. plastiko-



KARIM SAHIB/EAST NEWS

wych płacht na namioty”, tłumaczy Piotr Stopka z Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Partnerem akcji został Czerwony Półksiężyc, który na miejscu przekazuje dary najbardziej potrzebującym rodzinom. Są wśród nich osoby chore oraz samotne matki z dziećmi. Według PCPM-u to najbardziej efektywne wykorzystanie zebranych środków. „Oprócz jedzenia i leków dach nad głową jest pierwszą potrzebą człowieka, który musiał uciekać ze swojego domu. Nasze domy modułowe zostały zaprojektowane specjalnie dla uchodźców i często wysyła się je do krajów dotkniętych kryzysem humanitarnym”, wyjaśnia Piotr Stopka.

Szacuje się, że wojna w Jemenie doprowadziła do przesiedlenia ponad 3 mln ludzi. Według Biura Narodów Zjednoczonych ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej około 2 mln wciąż pozostaje uchodźcami wewnętrznymi. Ci, którzy zdecydowali się wrócić do swoich domów, najczęściej mieszkają w ruinach.

Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej musiało stawić czoło podobnej sytuacji w Libanie, gdzie dzięki zaangażowaniu lokalnych pracowników i wolontariuszy pomagają syryjskim uchodźcom. W przypadku Jemenu sprawa jest jednak

znacznie bardziej skomplikowana. „Barierę stanowiły kwestie finansowe oraz logistyczne. Utworzenie naszej placówki wymagałoby zgromadzenia dużych środków finansowych, dlatego postanowiliśmy zmienić metodę”, mówi Piotr Stopka. Nie ukrywa też, że nawet we współpracy z Czerwonym Półksiężycem dostarczanie pomocy do Jemenu jest olbrzymim wyzwaniem. „W tej chwili w mieście Al-Hudajda wciąż trwają walki. Jest to port, przez który przechodzi ponad połowa całego importu Jemenu oraz znaczna część pomocy międzynarodowej, w tym nasze płachty i domy. Mamy nadzieję, że starcia nie przeszkodzą w jego funkcjonowaniu”. Gdyby tak się stało, do północnego Jemenu przestałyby także docierać żywność.

OTWARTE DRZWI

Uchodźcy z Jemenu szukają schronienia w takich krajach jak Somalia, Erytrea czy Sudan. Najwięcej z nich trafiło jednak do Dżibuti, niewielkiego państwa położonego nad Zatoką Adeńską. To właśnie w tym miejscu Polska Akcja Humanitarna chce utworzyć bazę do dalszych działań. „Obecnie jesteśmy w Dżibuti, gdzie dokładnie rozpoznajemy potrzeby. Kraj ten oddalony jest od Jemenu 30 km drogą morską”, tłumaczy Paula Gierak, która w zespole PAH-u jest odpowiedzialna za wykonanie rekonesansu wśród uchodźców. W samym Dżibuti jest ich ponad 40 tys. Pomoc zostanie udzielona w ramach standardowych działań PAH-u, ale jej zakres będzie znany dopiero po przeprowadzeniu wywiadu środowiskowego. „W Jemenie brakuje dostępu do wody pitnej, bezpiecznego schronienia, opieki medycznej, żywności”, podkreśla Paula Gierak i dodaje: „Duża część szpitali została zniszczona, a te, które pracują, borykają się z brakiem personelu i leków, a zatem nie są w stanie pomóc wszystkim. Przez trwający konflikt dzieci nie mogą normalnie uczęszczać do szkół. Ludzie, by przeżyć, gotują liście lokalnych krzewów, matki karmią dzieci wodą po gotowanym ryżu”. Aby móc pomagać długofalowo, PAH planuje misję także w samym Jemenie.

Tymczasem społeczność międzynarodowa dąży do zażegnania konfliktu przynajmniej w miastach kluczowych dla dystrybuowania pomocy. Rozmowy pokojowe dotyczą m.in. portu Al-Hudajda oraz Sany, w której planuje się przywrócić funkcjonowanie lotniska. W grudniu amerykański Senat przegłosował także wycofanie się ze wspierania saudyjskich nalotów. Nikt się nie łudzi, że doprowadzi to do zakończenia wojny, ale dzięki bezpiecznym strefom organizacje humanitarne będą mogły zintensyfikować swoje działania. Tylko w ten sposób można zatrzymać nadciągającą katastrofę. ■

Wyobrażone zwycięstwo

Plan Ashrafa Ghaniego daje nadzieję na wygaszenie konfliktu w Afganistanie, ale tylko umiarkowaną. Czy jest jednak szansa na jego realizację?

M A R C I N R Z E P K A

Projekt włączenia talibów w struktury „demokratycznego społeczeństwa”, wypracowany w 2018 roku przez rząd w Afganistanie i poparty entuzjastycznie przez społeczność międzynarodową, daje nadzieję na zmiany, może nawet na wygaszenie konfliktów trwających ten kraj od lat. Pomiędzy jednak sprawę zasadniczą, będącą podstawą każdej strategii – rzeczywiste możliwości osiągnięcia wyznaczonych celów.

NOWY ROZDZIAŁ

W listopadzie 2018 roku, w czasie odbywającej się w Genewie konferencji ONZ poświęconej sprawom Afganistanu, prezydent Ghani przedstawił koncepcję porozumienia z talibami, którą nazwał nowym rozdziałem. Zwrócił też uwagę, że jest to kontynuacja wcześniejszych inicjatyw rządowych, zmierzających do zapewnienia bezpieczeństwa w kraju. Trwająca od 2014 roku prezydentura Ghaniego naznaczona jest ko-

niecznością znalezienia złotego środka, pozwalającego zachować wypracowany po obaleniu rządów talibów w 2001 roku stan administracyjno-prawny i jednocześnie włączyć w struktury polityczne państwa przedstawicieli nieprzystającego do niego zupełnie ugrupowania. W lipcu 2015 roku w Pakistanie doszło do pierwszych rozmów między stroną rządową a talibami, których celem było ustalenie stanowisk obu stron. Nie osiągnięto jednak spodziewanych rezultatów. Wyjściem z impasu miała być oferta zawarcia pokoju, którą złożył talibom prezydent Ghani w lutym 2018 roku. Do niej też odwołał się, przedstawiając swój plan w Genewie.

Rządowy plan oferuje talibom możliwość włączenia się w przestrzeń społeczno-polityczną państwa pod warunkiem uznania przez nich konstytucji z 2004 roku, praw i obowiązków obywateli, zapewnienia funkcjonowania afgańskich sił bezpieczeństwa zgodnie z prawem oraz wykluczenia z udziału

w polityce wewnętrznej państwa wszelkich organizacji uznanych za terrorystyczne. Istotą tego projektu są również zapowiadane szerokie konsultacje społeczne, za które ma odpowiadać powołany przez prezydenta dwunastoosobowy zespół. W jego skład wchodzi również kobiety.

W przedstawionym przez Ghaniego planie określono też, w jakim czasie miałyby on zostać wprowadzony w życie – w ciągu pięciu kolejnych lat, tyle trwa kadencja prezydenta. Niebagatelną zatem rolę w prognozowaniu i planowaniu rozmów, negocjacji oraz ewentualnych porozumień odgrywa kalendarz wyborczy. Testem dla społecznego poparcia przedstawionego przez Ghaniego projektu miałyby być wyznaczone na 2019 rok wybory prezydenckie.

Projekt prezydenta Ghaniego należy oczywiście postrzegać w szerszym kontekście zmian politycznych oraz w odniesieniu do intensyfikacji działań podejmowanych przez administrację pre-



U S D O D



VIOLAINE MARTIN / UN

Prezydent Afganistanu Ashraf Ghani przedstawił koncepcję porozumienia z talibami, którą nazwał „nowym rozdziałem”. Na zdjęciu – podczas konferencji w Genewie, 27 listopada 2018 roku.

zydenta Donalda Trumpa na rzecz zakończenia wojny w Afganistanie. Chodzi tu przede wszystkim o działania dyplomatyczne, wszak, jak podkreślają analitycy, amerykańscy prezydenci od 2001 roku przetestowali praktycznie wszystkie rozwiązania militarne. Od września 2018 roku za prowadzenie negocjacji z talibami z ramienia USA odpowiada Zalmay Khalilzad, urodzony w Mazar-e Sharif Pasztun, polityk, amerykański dyplomata. Podejmowane przez niego kroki, dyskusje z reprezentantami talibów w Katarze, wizyty w Pakistanie i Afganistanie, świadczą o faktycznym przyspieszeniu „procesu pokojowego”. Przejawia się ono również w powiązaniu negocjacji z wyborami prezydenckimi.

SŁABE PUNKTY

Oferta pokoju dla talibów wzbudza w Afganistanie mieszane uczucia bądź jawną niechęć, co jest wzmacniane traumatyczną pamięcią czasów, gdy

rzządzili krajem. Problem jest jednak znacznie głębszy, dotyczy ogólnego zniechęcenia społeczeństwa afgańskiego i ambiwalentnego stosunku do projektów rządowych przy wciąż niewielkiej zdolności państwa do integrowania

TESTEM DLA SPOŁECZNEGO POPARCIA PRZEDSTAWIONEGO PRZEZ GHANIEGO PROJEKTU WŁĄCZENIA TALIBÓW W STRUKTURY POLITYCZNE PAŃSTWA MIAŁYBY BYĆ PLANOWANE NA 2019 ROK WYBORY PREZYDENCKIE

obywateli wokół symboli narodowych i wygaszania konfliktów. W sektorze bezpieczeństwa najbardziej dotkliwym przejawem słabości działań rządowych i wprowadzonych reform może być sytuacja w armii, która boryka się z coraz mniejszą liczbą ochotników i ogólnym spadkiem morale.

Przyczyną tego kryzysu nie jest jednak wyłącznie nieskuteczność rządu. Wiąże się to również z zatrważającymi statystykami śmierci żołnierzy i pracowników afgańskich służb bezpieczeństwa w wyniku ataków talibów. W ostatnich miesiącach liczba zabitych żołnierzy przekracza 40 dziennie. Z drugiej strony, w przeciwieństwie do sił rządowych bojownicy związani z talibami mają znacznie silniejszą motywację, a nierzadko również lepsze uzbrojenie.

Raport amerykańskiej agencji rządowej Special Inspector General for Afghanistan Reconstruction (SIGAR) z lipca 2018 nie pozostawia złudzeń co do faktycznych możliwości odbudowy



Afganistanu. Najbardziej wstrząsające jest stwierdzenie, że rząd amerykański przeszacował własne możliwości stworzenia skutecznej administracji państwowej w tym kraju. Dodatkowo – jak przyznaje szef SIGAR John Sopko – pieniądze przeznaczone na programy pomocowe płynęły do bojowników, wzrastała korupcja, bezpieczeństwo zaś w danym regionie kraju ograniczało się do czasu „fizycznej obecności” międzynarodowych sił. Raport, łącząc możliwość odbudowy kraju z odbudową więzi społecznych i poprawą bezpieczeństwa, postuluje zatem konieczność powrotu do działań i ideałów, które pojawiły się jeszcze w 2001 roku, odnoszących się do „strategii budowania wzajemnego zaufania”, tworzenia elementarnych i trwałych więzi społecznych. Do takich założeń nawiązuje wspomniany plan prezydenta Ghaniego. Brak w nim jednak konkretów, z wyjąt-

i tak niewielki autorytet afgańskiego rządu. Niebagatelną rolę będą odgrywać również inni politycy, reprezentujący inne niż rząd strategie bezpieczeństwa. Mohammad Hanif Atmar, były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, rezygnując z urzędu w sierpniu 2018 roku (powodem miała być zapowiedź startu w wyborach prezydenckich), wspominał o różnicach w kwestii definiowania celów politycznych i strategicznych. Można się w związku z tym zastanawiać, czy gdyby to właśnie on wygrał wybory prezydenckie – jeśli się odbędą – ogłoszony przez Ghaniego „nowy rozdział” zachowałby aktualność.

KONFLIKT INTERESÓW

Rozmowy z talibami to dziś konieczność. Ich oczekiwania są jednak ogromne. Niewątpliwie postulaty dotyczące wypuszczenia z więzień członków organizacji, zniesienia nakładanych na

Stanikzai wyraził opinię, że afgańska konstytucja jest kopią zachodnich aktów normatywnych i usuwa w cień islam. Szef biura politycznego talibów oświadczył, że zamiast rozmawiać bezpośrednio z Ghanim, wolą oni podjąć rozmowy z Waszyngtonem. Bynajmniej nie są jednak skłonni do negocjowania zagadnień religijnych.

Oficjalnie celem konferencji w Genewie było zademonstrowanie poparcia społeczności międzynarodowej dla projektów pokojowych podjętych przez afgański rząd. Taka akceptacja wynika w dużej mierze z realizowanych w tym kraju programów związanych z jego odbudową i rekonstrukcją oraz aktywizacją społeczną mieszkańców, jednak nie wzmacnia pozycji Kabulu w negocjacjach z talibami. Założenie, że do rozmów potrzebnych jest trzech partnerów – rząd afgański, talibowie i USA, jest ze wszech miar słuszne. Skuteczność podjętych działań zależna będzie jednak od



ROZMOWY Z TALIBAMI TO DZIŚ KONIECZNOŚĆ, JEDNAK ICH OCZEKIWANIA SĄ OGROMNE. TE NAJBARDZIEJ PROBLEMATYCZNE DOTYCZĄ WPROWADZENIA PRAWA RELIGIJNEGO

o d k iem wskazania terminów powiązanych z kalendarzem wyborczym.

o s Ws Warto zwrócić uwagę, że podporządkowanie przez Ghaniego negocjacji z talibami planowanemu wyborom może ostatecznie działać na jego niekorzyść. Wziąwszy pod uwagę zamachy dokonane przez talibów w czasie wyborów parlamentarnych w październiku 2018 roku, należy postrzegać ten czas w kategoriach wyjątkowej aktywności tego ugrupowania. Przesunięcie terminu wyborów albo, co jeszcze gorsze, ich unieważnienie w wyniku ataków czy defraudacji głosów może znacznie osłabić

nią sankcji oraz uznania biura politycznego talibów w Katarze mogą być zaakceptowane. Znacznie bardziej problematyczne są roszczenia dotyczące wprowadzenia prawa religijnego, a tym samym powrotu do Afganistanu sprzed 2001 roku. Zważywszy na to, że „nowy rozdział” zawiera bardzo silne odniesienie do konstytucji – uznanej przez polityków za znaczne osiągnięcie w budowaniu demokratycznego Afganistanu – nie wydaje się, że takie żądania zostaną spełnione.

W czasie rozmów pokojowych w Moskwie w listopadzie 2018 roku reprezentant talibów Sher Mohammad Abbas

współpracy regionalnej, zwłaszcza postawy Pakistanu, a w szerszym wymiarze – Rosji.

Biorąc pod uwagę uwarunkowania geopolityczne, trzeba stwierdzić, że sła- bością planu Ghaniego może być właśnie powiązanie z kalendarzem wyborczym. Wybory są niewątpliwie wyznacznikiem przemian i demokratyzacji społeczeństwa, jednak założenie, że ogłoszenie ich daty wpłynie na zmianę postaw talibów, że zdecydują się w nich wziąć udział jako wyborcy, wydaje się zbyt optymistyczne. Nie należy zatem uzależniać programu pokojowego od wyborów prezydenckich. Nie jest bowiem pewne, kiedy i czy w ogóle się one odbędą. ■

Zapomniana flota

Amerykańscy logistycy wojskowi alarmują o zbyt ograniczonych możliwościach transportu morskiego. W razie dużego konfliktu, jeśli zajdzie potrzeba wysłania wojsk lądowych za granicę, USA będą miały problem.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Stany Zjednoczone mogą mieć problem z szybkim rozmieszczeniem wojsk w razie wybuchu konfliktu zbrojnego na dużą skalę na zamorskich teatrach działań, takich jak Europa czy Azja. Wynika to z ograniczeń w transporcie morskim. Co prawda, żołnierzy można przetransportować samolotami wojskowymi lub wycarterowanymi cywilnymi, jednak ponad 90% uzbrojenia i sprzętu musi być przewiezione drogą morską. Logistycy US Army zwracają uwagę, że do 2034 roku 70% amerykańskiej floty transportowej, stanowiącej własność federalną, będzie miało ponad 60 lat i w związku z tym bardzo ograniczoną wartość użytkową. Pierwsze poważne problemy z przerwaniem pojawią się już za kilka lat.

STRATEGICZNE DOWÓDZTWO

W Stanach Zjednoczonych za przewozy militarne statkami odpowiada Dowództwo Wojskowego Transportu Morskiego (Military Sealift Command – MSC). Wbrew nazwie tylko część z podległych mu około 120 jednostek pływających może być użyta do przewozu uzbrojenia, sprzętu czy zaopatrzenia. MSC dysponuje bowiem też holownikami, statkami hydrograficznymi i rozpoznawczymi, pływającymi bazami dla okrętów podwodnych, zbiornikowcami, okrętami wsparcia logistycznego floty, dowodzenia i szpitalnymi. Wszystkie z nich przydzielono do realizowanych przez MSC ośmiu programów, z których tylko trzy są faktycznie związane z transportem na rzecz wojsk lądowych, piechoty morskiej i sił powietrznych.

Najważniejszy jest program „Transport morski N035” (PM5). Obecnie włączono do niego 24 statki – 20 jednostek będących własnością rządu i cztery wycarterowane. Kluczowe dla przerzutu uzbrojenia i sprzętu są rorowce, przystosowane do przewozu ładunków tocznych i pojazdów, od pikapów po czołgi. Własnością MSC jest 15 dużych, śred-

niej prędkości rorowców, znanych pod akronimem LMSR. To jedne z najmłodszych jednostek dowództwa. Statki typów Bob Hope i Watson zbudowano w latach 1993–2002. W programie jest jeszcze pięć jednostek należących do dowództwa transportu, które są połączeniem rorowca z kontenerowcem. Trzy z nich, typu Matej Kocak, zbudowano w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku. Pozostałe cztery należące do PM5 są wycarterowanymi kontenerowcami.



Własnością MSC jest również 16 jednostek wykorzystywanych w programie „Strategiczny transport morski N033” (PM3). Pierwotnie określano go jako wysuniętą obecność (prepositioning). Na dziesięciu rorowcach, kontenerowcach i LMSR-ach, znajdujących się w strategicznych punktach akwenów morskich, jest zgromadzone uzbrojenie i zaopatrzenie dla piechoty morskiej.

Ostatnim programem transportowym MSC jest „Szybki transport ekspedycyjny” (PM8), liczący 11 jednostek przeznaczonych do transportu żołnierzy, pojazdów i zaopatrzenia w ramach teatru działań. Większość należy do typu Spearhead, który wywodzi się z projektu szybkiego promu australijskiej firmy Austal. Obecne plany przewidują, że docelowo MSC będzie miało ich tuzin.

ZANIKAJĄCA REZERWA

MSC może skorzystać z Floty Rezerwowej Obrony Narodowej (National Defense Reserve Fleet – NDRF). To jednostki cywilne, które wymagają czasu, by przygotować je do służby. 30 września 2018 roku było ich 93. Dla porównania w lipcu 2007 roku NDRF liczyła 230 jednostek, a w 1950 roku aż 2227.

Kluczowy w NDRF jest program „Gotowe siły rezerwowe” (Ready Reserve Force – RRF), w którym, według stanu na 30 września 2018 roku, uczestniczyło 46 statków należących



Obecnie marynarka handlowa USA ma zaledwie

465

jednostek powyżej 1000 t wyporności.



Zbudowany
w 2001 roku
rorowiec
USNS „Pilliaau”

do Administracji Morskiej USA, Agencji Departamentu Transportu. Dominowały wśród nich rorowce – 35, w tym osiem szybkich transportowców typu Algol. W RRF było również sześć statków pomocniczych z żurawiami typu Keystone State, zabierających na pokład ponad 300 kontenerów. Zbudowano je na początku lat siedemdziesiątych jako bardzo szybkie kontenerowce. Po ich zakupie przez rząd federalny na statkach zamontowano żurawie i rampy, jak w rorowcach. Poza tym do RRF należały we wrześniu jeszcze tankowce, dwa drobnicowce i dwa barkowce.

W ramach programu „Bezpieczeństwo morskie” (Maritime Security Program) na potrzeby wojskowe można wykorzystać pływające pod amerykańską banderą statki cywilne. Niemniej możliwości zwiększenia w ten sposób potencjału wojskowego transportu morskiego są mocno ograniczone. Obecnie marynarka handlowa USA ma zaledwie 465 jednostek powyżej 1000 t wyporności. Przed dwoma laty było wśród nich 175 statków handlowych, 114 przewożących suche ładunki i 61 tankowców. Administracja Morska USA uznała, że 152 z nich mogą być „przydatne militarnie”.

Jednostki potrzebują załóg złożonych z wykwalifikowanych marynarzy z obywatelstwem USA. MSC miał ich do dyspozycji 11 768, a potrzeby kadrowe, z uwzględnieniem rotacji, szacowane są na 13 607. Problemem są też oficerowie. Przed laty mury Akademii Marynarki Handlowej USA w Kings Point w stanie Nowy York opuszczało co roku 350 absolwentów. Obecnie ich liczba spadła do 270. Zaledwie jedna trzecia z nich podejmuje pracę w marynarce handlowej USA.

US Navy ma świadomość narastających problemów w transporcie morskim. Istnieje plan zamówienia nowego typu statków, Common Hull Auxiliary Multi-Mission Platform (CHAMP). W grę wchodziłby zakup co najmniej dziesięciu jednostek. Inną opcją wymiany floty jest pozyskanie używanych statków cywilnych, ale za nie trzeba zapłacić 75–100 mln dolarów. Do tego dochodzą też koszty późniejszej modernizacji i dostosowania do potrzeb wojskowych. Jako że jest zbyt mało pieniędzy, by dokonać odnowienia sił

transportu morskiego poprzez kupno nowych statków, są plany przedłużenia czasu użytkowania 31 jednostek, które już obecnie mają ponad 40 lat.

NIEDOSTATEK ESKORTOWCÓW

Innym wielkim problemem, przed którym może stanąć amerykańskie dowództwo w razie konfliktu z przeciwnikiem dysponującym znaczącymi siłami morskimi, szczególnie z liczną flotą podwodną, będzie zapewnienie bezpieczeństwa statkom przewożącym materiały wojenne. Tylko część najnowszych jednostek podległych MSC ma pewne zdolności do obrony powietrznej i przed okrętami podwodnymi.

Historia obu wojen światowych pokazuje, że najskuteczniejszym sposobem ochrony statków handlowych było gromadzenie ich w konwojach eskortowanych przez okręty bojowe. Tymczasem po zakończeniu zimnej wojny US Navy zrezygnowała z najlepiej nadającej się do takich zadań klasy okrętów – fregat dysponujących systemami wykrywania i zwalczania wrogich jednostek podwodnych. Okręt tej klasy może również zapewniać ochronę statkom transportowym przed atakami z powietrza. Wprowadzony zamiast fregaty okręt walki przybrzeżnej (littoral combat ship – LCS), jak sama nazwa wskazuje, był przewidywany do zupełnie innych misji. Oczywiście amerykańscy wojskowi dostrzegli zaistniałą lukę. Stąd decyzje o doposażaniu LCS-ów i uruchomieniu programu nowego typu fregaty FFG(X). Jednak pierwsze z nich pojawiają się dopiero w połowie przyszłej dekady. Dlatego są wyrażane opinie, że być może teraz należałoby przywrócić do służby część z wycofanych fregat typu Olivier Hazard Perry.

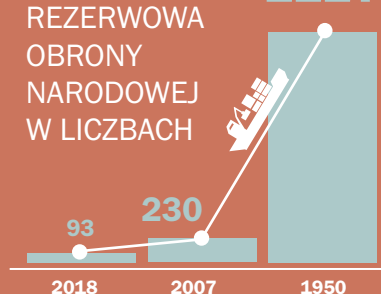


Tylko część z podległych MSC około 120 jednostek pływających może być użyta do przewozu uzbrojenia, sprzętu czy zaopatrzenia.

U.S. NAVY

FLOTA
REZERWOWA
OBRONY
NARODOWEJ
W LICZBACH

2227



ABSOLWENCI
AKADEMII
MARYNARKI
HANDLOWEJ USA



Lata wcześniejsze

350



Obecnie

270

załogi statków



11 768



potrzeby kadrowe

13 607

DO 2034 ROKU

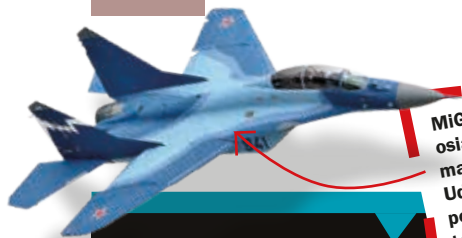
70%

AMERYKAŃSKIEJ
FLOTY TRANSPORTOWEJ, STANOWIĄCEJ WŁASNOŚĆ FEDERALNĄ, BĘDZIE MIAŁO
PONAD 60 LAT

Nie sposób nie zauważyć, że amerykańscy admirałowie podążyli tą samą ścieżką, co dowódcy wielu wielkich flot z przeszłości. Otóż preferowali oni budowę okrętów przeznaczonych do walki z podobnymi jednostkami. Nie przywiązywali natomiast wielkiej wagi do kwestii zapewnienia podczas konfliktu ochrony żegludze cywilnej, za co przyszło im zwykle płacić w początkowym etapie wojny.

Dziwi, że Amerykanie zbagatelizowali znaczenie działań eskortowych, a powinni uczyc się na własnych błędach z przeszłości. Tuż po przystąpieniu do II wojny światowej, choć wiedzieli o zagrożeniu ze strony niemieckich U-bootów na Atlantyku, przez wiele miesięcy ich statki handlowe pływały w pobliżu wschodnich wybrzeży USA bez eskorty. W efekcie od stycznia do lipca 1942 roku na amerykańskich wodach Niemcy posłali na dno ponad 450 alianckich jednostek.

Dopiero złamanie w 1943 roku dominacji U-bootów na Atlantyku, na co wpływ miał rozwój sił eskortowych i lotnictwa patrolowego, pozwoliło na wielki przerzut wojsk i sprzętu ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii. Sił tych później użyto do wyzwolenia Europy Zachodniej. I nie sposób nie skonstatować, że gdyby doszło w przyszłości do konfliktu zbrojnego z Rosją, to rola w nim wojsk amerykańskich byłaby również decydująca. Jednak aby tak się stało, ich uzbrojenie i zaopatrzenie musiałyby wcześniej znaleźć się na Starym Kontynencie. ■



MI-29KUB
osiąga prędkość
maks. 2100 km/h.
Udźwig uzbrojenia
podwieszanego
to 5500 kg

ROSJA

Plany na przyszłość

Lotnictwo morskie rosyjskiej marynarki wojennej ma przejść w najbliższych latach gruntowną modernizację.

Moskwa będzie intensywnie modernizować i rozwijać swoje lotnictwo morskie. Poinformował o tym w połowie grudnia 2018 roku jego szef gen. Igor Kożyn. W pierwszym etapie (do 2020 roku) do służby ma wejść ponad 100 nowych maszyn, w tym m.in. śmigłowce pokładowe Ka-52 Katran oraz samoloty bezzałogowe. W planach jest również rozwój pokładowego lotnictwa myśliwskiego (samoloty MiG-29K/KUB – na zdjęciu). W drugim etapie (lata 2021–2030) marynarka ma otrzymać dwa rodzaje nowych śmigłowców:

maszynę bojową oraz wielozadaniową. Do użytku mają wówczas wejść nowe pokładowe samoloty dozorowania radio- i radarowego oraz samoloty bezzałogowe. Etap trzeci (po roku 2030) przewiduje wprowadzenie do służby nowych systemów precyzyjnego rażenia, sprzętu patrolowego i do walki z okrętami podwodnymi. W wyposażeniu mają się także znaleźć wyspecjalizowane śmigłowce przeznaczone do zadań poszukiwawczo-ratowniczych, dysponujące dalekim zasięgiem oraz zdolnością do działania w warunkach arktycznych. RS

SYRIA

ZMIERZCH PAŃSTWA ISLAMSKIEGO

Wraz ze zdobyciem miasta Hadżin we wschodniej Syrii upadł **ostatni bastion** tzw. Państwa Islamskiego w Syrii.



ISLAMIŚCI
zainstalowali
w mieście i jego
okolicach dużą ilość
improvisowanych
ładunków wybuchowych,
co bardzo spowalniało posuwanie
się naprzód wojsk
koalicji.

Po kilkudniowych walkach Syryjskie Siły Demokratyczne (SSD), wspierane przez USA, zdobyły w połowie grudnia 2018 roku Hadżin we wschodniej Syrii. Było to ostatnie w tym kraju miasto zajmowane przez bojowników tzw. Państwa Islamskiego. SSD ruszyły z ofensywą na Hadżin już 10 września, jednak ze względu na trudną sytuację na froncie, zacięty opór dżihadystów, ofensywę udało się zakończyć dopiero w grudniu.

Bezpośredni atak kurdyjsko-arabskich sił SSD na miasto poprzedzały intensywne naloty samolotów koalicji. Po zajęciu Hadżinu przez SSD w rękach ISIS pozostają niewielkie, choć trudno dostępne obszary na pograniczu syryjsko-irackim. SEN

MACEDONIA

O krok bliżej

Na styczeń 2019 roku jest planowane zakończenie prac nad zmianami w macedońskiej konstytucji, co odblokuje drogę do sojuszu. Konieczność zmian wynika z zapisów tzw. porozumienia z Prespy, kończącego długoletni spór z Grecją o nazwę kraju. Efektem ma być formalna jej zmiana z Republika Macedonii na Republika Macedonii Północnej, przy jednoczesnym pozostawieniu nazwy „Macedończyk” w odniesieniu do mieszkańców kraju oraz nazwy języka „macedoński”. Zmiana konstytucji oznacza także zdjęcie greckiego weta w sprawie członkostwa Macedonii (Północnej) w NATO i Unii Europejskiej. SEN

SŁOWACJA

Wielozadaniowy następca

Po długich debatach rząd słowacki podjął decyzję: kupuje samoloty F-16. Maszyny mają być dostarczone w latach 2022–2023.

Rząd Słowacji zawarł z Amerykanami oficjalną umowę w sprawie zakupu samolotów F-16. Stosowne dokumenty podpisali 12 grudnia 2018 roku słowac-

ki minister obrony Peter Gajdoš oraz wiceprezes firmy Lockheed Martin Ana Wugofski. Amerykanie mają dostarczyć Słowakom 14 samolotów F-16 w wersji Block 70/72, w tym 12 maszyn jednomiejscowych oraz dwie dwumiejscowe przeznaczone do szkolenia.

Wartość kontraktu opiewa na kwotę 1,6 mld euro. Pierwsze samoloty zostaną dostarczone w 2022 roku, za cały kontrakt ma być zrealizowany do 2023. RS



**NOWE
MASZYNY
ZASTAPIA
SAMOLOTY
MIG-29**



RAFAŁ CIASTOŃ

E-wojownicy Teheranu?

O tym, że w dobie Internetu i mediów społecznościowych szpiegostwo nabrało nowego wymiaru, zdążyliśmy się już przekonać. Wiele państw wykorzystuje w tym celu zarówno wyspecjalizowane jednostki wojskowe, jak i grupy hakerskie, które po ewentualnym wykryciu ataku trudniej powiązać z mocodawcą. W grudniu dzięki agencji informacyjnej Associated Press otrzymaliśmy przynajmniej częściowe informacje o osobach, czy też kategoriach osób, znajdujących się na liście szpiegowskich priorytetów Teheranu.

Doniesienia agencji AP to wynik analizy raportu londyńskiej grupy Certfa, zajmującej się bezpieczeństwem i poufnością danych w sieci. Dzięki dostępowi do jednego z serwerów spod znaku Charming Kitten, używanych przez hakerów, udało się zidentyfikować listę 77 adresów e-mail, których dotyczyły próby tzw. phishingu, czyli wyłudzenia danych (hasła do kont i sposobów weryfikacji tożsamości użytkownika) poprzez podszywanie się pod zaufane witryny internetowe. I choć metoda ta sama w sobie należy do dość prymitywnych, to jednak całkiem często bywa skuteczna. Użytkownik jest zawsze najłatwiejszym celem w systemie zabezpieczeń i przez prosty błąd, nieuwagę bądź rutynowe zachowanie często ułatwia zadanie hakerowi.

Należy podkreślić, że atak dotyczył prywatnych kont, założonych w domenach Gmail i Yahoo, jednak wybór celów ataku bez wątpienia nie był czysto przypadkowy. Na liście znaleźli się urzędnicy amerykańskiego Departamentu Skarbu odpowiedzialni za wdrażanie sankcji przeciwko Iranowi, zapobieganie praniu pieniędzy i finansowaniu terroryzmu, oraz szeregowi pracownicy tego urzędu, a także przedstawiciel Narodowej Rady Bezpieczeństwa zajmujący się programem nuklearnym czy asystent sekretarza obrony ds. nuklearnych, chemicznych i biologicznych programów obronnych, odpowiedzialny m.in. za nadzór nad amerykańskim arsenałem jądrowym. Fałszywe e-maile trafiły również do pakistańskiego fizyka nuklearnego, pracownika jordańskiego ośrodka badań jądrowych czy przedstawiciela syryjskiej Komisji Energii Atomowej, a ponadto do przedstawicieli kilku amerykańskich spółek sektora zbrojeniowego i pracownika think tanku Enterprise Institute. Wreszcie, co również interesujące, celami byli także irańscy dziennikarze i urzędnicy ministerstwa środowiska.

Charming Kitten są nie od dziś kojarzeni z irańskim rządem, poza tym, pomimo stosowania serwerów proxy i sieci VPN, analitykom Certfy udało się zidentyfikować irański adres IP, z którego korzystali hakerzy. Wyniki dochodzenia dały ciekawy pogląd na obszar zainteresowań Teheranu. Skupienie się na osobach związanych z sankcjami i obronnością USA wydaje się dość oczywiste, ma służyć zapewne zarówno ewentualnemu przyjrzeniu się amerykańskiej polityce od kuchni, jak i szpiegostwu przemysłowemu, a może również szantażowi i pozyskaniu w ten sposób agentury. Branie na celownik ekspertów jądrowych innych państw może być jednak bardziej symptomatyczne. Może bowiem sugerować, że irański program jądrowy rzeczywiście odżywa, a do jego dalszego rozwoju Teheran potrzebuje wiedzy i technologii, które nie są jeszcze w jego posiadaniu. Pozostaje jedynie pytanie, czy jest to przyczyną, czy też skutkiem sankcji. ■

RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

HISTORIA

/ ROZMOWA

POSZLI CI, KTÓRZY POWINNI

*Z Bogusławem Polakiem
o fenomenie ludzi, którzy wywalczyli swój kawałek
ojczyzny, rozmawia Łukasz Zalesiński.*



MICHAŁ NIWICZ



N

azywał się Chen Defu. Był Chińczykiem. Walczył w powstaniu wielkopolskim...

Tak, ze względu na pochodzenie był jedną z najbarwniejszych postaci powstania. Służył w carskiej armii, brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej jako ordynans kpt. Kazimierza Skorotkiewicza, z pochodzenia Polaka. A kiedy

ten dostał się do niewoli, Chen Defu został odesłany w rodzinne strony kapitana – do Warszawy, skąd ostatecznie trafił do wielkopolskiego Barcina. Spolonizował się, przyjął imię Zdzisław, wyuczył się fachu stolarza i założył własny zakład. Działal nawet w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”. Na przełomie 1918 i 1919 roku wspólnie z kolegami z tej organizacji chwycił za broń. Potem walczył jeszcze w wojnie przeciwko bolszewikom, wreszcie w latach trzydziestych ubiegłego stulecia doczekał się polskiego obywatelstwa.

I nie był jedynym obcokrajowcem w powstaniu.

Zgadza się. Do historii przeszedł czarnoskóry jeniec francuski Sam Sandi, który służył potem w wielkopolskim lotnictwie, choć samolotu nie pilotował. Lotnikami byli za to Austriak Wiktor Lang oraz Niemiec Paul Krenz. Ciekawą postacią jest zwłaszcza ten drugi – mieszkał w Wielkopolsce, żył się z polskimi sąsiadami i postanowił walczyć w powstaniu po ich stronie. W latach dwudziestych wyjechał jednak z Polski. Wrócił w 1939 roku – także jako pilot, ale już Luftwaffe. W powstańczych oddziałach służył też Włoch Giovanni Cittadini. Do dziś zachowały się fotografie z jego pogrzebu z uroczystą oprawą. Za trumną prowadzono konia, obecni byli przedstawiciele włoskiej misji wojskowej oraz reprezentanci poszczególnych oddziałów poznańskiego garnizonu. Spore zasługi w powstaniu miała też niejaka pani Sims, Amerykanka, która przyjechała w odwiedziny do męża przetrzymywanego w obozie jenieckim i postanowiła zostać, żeby zorganizować służbę sanitarną w Mogilnie. Po stronie powstańców walczyli Anglicy, Belgowie, trochę Serbów, Holender. W sumie obcokrajowców, którzy przystąpili do zrywu Wielkopolan, było 250–300.

Czy zatem powstanie wielkopolskie obudziło sumienie Europejczyków, tak jak kilkadziesiąt lat wcześniej styczniowe? Wówczas u boku powstańców też walczyli Włosi, Francuzi...



CHEN DEFU spolonizował się, przyjął imię Zdzisław, wyuczył się fachu stolarza i założył własny zakład. Doczekał się polskiego obywatelstwa.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Takie stwierdzenie byłoby zdecydowanie na wyrost. W 1863 roku na ziemi polskie ściągały zorganizowane oddziały. Tutaj byli to jednak pojedynczy ochotnicy, którzy do Wielkopolski najczęściej trafili jako jeńcy pruskiej armii, a teraz uwolnieni przez powstańców przeciwko tej armii występowali. Na pewno nadawali powstaniu kolorytu, ale biorąc pod uwagę ich niewielką liczbę – stanowili margines.

Można jednak odnieść wrażenie, że skoro nawet oni przystępowali do walki, powstanie wielkopolskie było zrywem masowym.

I tu pana rozczaruję – nie było. Kiedy policzyłem Wielkopolan, którzy brali udział w powstańczych walkach. W pierwszej fazie, czyli do połowy stycznia, z bronią w ręku wystąpiło kilkanaście tysięcy Polaków. Ale myślę, że to i tak bardzo dużo. Proszę pamiętać, że dopiero co zakończyła się wojna, i to taka, jakiej w historii świata jeszcze nie było. Pochłonęła miliony ofiar, wiele miast leżało w gruzach, ludzie byli zmęczeni i niepewni jutra. Poza tym alianci jasno mówili: los polskich ziem zaboru pruskiego rozstrzygnie się na drodze negocjacji pokojowych kończących wielką wojnę. Wszelkie działania zbrojne na tym terenie mogły zostać potraktowane jako próba dywersji i ukarane z całą surowością. Dlatego m.in. Wielkopolanom trudno było liczyć na pomoc z zewnątrz. W pierwszych dniach walk przybyli ochotnicy z Pomorza, ale nieliczni. Nawet w samej Wielkopolsce mieliśmy wielu statecznych liderów lokalnych społeczności, którzy zwolennikom powstania mówili: „poczekajcie”. Oni mieli przed oczą-



**ARMIA
WIELKOPOLSKA**
ocaliła nie tylko zdobyte terytorialne w zaborze pruskim, lecz także w dużej mierze polską państwowość.



TO NIE WIZYTA PADEREWSKIEGO ROZJĄSYŁA NIEMCÓW, LECZ BRYTYJSKIE, FRANCUSKIE I AMERYKAŃSKIE FLAGI, KTÓRE POJAWIŁY SIĘ NA ULICACH POZNANIA

mi rok 1914 i Kalisz płonący na skutek ostrzału niemieckiej artylerii. Bali się. Z drugiej jednak strony, kiedy już powstańcy nie wybuchło, oni też włożyli mundury i dzielnie walczyli.

Kim zatem był powstaniec wielkopolski?

Kiedyś mój przyjaciel, poznański pisarz Gerard Górnicki, stwierdził, że: „do powstania poszli ci, którzy powinni”. Trudno o stworzenie jakiegoś spójnego obrazu powstańcy wielkopolskiego, bo przekrój społeczny w oddziałach był bardzo duży. Najliczniej na wezwanie do walki odpowiedzieli przedstawiciele inteligencji: nauczyciele, lekarze, adwokaci, księża, a także ziemianstwo. Mniejszy odzew był wśród kupców i rzemieślników, najmniej zaś wśród robotników i chłopów, choć ich zasług również nie należy w żaden sposób umniejszać. Jeśli bowiem weźmiemy pod uwagę nie procentowe zaangażowanie w obrębie poszczególnych grup społecznych, lecz prześledzimy strukturę samych oddziałów – proporcje się odwróćą. Do powstania szli często ojcowie z synami. Było też dużo młodych ludzi z drużyn skautowych. Tu warto wymienić choćby kompanię Wincentego Wierzejewskiego w Poznaniu, która później stała się zapleczem kadrowym dla 1 Pułku Strzelców Wielkopolskich. Służyła w niej patriotyczna młodzież z różnych warstw społecznych: subieci, wojskowi, czeladnicy, uczniowie szkół średnich, studenci. Blisko 200 osób. Olbrzymi konglomerat.

Jak te pierwsze dni powstania wyglądały pod względem organizacyjnym?

Panowała jeszcze duża dowolność. Kiedy badałem dokumenty, zauważyłem, że często te same nazwiska powtarzają się na listach członków różnych oddziałów. Powstaniec wyruszał do walki z jedną kompanią, ale w pewnym momencie zaczynało brakować żywności czy amunicji, więc wracał do domu. Ale nie rezygnował z walki i kiedy nade-

rzała się okazja, znów wyruszał, tylko z innym oddziałem. Jedne kompanie liczyły 80 ludzi, inne nawet 250. Różnie były one dowodzone.

A wyposażenie? Broń?

Podczas dopiero co zakończonej wojny większość powstańców służyła w pruskiej armii. W powojennym chaosie wielu z nich wróciło do domu z bronią. Sporo wyposażenia pochodziło z magazynów, których Niemcy nie zdążyli przenieść po wojnie w głąb Rzeszy, a część zdobyto w pierwszych dniach walki. Zatem broni osobistej czy karabinów maszynowych powstańcy mieli pod dostatkiem. Gorzej było choćby z artylerią. W okolicach Leszna na przykład powstańcy mieli dwie armaty, które wędrowały od oddziału do oddziału. Powtórzę jednak raz jeszcze: pierwsze dni powstania to w dużym stopniu działania spontaniczne. Zaczęło się to zmieniać za sprawą mjr. Stanisława Taczaka, któremu Naczelna Rada Ludowa, nieformalny wielkopolski rząd, powierzyła dowodzenie walkami. Front podzielono na cztery odcinki: północny, południowo-zachodni, południowy i zachodni. Taczak wyznaczył dowódców, miejsca mobilizacji. Zaczęły powstawać usystematyzowane raporty, a Dowództwo Główne wydawało instrukcje taktyczne – w jaki sposób zajmować miejscowości, jak się w nich zachowywać, jak trzymać linię frontu, jak uporządkować kompanię i dowodzenie nią. 16 stycznia 1919 roku Taczaka zastąpił namaszczony przez Józefa Piłsudskiego gen. broni Józef Dowbor-Muśnicki, który dokończył dzieła poprzednika. Wkrótce Wielkopolska miała już regularną armię, z systemem poboru, która w szczytowym momencie wiosną 1919 roku liczyła 102 tys. żołnierzy, dysponowała lotnictwem, artylerią, miała świetnie działające zaplecze logistyczne. Była w stanie nie tylko utrzymać zdobycze powstania, lecz także pomóc polskiej armii w walkach o granice na wschodzie.



Jakim cudem w ciągu kilkunastu dni luźne oddziały powstańcze zamieniły się w regularną armię?

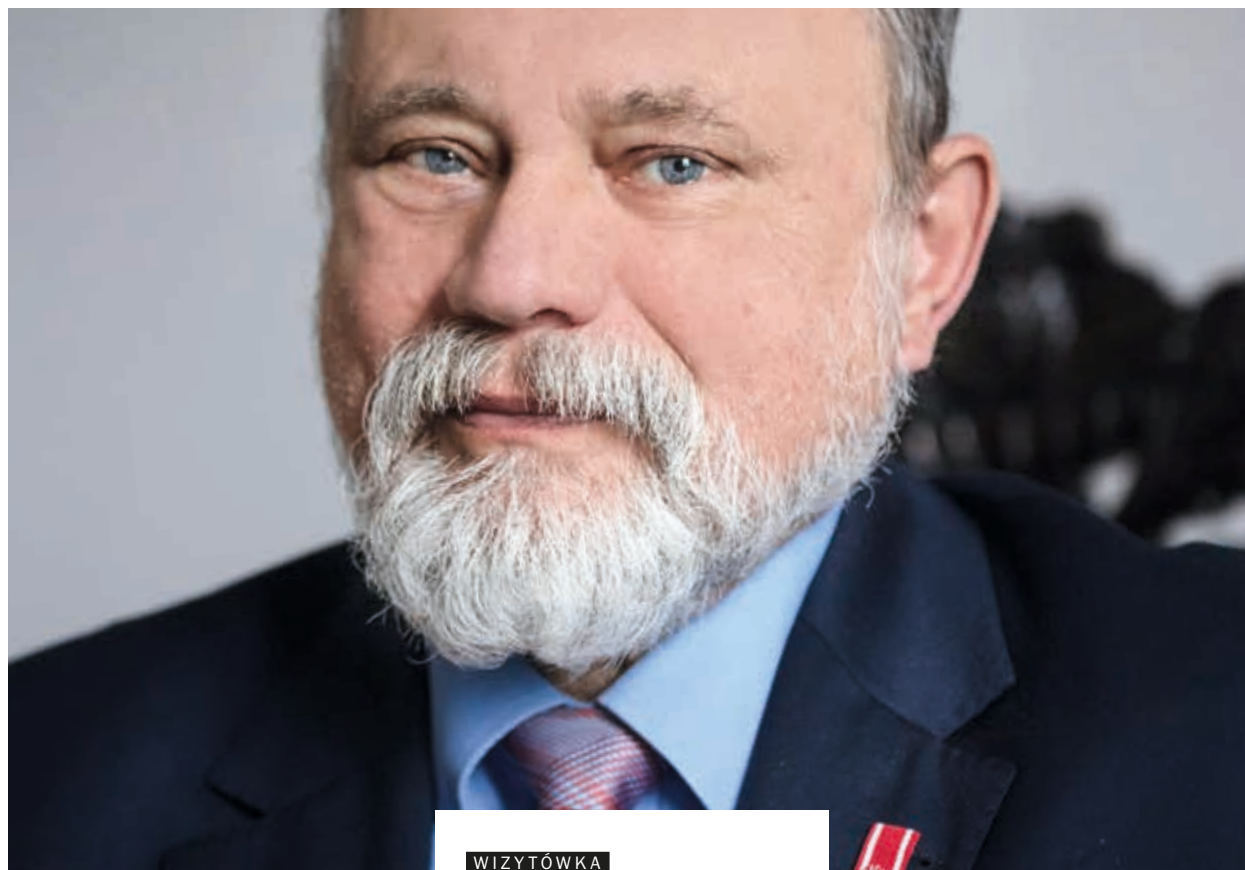
Tak naprawdę to nie był efekt kilkunastu dni. Do walki o niepodległość Wielkopolanie przygotowywali się od pokoleń. Miało to wymiar moralny, ale też czysto praktyczny. W rodzinach pielęgnowano narodową tożsamość, którą dodatkowo wzmacniał Kościół katolicki. Polacy tworzyli własne organizacje, jak choćby Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” czy później drużyny skautowe, ale też przedsiębiorstwa i banki. Bogacili się, bo wychodzili z założenia, że tylko zamożne społeczeństwo będzie w stanie zbudować zręby niezależności. A kiedy po przegranej wojnie targane rewolucją Niemcy popadły w głęboki kryzys, wykorzystali to perfekcyjnie. Polacy zdominowali na przykład Straż Ludową – formację, która miała odpowiadać za porządek w regionie. Na jej czele stanął Julian Lange. Dzięki sprytnemu zabiegowi zdobyli też kontrolę nad Służbą Straży i Bezpieczeństwa, powołaną przez Dowództwo Naczelne Rzeszy, która miała zapewnić ład w poznańskim garnizonie. Najpierw wymogli na wydziale wykonawczym Rad Robotników i Żołnierzy, by skład poszczególnych oddziałów był mieszany, a potem Polaków z niemieckimi nazwiskami i obywatelstwem zaczęli zapisywać do nich jako Niemców. W Wielkopolsce zawiązała się też Polska Organizacja Wojskowa zaboru pruskiego. Na tym nie koniec. Trudna do przecenienia jest rola Sejmu Dzielnicowego, który pomiędzy 3 a 5 grudnia 1918 roku obradował w Poznaniu. Zjechali się na niego Polacy ze wszystkich ziem zaboru pruskiego, a nawet emigranci w Rzeszy – łącznie ponad tysiąc osób. Tam zaczęły się kształtować przyszłe władze.

W momencie wybuchu powstania Wielkopolska miała więc własną mikrostrukturę państwową – z rządem, parlamentem, szkolnictwem, sądownictwem, skarbem, służbami porządkowymi, wkrótce doszła do tego regularna armia. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że wielką rolę w jej tworzeniu mieli oficerowie, którzy przyjechali do Poznania z Dowbozem-Muśnickim. Większość z nich miała za sobą służbę w carskiej armii, a potem I Korpusie Polskim w Rosji. Wielkopolanie ich potrzebowali, ponieważ brakowało im wysokich stopniem oficerów z doświadczeniem. W pruskiej armii Polacy rzadko awansowali tak wysoko. Z reguły kończyli kariery na stopniach poruczników. Tylko kilku – w tym Kazimierz Grudzielski i Kazimierz Raszewski – doszło do stopnia podpułkownika.

W MOMENCIE WYBUCHU POWSTANIA WIELKOPOLSKA MIAŁA WŁASNĄ MIKROSTRUKTURĘ PAŃSTWOWĄ – Z RZĄDEM CZY PARLAMENTEM. WKRÓTCE DOSZŁA DO TEGO REGULARNA ARMIA

Chociaż Wielkopolska była gotowa do walki, samo powstanie wybuchło trochę zaskoczenia, prawda?

Do czynu zbrojnego Wielkopolanie przygotowywali się od dawna, ale nikt nie wyznaczył konkretnej daty. Impulsem stał się przyjazd Ignacego Jana Paderewskiego, choć akurat jego intencje były zupełnie inne. On jechał do Warszawy, gdzie miał objąć wysokie stanowisko premiera i rozładować napiętą sytuację polityczną. Do Poznania wstąpił na zaproszenie Naczelnej Rady Ludowej. Niemcy sprzeciwiali się tej wizycie, ale bardzo poważali Paderewskiego. Był przecież światowej sławy artystą. W słynnym pochodzie pod jego oknami wzięły udział zarówno dzieci polskie, jak i niemieckie. Sam Paderewski wiedział, że znalazł się na terenie obcego państwa. Nie chciał więc dolewać oliwy do ognia. Z okna hotelu Bazar wygłosił bardzo oględne przemówienie, a kiedy już rozpoczęły się walki, przestał pokazywać się publicznie i ostatecznie szybko z Poznania wyjechał. To nie wizyta Paderewskiego tak rozjuszyła Niemców, lecz brytyjskie, francuskie i amerykańskie flagi, które przy tej okazji pojawiły się na ulicach Poznania. Flagi wrogów, z którymi cesarska armia dopiero co przegrała wojnę. 27 grudnia przez miasto przeszły niemieckie bojówki. Uczestnicy pochodu wbiegali do mieszkań i zrywali flagi. Doszło do pobić. Późnym popołudniem w okolicach gmachu Prezydium Policji zgromadziły się uzbrojone oddziały polskie. Przez lata utarło się mówić, że doszło wówczas do szturm.



MICHAŁ NIWICZ

WIZYTÓWKA

PROF. BOGUSŁAW
POLAK

Ale to nieprawda. Do dziś nie wiadomo, kto w ciemnościach, które ogarnęły miasto, jako pierwszy otworzył ogień. Dość, że wywiązała się bezładna strzelanina, podczas której zginął Franciszek Ratajczak – pierwsza ofiara powstania. Polacy wymusili opuszczenie kompleksu przez niemiecką załogę na drodze negocjacji. Potem walki bardzo szybko rozlały się na niemal całą Wielkopolskę. Powstańcy zdobyli pokaźne terytorium, które potem – także dzięki polskim dyplomatom z Komitetu Narodowego Polskiego, któremu przewodził Roman Dmowski – udało się włączyć do odradzającej się Rzeczypospolitej. Mało tego, w jej granicach znalazły się miasta, jak choćby Leszno czy Bydgoszcz, których powstańcom nie udało się zająć.

Mimo wielu szczęśliwych zbiegów okoliczności jednak mieliśmy do czynienia z fenomenem?

Tak, bo dzięki szczęściu, ale też wyczuciu chwili i doskonałej organizacji powstanie wielkopolskie było jednym z nielicznych w historii Polski zwycięskich zrywów. Armia Wielkopolska ocalała nie tylko zdobycze terytorialne w zaborze

pruskim, lecz także w dużej mierze polską państwowość. Z dyplomatycznym wsparciem Francji stanowiła zapórę przeciwko Niemcom, którzy szybko otrząsnęli się z powojennego chaosu i zamierzali wyprowadzić potężne uderzenie na wschód. Na szczęście operacja „Wiosenne słońce” ostatecznie nie doszła do skutku. Wielkopolscy żołnierze walczyli przeciwko Ukraińcom o Lwów, mieli też znaczący udział w pokonaniu bolszewików. W 1939 roku byli obecni w szeregach Armii „Poznań” gen. Tadeusza Kutrzeby, po wojnie zaś w szeregach konspiracji antykomunistycznej, choćby w Wielkopolskiej Samodziel-

nej Grupie Ochotniczej „Warta”. Powstanie zbudowało etos zwycięskiego oręża, stało się ważnym elementem tożsamości Wielkopolan, pamięć o nim przetrwała do dziś. Wystarczy spojrzeć na rozmach kolejnych rocznicowych obchodów, pojawiające się wówczas dekoracje miast, działalność grup rekonstrukcyjnych czy kibiców Lecha Poznań, którzy opiekują się powstańczymi grobami. To swoisty fenomen, który napędza radością. Bo jak powiedział Józef Piłsudski: „Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości”.

Większość Polaków z nadzieją patrzyła na rozpoczynający się rok. Konniunktura gospodarcza w porównaniu z latami wielkiego kryzysu napawała optymizmem, a wojna wydawała się odległym widmem. Wprawdzie wciąż trwała krwawa zawierucha wojenna w Hiszpanii i agresja Japonii na Chiny, ale w tym pierwszym konflikcie górę wzięły wojska gen. Franco, oficjalnie popierane przez polskie władze, a drugim nikt się zbyt nie przejmował. „Express Ilustrowany” podkreślał: „Mamy prawo z zadowoleniem stwierdzić, że rejon, w którym żyjemy u progu 1939 roku, należy w niespokojnym świecie współczesnym do spokojniejszych”. Ten niosący nadzieję komentarz przedrukowało wiele redakcji polskich gazet, łącznie z „Polską Zbrojną” (nr 3). Często sąsiadował on z newsem ogłoszonym 2 stycznia, że człowiekiem roku 1938, według amerykańskiego tygodnika „Time”, został Adolf Hitler.

Rzeczywiście kanclerz Niemiec, odkąd objął rządy w 1933 roku, odnosił polityczne sukcesy w iście amerykańskim stylu. Pod jego kierownictwem Niemcy praktycznie bezboleśnie zerwali z ograniczeniami traktatu wersalskiego, rozbudowali armię i zajęli zdemilitaryzowaną strefę Nadrenii. Ukoronowaniem tych działań był anszlusz Austrii i konferencja monachijska pod koniec września 1938 roku, na której Hitler uzyskał zgodę na zajęcie Sudetów kosztem Czechosłowacji.

ODSLANIAJA KARTY

W związku z zajęciem Sudetów dość paradoksalnie brzmi wiadomość z pierwszego numeru „Polski Zbrojnej” w 1939 roku, że „Mein Kampf” jest ulubioną lekturą Czechów. Być może nasi południowi sąsiedzi z kart książki Führera chcieli wyczytać, co ich czeka po ewentualnym wchłonięciu Czech przez III Rzeszę. Z drugiej strony Hitler ogłaszał wszem i wobec, że jego roszczenia zostały zaspokojone i stawał sobie w pierwszym szeregu

Grozi nam konflikt w wielkim stylu

Tak ciepłego stycznia, jaki rozpoczął nowy, 1939 rok, nie pamiętali najstarsi ludzie. Prawie w całej Polsce panowały dodatnie temperatury. Przesądni wieszczili, że ta anomalia nie wróży nic dobrego.

obrońców pokoju. Zresztą niewiele brakowało, by otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Jego kandydaturę 27 stycznia 1939 roku wysunął szwedzki parlamentarzysta Erik Brandt, motywując, że Hitler rok wcześniej uratował pokój w Europie (ostatecznie nagrody w 1939 roku nie przyznano).

Wszyscy, którzy spotykali się na początku stycznia z Führerem, podkreślali, że tryskał humorem. Nie inaczej by-

ło 5 stycznia 1939 roku, kiedy w alpejskiej rezydencji w Berchtesgaden witał polskiego ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. To pełne życzliwości i kurtuazji spotkanie było jednak tylko przygrywką do żądań, które następnego dnia Beck usłyszał od swego niemieckiego odpowiednika, Joachima von Ribbentropa. Minister przyjął Becka w monachijskim hotelu Cztery Pory Roku i powtórzył propozycje składane

Min. Beck w Obersalzberg złożył wizytę kanclerzowi Hitlerowi

MONACHIUM, 5.1. — W drodze powrotnej do Polski minister spraw zagranicznych Józef Beck przybył w dniu 5 bm. o godz. 15 do Berchtesgaden i złożył wizytę kanclerzowi Hitlerowi w Obersalzberg. W otoczeniu min. Becka znajdowali się ambasador polski w Berlinie Lipski i dyrektor gabinetu ministra M. Lubieński.

Kanclerz Hitler powitał min. Becka u wejścia do swej rezydencji Berghof. Warta przyboczna kanclerza oddała przybywającemu min. Beckowi honory.

Po powitaniu kanclerz Hitler w towarzystwie min. Becka udał

się do gabinetu na rozmowę, w której ponadto ze strony niemieckiej wzięli udział min. spr. zagranicznych Rzeszy von Ribbentrop i ambasador niemiecki w Warszawie von Moltke, ze strony polskiej zaś ambasador w Berlinie Lipski i dyr. M. Lubieński.

O godz. 19 15 min. Beck wraz z towarzyszącymi mu osobami opuścił Berchtesgaden udając się do Monachium.

Dzień 6 bm. min. Beck spędził w Monachium, gdzie spotka się ponownie z ministrem spraw zagranicznych Rzeszy von Ribbentropem.

WYCIANKI PRASOWE POCHODZĄ Z „POLSKI ZBROJNEJ” ZE STYCZNIA 1939 ROKU.

Mein Kampf ulubiona lektura Czechów

PRAGA, 31.12. — Według statystyki największym popytem cieszyła się w ostatnich czasach na rynku księgarskim w Pradze książka Hitlera „Mein Kampf”. Charakterystycznym zjawiskiem jest fakt, że również w księgarniach żydowskich umieszczano książkę na widocznym miejscu.



KOMENTARZ

DARIUSZ FABISZ

polskim władzom już jesienią poprzedniego roku. Mianowicie do Rzeszy miał powrócić Gdańsk, ustanowiony w 1919 roku wolnym miastem pod nadzorem Ligi Narodów, a przez „polski korytarz”, który oddzielał Prusy Wschodnie od reszty Rzeszy, wybudowano by eksterytorialną autostradę i linię kolejową. Ponadto Polska przystąpiłaby do paktu antykominternowskiego. W zamian moglibyśmy liczyć na przedłużenie na kolejne 25 lat układu z Niemcami o niestosowaniu przemocy i na terytoria na wschodzie po ewentualnym konflikcie ze Związkiem Sowieckim. Józef Beck odrzucił te propozycje, bowiem zdawał sobie sprawę, że uczyniłoby to z Polski państwo buforowe, całkowicie zależne od III Rzeszy.

Po powrocie do Warszawy Beck ostrzegł prezydenta Ignacego Mościckiego i marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego, że „grozi nam konflikt w wielkim stylu”. Widmo wojny nagle stało się całkiem wyraźne. Nic w tej mierze nie zmieniła rewizyta Ribbentropa w Warszawie 25–27 stycznia 1939 roku. Niemieckiego ministra spraw zagranicznych podejmowano równie życzliwie, jak polskiego w Monachium. Pierwszego dnia wizyty Józef Beck zaprosił delegację niemiecką na uroczysty obiad, a 26 stycznia Ribbentrop był goszczony u prezydenta Mościckiego. Tego dnia spotkał się również z marszałkiem Rydzem-Śmigłym i złożył wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza oraz cmentarzu żołnierzy niemieckich poległych w I wojnie światowej. Po tych uroczystościach podjął obiadem ministra Becka i prowadził z nim obrady plenarne w gmachu Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ribbentrop po-

tworzył wszystkie swe postulaty i podkreślił: „Morze Czarne, to też morze”. 27 stycznia, w czasie spotkania pożegnального, Beck miał powiedzieć do Ribbentropa: „Niech pan nie będzie przypadkiem optymistą, relacjonując kanclerzowi to, co pan usłyszał w sprawie Gdańska i autostrady. Wprowadziłby go pan w błąd. Jeśli pan będzie wracał do rozmów o tych sprawach, nie



biorąc pod uwagę naszych argumentów i naszego stanowiska, to idziemy ku groźnym komplikacjom”. W tym momencie w niemieckich planach Polska przestała być potencjalnym sojusznikiem Niemiec i stała się państwem przeznaczonym do podboju.

SZCZĘK ŻELAZA

Gdy Ribbentrop konferował z Beckiem w Warszawie, 26 stycznia wojska frankistowskie zdobyły Barcelonę i rozpoczęły pościg za uciekającymi oddziałami republikańskimi. Kończył się konflikt, który był poligonem doświadczalnym dla dwóch totalitarnych mocarstw – III Rzeszy i Związku Sowieckiego. Niespokojnie robiło się też bliżej Polski – u jej południowych granic znowu rozpałał się konflikt między Węgrami, Rumunami, ludnością ukraińską, Słowakami a Czechami. Prasa nie-

Początek nowego, 1939 roku wydawał się bardzo istotny, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę międzynarodowe echa styczniowych spotkań ministra Becka z Hitlerem i Ribbentropem. Ponieważ wynik rozmów w Berchtesgaden wydawał się optymistyczny, skończyły się pogłoski o rychłej dymisji szefa polskiego MSZ. Politycy europejscy odnosili wrażenie, a może nawet wierzyli w to, iż powstało (bliżej nieokreślone) porozumienie polsko-niemieckie. Optymistą był również sam Józef Beck, który opuścił Niemcy najprawdopodobniej przekonany, że w najbliższym czasie nie dojdzie do wydarzeń będących preludium do ostatecznego zerwania stosunków pomiędzy Polską a III Rzeszą. O tym, że rozmowy polsko-niemieckie nic w praktyce nie dały, oczywiście nie wiedzano i miano się o tym przekonać już wkrótce.

Dr DARIUSZ FABISZ jest adiunktem w Instytucie Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego, członkiem Światowej Rady Badań nad Polonią, Instytutu Józefa Piłsudskiego i Polskiego Towarzystwa Historycznego.

miecka tę „podjazdową wojnę” nazwała „opukiwaniem polskiego frontu”. „Polska Zbrojna” i inne polskie gazety coraz częściej pisały – czy przedrukowywały analizy czasopism zachodnich – o nowinkach technicznych w armii niemieckiej. A Adolf Hitler nadał zapewnień, że jest „nieustającym orędownikiem pokoju w Europie” i coraz wyraźniej spozierał w stronę „najbardziej pokojowego państwa na świecie”, za jaki uważał się Związek Sowiecki Józefa Stalina. PK



U.S. ARMY

STRACIEŃCÓW

Inspiracją dla scenarzystów znakomitego filmu wojennego „Parszywa dwunastka” była historia prawdziwej jednostki, którą współtworzyła grupa Polaków.

ROBERT SENDEK

Parszywa dwunastka” Roberta Aldricha z 1967 roku należy do klasyki filmów wojennych. Choć od pojawienia się tej produkcji na afiszach minęło już ponad pół wieku, nadal jest ceniona przez miłośników kina militarnego ze względu na wartką, trzymającą w napięciu akcję, wyrazistych bohaterów i doskonałe, skrzące się czarnym humorem dialogi. Historia dzieje się pod koniec II wojny światowej. Mjr John Reisman (w tej roli Lee Marvin) dostaje zadanie utworzenia bardzo nietypowej jednostki, sformowanej z przestępców skazanych na śmierć lub wieloletnie wyroki więzienia. Z tych ludzi ma powstać karny i dobrze przygotowany oddział, który podejmie się niezwykle trudnego zadania: żołnierze przerzuceni na niemieckie tyły mają dotrzeć do centrum dowódczego wroga i zabić tylu oficerów, ilu się da. Tym ze straceńców, którzy się wykażą i przeżyją eskapadę, zostaną darowane wyroki.

Ta historia to nie tylko filmowa fikcja. Fabuła jest inspirowana rzeczywistymi wydarzeniami z czasów II wojny światowej. Dzieje prawdziwego oddziału, który posłużył za wzór dla scenarzystów, mogą być interesujące zwłaszcza dla polskich czytelników, choćby z tego względu, że swoją rolę w prawdziwej historii odegrała grupa naszych rodaków.

BRUDNA PIĄTKA

Scenariusz „Parszywej dwunastki” został oparty na opublikowanej w 1965 roku powieści Erwina M. Nathansona pod tym samym tytułem. Punktem wyjścia dla autora oraz scenarzystów filmowych była historia amerykańskiego oddziału spadochroniarzy, zwanego Brudną Trzynastką, który wziął udział w lądowaniu w Normandii. Przy czym dość luźno potraktowali oni dzieje prawdziwej jednostki z czasów II wojny światowej. Przede wszystkim żaden z trzynastu żołnierzy nie był skazańcem.

Pochodzenie osobliwej nazwy wyjaśnił w spisanych po latach wspomnieniach jeden z członków oddziału, a później także jej dowódca, Jake McNiece. Według niego nazwa ta powstała na przełomie 1942 i 1943 roku, gdy żołnierze, stanowiący załóżkę grupy, odbywali przygotowanie wojskowe w bazie Toccoa w stanie Georgia. Trwało tam wówczas szkolenie 506 Pułku Piechoty Spadochronowej, wchodzącego w skład amerykańskiej 101 Dywizji Powietrznodesantowej. Żołnierzy zakwaterowano w pięcioosobowych namiotach bez podłogi. Warunki były, jak wspominał McNiece,

czysto polowe, w dodatku rok był wyjątkowo deszczowy, więc żołnierze, mimo starań, mieli problem z zachowaniem czystości. Nic więc dziwnego, że wkrótce koledzy z tego namiotu sami siebie nazwali „brudną piątką”.

Razem z McNiece’em zakwaterowany był wówczas, mający polskie korzenie Martin „Max” Majewski. Dzięki niemu „brudasy” poznały grupę amerykańskich Polaków, którzy odbywali ćwiczenia w tej samej bazie. McNiece pisał o nich z ogromną sympatią: „W naszym plutonie dywersyjnym pojawiła się kolejna grupa chłopaków zwana »warszawską siódmką«. Większość z nich była Polakami i mówiła płynnie po polsku, chociaż wszyscy urodzili się w Ameryce. Wszyscy oni kumpłowali się ze sobą i byli całkiem konkretną paczką gości, z którymi dało się dogadać. Przyjęli mnie jako jednego ze swoich”. Ten moment zbratania zapamiętał również jeden z Polaków, Frank Palys, który wspominał: „Zrobiliśmy z Jake’a honorowego Polaka. Próbowaliśmy go nauczyć parę słów po polsku, ale że to był Indianin z Oklahomy i marnie nam szło, więc daliśmy sobie z tym spokój”. Swoją drogą ten czas tak mocno zapadł w pamięć McNiece’owi, że kiedy spisywał swe wspomnienia po 60 latach, pamiętał jeszcze, że jadł wówczas najlepszą w życiu polską kielbasę, którą dostawał od kolegów w zamian za puszki sardynek, przysyłane mu w paczkach przez rodzinę.

Według McNiece’a do „warszawskiej siódmki” należeli:

Eddy Malas, Edmund Lojko, Francis Palys „Frank”, George Baran, Joe Baranosky, Joe Oparowski i Joseph Oleskiewicz „Joe”. Byli to młodzi mężczyźni, z rodzin polskich emigrantów mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Całą tę polską grupę McNiece opisuje słowami: „Większość z nich to były naprawdę bystre chłopaki”.

**„WYSKOCZYŁEM
Z SAMOŁOTU
Z DWUDZIESTOMA
LUDŹMI, WRÓCIŁEM
Z DWOMA”**

DO BITKI I DO WYPITKI

W ten sposób powstał załóżek grupy, który dał nazwę całemu oddziałowi: tworzyła go „brudna piątką” wraz z „warszawską siódmką”. Trzynastym członkiem był niejaki Salinas, o którym McNiece wspomina jedynie mimochodem, choć to właśnie z nim zespół osiągnął swą pierwotną wielkość. Nazwa „brudna trzynastka” tak mocno przylgnęła do tego oddziału, że używano jej także w późniejszym czasie, choć zmieniał się skład jednostki, a nawet jej liczebność. W tym pierwotnym, oryginalnym składzie Polacy stanowili większość, gdyż było ich ośmiu („warszawska siódmka” i Max



SKORZY BYLI I DO BITKI, I DO WYPITKI, CO KOŃCZYŁO SIĘ KŁOPOTAMI DYSCYPLINARNYMI

Dowódca oddziału Jake McNiece ze swoimi żołnierzami w Normandii

Majewski). Tymczasem stan osobowy Pierwszego Oddziału Dywersyjnego (First Demolition Section), jak oryginalnie nazywała się jednostka, na skutek rozmaitych okoliczności nieustannie się zmieniał. McNiece podkreśla w swych wspomnieniach, że dość często w oddziale pojawiali się ludzie wykazujący się co prawda samodzielnością i operatywnością, ale mający jednocześnie problemy z niesubordynacją i niezbyt stosujący się do regulaminów i przepisów. Skorzy byli za to i do bitki, i do wypitki, co kończyło się kłopotami dyscyplinarnymi. Mieli też dość luźny stosunek do higieny: podobno rzadko się golili, a po przekwaterowaniu do Anglii, przypadające im racje wody przeznaczali na gotowanie nielegalnie upolowanej zwierzyny. Nawiasem mówiąc, ten właśnie wątek, dotyczący higieny, znalazł odbicie również w filmie Aldricha.

„Bрудna trzynastka” osiągnęła gotowość operacyjną wiosną 1944 roku. Oddział zrzucono na spadochronach w północnej Francji 5 czerwca 1944 roku, w przeddzień inwazji aliantów w Normandii. Zachowało się trochę materiałów dokumentalnych wykonanych przez amerykańskich reporterów wojskowych, przedstawiających go tuż przed odlotem na misję. To najsłynniejsze zdjęcia oddziału ze względu na osobliwy wygląd żołnierzy. Otóż McNiece, w którego żyłach płynęła indiańska krew, namówił kolegów do tego, by zastosowali dawny zwyczaj indiańskich wojowników ruszających do walki i ogolili głowy, zostawiając na czubku pasek włosów, tzw. irokeza. Oprócz tego wszyscy palcami namalowali sobie na twarzach barwy wojenne, korzystając z farb, którymi wymalowano na samolotach tzw. pasy inwazyjne.

Podczas operacji w Normandii jednostka poniosła duże straty. W trakcie walk zginął także ówczesny dowódca oddziału, Charles Mellen. McNiece, który został jego następcą, podsumował to tak: „Wyskoczyłem z samolotu z 20 ludźmi, wróciłem z dwoma”.

Losy żołnierzy z „warszawskiej siódemki” potoczyły się różnie. Nie wszyscy uczestniczyli razem z McNiece’em w lądowaniu w Normandii. Jeszcze podczas ćwiczeń w Stanach Zjednoczonych przypadkowo śmierć poniósł Joe Oparowski, do innych jednostek zostali przeniesieni Lojko, Baran i Palys. W operacji, jako członek „brudnej trzynastki”, wziął natomiast udział Joseph Oleskiewicz „Joe”, któremu McNiece poświęcił w swych wspomnieniach wiele ciepłych słów. Wspominał go tak: „Kiedy przyszedł do jednostki, miał 17 lat. To był jeszcze dzieciak, ale za to najlepszy żołnierz w całej paczce. Miał dryg do wojaczki”. Oleskiewicz przeżył Normandię. Jesienią 1944 roku wziął udział w operacji „Market Garden” wraz z innymi ludźmi z „brudnej trzynastki”, lecz miał mniej szczęścia od McNiece’a: zginął podczas walk w Holandii 10 października 1944 roku.

KAWAŁ CHŁOPA, DOBRY ŻOŁNIERZ

W walkach w Normandii wziął udział również George Baran, który został ciężko ranny. Mężczyzna pochodził z polskiej rodziny mieszkającej w miasteczku Adams w stanie Massachusetts. Do dziś niemal jedna trzecia tamtejszych mieszkańców deklaruje polskie pochodzenie. McNiece tak opisuje Barana: „To był górnik, kawał chłopa. Miał w sobie wiele odwagi i był dobrym żołnierzem. Należał do »warszawskiej siódemki«, ale nie został z nami”. Wzmianka o tym, czym Baran zajmował się w cywilu, tworzy ciekawą paralelę z filmem „Parszywa dwunastka”, ponieważ Joseph Władysław, czyli Polak grany przez Charlesa Bronsona, na ekranie również jest górnikiem, w dodatku pochodzącym ze Śląska. Baran, Lojko oraz pozostali żołnierze z „warszawskiej siódemki” przeżyli wojnę: Palys wrócił do Chicago i pracował w hutnictwie, Majewski dorobił się majątku w Kalifornii jako budowlaniec. ■

Knajpiani sojusznicy



HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Brunon Jankowski (drugi z prawej) po ucieczce z przeciwniejszego oddziału Luftwaffe dołączył do 3 Dywizji Strzelców Karpackich.

ARCH. RODZINY JANKOWSKICH

*Pod znakiem zielonej choinki
na biało-czerwonym tle* służyli Polacy
z czterech stron świata i z bagażem doświadczeń
wszystkich frontów II wojny światowej.

Brunona Jankowskiego wcielono do Luftwaffe na Pomorzu i wywieziono, by walczył pod Monte Cassino. Kiedy wreszcie znalazł się wśród swoich, poczuł się jak w domu. Był doświadczonym frontowym żołnierzem, więc wojaczka i żołnierska służba nie miały dla niego tajemnic. Szybko też odkrył, jakie zwyczaje panują w armii sprzymierzonych, słowem – kto z kim trzyma na przepustkach i w „czasie wolnym od wojny”. Polacy najbardziej lubili się z Australijczykami i Amerykanami, do Nowozelandczyków i Hindusów też nie mieli. Najgorzej dogadywało im się

z Anglikami, w czym nie byli wyjątkiem w alianckiej „wieży Babel”.

Brunon Jankowski wspomina: „Na jednej z przepustek trochę z kolegami zapiliśmy i spóźniliśmy się na autobus jadący do naszego obozu. Czekало nas parę dobrych kilometrów marszu, ale zobaczyliśmy, że pod jednym z włoskich lokali stoi jeep i siedzi w nim kierowca – Amerykanin. Podeszliśmy i uprzejmie zapytaliśmy, czy nie mógłby nas podrzucić. Odpowiedział, że nie może, bo czeka na oficera, który popija w knajpie. Nie odpuszczaliśmy, więc żołnierz wreszcie wyszedł z samochodu i poszedł poprosić swego dowódcę.

Z lokalu wrócili obaj. Amerykański oficer zapytał:

– Polacy, na pewno nie Anglicy?
– Skąd! My Polacy – odpowiedzieliśmy jednym chórem.

– Jeśli Polacy, to jedziemy, bo z Anglikami nawet bym nie rozmawiał”.

Synowie Albionu musieli mocno dać się we znaki temu oficerowi, a może kulturował rodzinne tradycje sięgające wojny o niepodległość? Tego nie wiadomo, ale do Polaków miał sentyment – dzięki Kościuszce, Pułaskiemu i... ich mocnym głowom. Knajpiane sojusze były na tyłach frontu równie ważne, jeśli nie ważniejsze niż te oficjalne, polityczne. PK ■

Bratanki w polskiej armii

Dla Polaków koniec I wojny światowej był jutrzeńką wolności, dla Węgrów wręcz przeciwnie. Niektórzy oficerowie byłej już c.k. armii ratowali się przed chaosem w swej ojczyźnie, wstępując do odrodzonego Wojska Polskiego.

PIOTR KORCZYŃSKI

Węgry z czasem stały się dla młodego państwa polskiego prawdziwą ostoją, zwłaszcza w jej zmaganiach z bolszewicką Rosją. Gdyby nie dostawy węgierskiej amunicji w 1920 roku, Polacy mogliby nie wytrzymać naporu wojsk Tuchaczewskiego... W odróżnieniu od państw zachodnich, Węgrzy w pełni doświadczyli, choć na szczęście krótko, komunistycznych rządów w 1919 roku i zdawali sobie sprawę z tego, jak istotna jest dla nich i Europy wojna polsko-bolszewicka.

ZACZEŁO SIĘ WE WŁOSZCZOWIE

Większość węgierskich ochotników w polskiej armii z tychże powodów okazała się ofiarnymi i dzielnymi żołnierzami. Należał do nich m.in. hrabia Antal (Antoni) Somssich (1880–1958) – podpułkownik Wojska Polskiego w latach 1919–1932.

Ten przedstawiciel arystokratycznego rodu węgierskiego z Grazu, w dniu wybuchu wielkiej wojny służył, jak wszyscy jego przodkowie, w 9 Pułku Huzarów Austro-Węgier Grafa Nádasdy'ego. Po krótkim pobycie na froncie południowo-wschodnim w Mitrowicy młody porucznik wraz ze swym pułkiem został wysłany na front wschodni przeciwko wojskom rosyjskim. Pułk wszedł w skład 10 Dywizji Kawalerii, a por. Somssich wziął wraz ze swym plutonem udział w bitwach pod Tomaszowem Lubelskim, Uchniowem, Tarnoszyńcem, Rawą Ruską, Żółkwią, Jaworowem, Potokiem i Horyńcem. Ten bogaty szlak bojowy 4 października 1914 roku przerwała nagle choroba. Porucznika odesłano na zaplecze i odkomenderowano do kompanii rezerwowej, którą dowodził do 25 lutego 1915 roku. W marcu Somssich objął dowództwo nad kompanią huzarów, z którą walczył na froncie serbskim do lipca. Następnie w składzie 62 Dywizji Piechoty bił się na froncie włoskim.





PO ZAJĘCIU WĘGIER przez Armię Czerwoną w 1945 roku hrabia Somssich nie uniknął represji ze strony komunistów.

pewną datą w jego życiorysie jest dopiero 21 marca 1919 roku, kiedy to opuścił swoją ojczyznę i wstąpił do Wojska Polskiego.

W PUŁKU KAWALERII

Centralne Archiwum Wojskowe ma w swoich zasobach podanie Somssicha do Ministerstwa Spraw Wojskowych: „Powody, które mnie skłaniają [do wstąpienia do Wojska Polskiego – P.K.]: wielka sympatia do Polski i do Polaków. W państwie polskim mam dużo znajomych i przyjaciół. Moim najgorętszym pragnieniem jest pracować z całych sił dla dobra Polski”. Poniżej widnieje krótka adnotacja gen. Kazimierza Sosnkowskiego z 14 kwietnia 1919 roku: „Przyjąć”. Bezsprzecznie węgierski oficer miał tutaj na myśli przyjaźnie i kontakty, które nawiązał w czasie swej służby we Włoszczowie. Paradoksalnie dłuższy pobyt na tyłach i służba w intendenturze uratowały hrabiego przed nieuchronnymi represjami w Węgierskiej Republice Rad.

Somssicha przyjęto oficjalnie do Wojska Polskiego 4 maja 1919 roku, a na początku czerwca otrzymał przydział do 10 Pułku Ułanów Litewskich na stanowisko drugiego oficera w 1 szwadronie w Nowogródku. W lipcu objął dowództwo nad 4 szwadronem, a we wrześniu został pomocnikiem dowódcy pułku. Ten 11 lutego 1920 roku wyznaczył Somssicha na „pomocnika dowódcy pułku – dział gospodarczy”.

Pułk, do którego trafił węgierski hrabia, formalnie powstał 30 grudnia 1918 roku. Wówczas to przemianowano 12 Pułk Ułanów Dywizji Litewsko-Białoruskiej na 10 Pułk Ułanów Litewskich.



ANTALA SOMSSICHA przyjęto oficjalnie do Wojska Polskiego 4 maja 1919 roku, a na początku czerwca otrzymał przydział do 10 Pułku Ułanów Litewskich.

Pod koniec października 1915 roku ten zaprawiony już w bojach oficer huzarów został nagle skierowany rozkazem komendy zaopatrzenia intendentury c.k. armii do Kreiskommando we Włoszczowie. Tutaj objął służbę zgodną z kierunkiem swoich studiów – referenta rolnictwa. Poza pierwszą linią frontu był do marca 1917 roku, kiedy to został komendantem wydzielonego oddziału żandarmerii polowej przy XV Korpusie Armii imperium osmańskiego. W ostatnim roku wojny pełnił funkcję oficera wywiadowczego w Rosji – w Kijowie, Moskwie i Orszy. Niestety, w dokumentach nie ma nic na temat szczegółów tej misji.

Nie wiadomo też, co Somssich dokładnie robił w czasie rewolucyjnej zawieruchy na Węgrzech od jesieni 1918 do wiosny 1919 roku. Kolejną





Antal Somssich swoją postawą na polu walki zyskał sobie przychylność polskich towarzyszy broni. Na zdjęciu polscy żołnierze w okopach, 1919 rok

Do lata 1919 roku poszczególne szwadrony pułku walczyły na kresach w ramach 2 Brygady Jazdy. Dopiero we wrześniu tegoż roku cały pułk został ześrodkowany w Chołopieniczach i do końca wojny polsko-bolszewickiej walczył w składzie 2 Brygady Jazdy.

Antal Somssich zyskał sobie wówczas przychylność polskich towarzyszy broni. Wprawdzie jego dowódca, płk Walerian Jachimowicz, zaznaczał w opinii za okres od 25 maja do 1 grudnia 1920 roku, że Węgier ma „trudności z powodu słabej znajomości języka”, ale jednocześnie dodał, że „nadaje się na wyższe stanowisko w służbie gospodarczej”. Za udział w walkach otrzymał awans na podpułkownika i Krzyż Walecznych IV klasy. Szef Sztabu Generalnego gen. Władysław Sikorski we wniosku odznaczeniowym z 27 czerwca 1922 roku podkreślał: „Ppłk Somssich położył wielkie zasługi przy organizacji Armii Polskiej. Odznaczył się szczególnie na froncie przy zajęciu wsi Prudniki”.

Jednak węgierski oficer w czasie wojny dostał znacznie ważniejszą misję niż bezpośrednia walka z bolszewikami. W lipcu 1920 roku został skierowany na dwa miesiące do dyspozycji Departamentu IV Ministerstwa Spraw Wojskowych „dla zakupu koni na Węgrach”. Na początku sierpnia był już w Budapeszcie z listami upoważniającymi go do „zakupu koni dla Wojska Polskiego”. Ponadto przywiózł list gen. Kazimierza Sosnkowskiego do kierownictwa węgierskiego Ministerstwa Spraw Wojskowych. Nie jest dokładnie znana liczba koni, jaką udało się kupić Somssichowi

JEGO POSIADŁOŚĆ LEŻAŁA OKOŁO 40 KM OD GRANICY Z JUGOSŁAWIĄ, CO DLA TAK ZWANYCH TURYSTÓW SIKORSKIEGO OKAZYWAŁO SIĘ NIEZWYKLE SZCZĘŚLIWĄ OKOLICZNOŚCIĄ

dla polskiej kawalerii, ale z pewnością list gen. Sosnkowskiego miał pozytywny wydźwięk wśród węgierskich polityków i dowódców. Świadczą o tym wspomniane dostawy amunicji do Polski.

NIE ZAPOMNIAŁ O POLSCE

W 1930 roku ppłk Somssich wrócił na Węgry. Wraz z żoną Margit Kendeffy de Malmovíz i synem Imre osiadł w majątku Ormádpusztá, gdzie gospodarował na roli. Kiedy w 1939 roku na Węgry zaczęli przedzierać się po przegranej kampanii 1939 roku polscy żołnierze, hrabia

Somssich czynnie włączył się w akcję przerzucania ich do Francji. Jego posiadłość leżała około 40 km od granicy z Jugosławią, co dla ewakuujących się Polaków okazywało się niezwykle pomyślną okolicznością. Tak zwani turyści Sikorskiego w majątku hrabiego znajdowali dogodną przystań przed dalszą drogą, prowadzącą prosto w szeregi Armii Polskiej we Francji.

Po zajęciu Węgier przez Armię Czerwoną w 1945 roku hrabia Somssich nie uniknął już represji ze strony komunistów. Jako arystokrata i posiadacz ziemski został zesłany do obozu pracy. W 1953 roku pozwolono mu wrócić w rodzinne strony. Do śmierci pracował jako monter linii elektrycznej i podkuwacz koni. I to właśnie w czasie wykonywania tej ostatniej pracy jeden z koni uderzył hrabiego w głowę. W wyniku odniesionej rany ppłk Antal Somssich zmarł 10 listopada 1958 roku – w przeddzień święta swej przybranej ojczyzny. ■

Siedmioosobowy oddział zwiadowczo-dywersyjny, korzystający z cywilnych środków transportu, przekrada się na terytorium okupowane przez nieprzyjaciela. Dzięki pomocy okolicznych mieszkańców zdobywa odpowiednie informacje i rusza do pobliskiej miejscowości, aby zaatakować stacjonujący tam oddział wroga. Siły nieprzyjaciela okazują się jednak zbyt liczne, więc dowódca patrolu rozkazuje się ukryć i prowadzić tylko obserwację, bez kontaktu ogniowego...

Ta relacja przypomina opis działań współczesnych specjalsów, ale tak naprawdę odnosi się do czasów znacznie wcześniejszych niż rajdy pierwszych brytyjskich komandosów, na dodatek wydarzeń mających miejsce w Polsce.

BRYCZKA NA AKCJE

W sierpniu 1914 roku wojna między zaborcami staje się faktem, a w Galicji rodzi się Wojsko Polskie. Józef Piłsudski szykuje wejście swoich żołnierzy w granice Kongresówki, aby tam wznieśli antyrosyjskie powstanie. Nie chce jednak wysyłać niedoświadczonych ludzi w nieznaną, dlatego zanim wyruszą, kieruje tam zwiada.

Do tego zadania zostaje wyznaczony młody, zdolny oficer Związku Strzeleckiego, Władysław Prażmowski „Belina”, a towarzyszyć mu mają Janusz Głuchowski „Janusz”, Antoni Jabłoński „Zdzisław”, Zygmunt Karwacki „Bończa”, Stefan Kulesza „Hanka”, Stanisław Skotnicki „Grzmot” oraz Ludwik Skrzyński „Kmicic”. Dostają bardzo mało czasu do namysłu i na planowanie, zaledwie cztery godziny, ale i tak decydują się prawie natychmiast. W końcu są ułanami, nawet jeśli jeszcze nie mają własnych koni...

Nocą z 2 na 3 sierpnia siódemka „Beliny” bryczką i wypożyczoną dorożką wyjeżdża z Krakowa. Żołnierze mają na sobie cywilne ubrania, ale w bagażach wiozą mundury, broń, materiały wybuchowe (jak się potem okazuje, bezużyteczne wskutek awarii zapalników), a także nielegalne druki. Po przekroczeniu granicy zaboru rosyjskiego odsyłają dorożkę i natychmiast przystępują do wykonania zadania.

Mają przeprowadzić rozpoznanie w kierunku na Miechów, rozbić punkt

mobilizacyjny w Jędrzejowie, zdobyć wierzchowce i wrócić na nich do Krakowa już jako pełnoprawni kawalerzyści. Przemieszczają się ostrożnie, jeszcze w ubraniach cywilnych. Zapewne nie chcieli, aby spełniła się ponura wróżba, jaką na pożegnanie usłyszeli od Piłsudskiego (lub Kazimierza Sosnkowskiego): „Choć będziecie wisieć, ale za to spełnicie pięknie swój obowiązek żołnierski i historia o was nie zapomni”.

Nad ranem 3 sierpnia siedmiu ułanów dociera do miejscowości Goszyce, gdzie zatrzymują się w domu znajomej Karwackiego, Zofii Zawiszaneki, działaczki niepodległościowej i konspiratorki legionowej. Tam przebierają się w mundury, wykonują też słynną pamiątkową fotografię, o której w późniejszych latach złośliwi powiedzą, że stanowiła główny cel wypadu. Gospodyni ostrzega ich przed rozstawionymi przez Rosjan posterunkami, więc postanawiają unikać głównych szlaków i wędrować przełajami. Najprawdopodobniej znów przebierają się w cywilne ubrania. Według relacji „Beliny”, mundury wkładają, gdy kierują się na Jędrzejów, aby rozbić tamtejszy punkt mobilizacyjny.

Tymczasem dowiadują się o skutkach kampanii dezinformacyjnej, którą przeprowadzili. Rozpuszczali bowiem plotki o zbliżaniu się dużych polskich sił, co doprowadziło do rejerady tamtejszych carskich żołnierzy. Postanawiają zatem podawać się za zwiad trzech polskich batalionów. Przy okazji dowiadują się, że atak propagandowy przeprowadziła także strona rosyjska, rozpuszczając plotki o okrucieństwach i grabieżach, których miały się dopuszczać siły polskie. Dlatego ludność początkowo nieufnie odnosi się do beliniaków. Co jednak zmienia się z czasem, gdy członkowie patrolu nie rabują żywności, lecz oferują zapłatę za otrzymywany prowiant.

BUSZUJĄCY WE MGLE

Unieszkodliwienie punktu mobilizacyjnego w Jędrzejowie zasadniczo stanowi osiągnięcie czysto militarnego celu wypadu. Młodzi żołnierze, którzy nie oddali jeszcze żadnego strzału, są jednak głodni walki i postanawiają kontynuować misję. Udają się w drogę powrotną inną trasą, aby dalej prowadzić dywersję. Ruszają do miejscowości Słomniki,

MACIEJ NOWAK-KREYER

Komandosi odrodzonej Polski

Historia straży przedniej Józefa Piłsudskiego już w dwudziestolecie międzywojennym stała się legendą.



„Belina” miał przeprowadzić w Kongresówce rozpoznanie.



Władysławowi
Prażmowskiemu
„Belinie”, towarzy-
szyli: Janusz
Głuchowski „Janusz”,
Antoni Jabłoński
„Zdzisław”, Zygmunt
Karwacki „Bończa”,
Stefan Kulesza
„Hanka”, Stanisław
Skotnicki „Grzmot”,
Ludwik Skrzyński
„Kmicic”.

Legiony
polskie:
Pierwszy
patrol
strzelecki.



Bończa,

Kmicic,

Grzmot,

Belina,
Hanka.

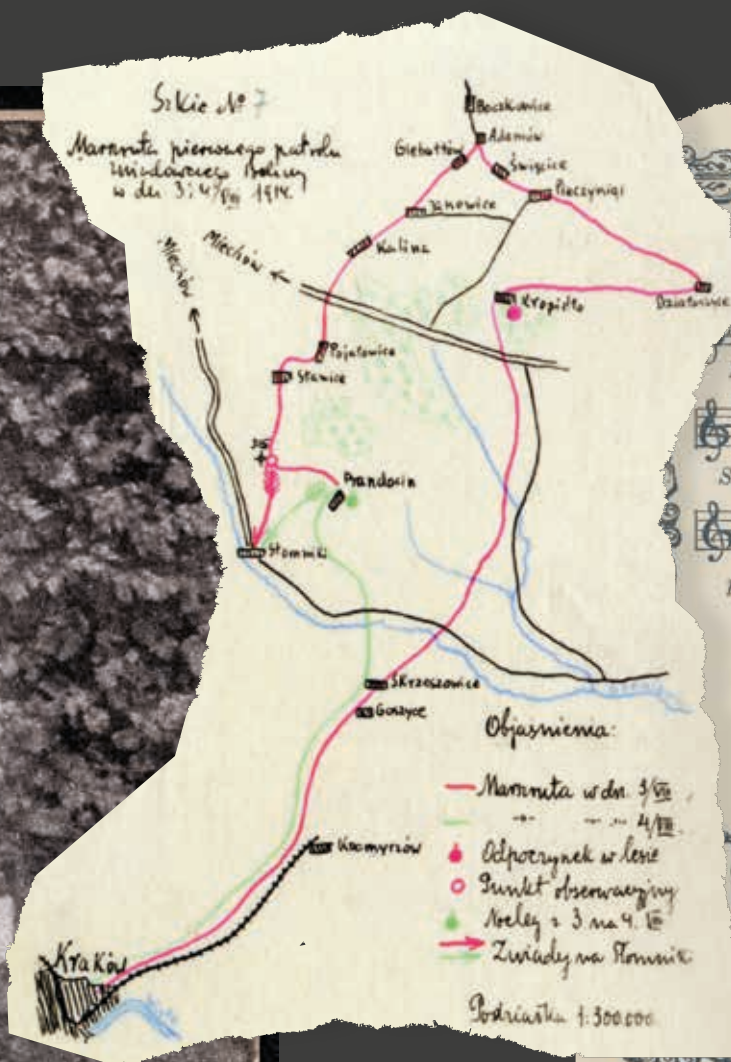
Janusz,

Zdzisław,

żeby zaatakować stacjonujących tam carskich pograniczników. Okazuje się jednak, że Rosjan jest znacznie więcej niż zakładali, cała kompania. Członkowie oddziału postanawiają więc ukryć się na noc w zbożu i tam poczekać na ich odmarsz.

Gdy niebezpieczeństwo mija, przekradają się w stronę Prandocina. Niedaleko miejscowości, w gęstej mgle dostrzegają rosyjską kawalerię. Sądzą, że to niewielki oddział, z bagnetami na broni ruszają więc im na spotkanie. Okazuje się, że Rosjan jest tyłu, że bez trudu są w stanie roznieść siódmkę „Beliny”. „Komandosom” dopisuje jednak szczęście. Rosjanie z powodu mgły nie mogą ocenić sytuacji. Zaniepokojeni pogłoskami o polskiej inwazji uznają oddział „Beliny” za znacznie liczniejszy i wycofują się w kierunku Skalbmierza. Według pięknej legendy, rozpowszechnianej

**CHOCIAŻ „BELINA”
JEST OJCEM
KAWALERII II RP,
KARIERĘ ZROBIŁ
JAKO PREZYDENT
KRAKOWA I WOJE-
-WODA LWOWSKI**



O SIÓDEMCE „BELINY” ŚPIE- WANO NAWET PIOSENKI.

Piosnki o Belinie
I o jego sławie —
Wyjm Belino swą szabelkę,
Prowadź ku Warszawie! Prowadź ku
Warszawie!

Brak naszym ulanom
Lanc i chorągiewek,
Ale zato mają szczęście
Do sarmackich dziewczek, do sarmackich
dziewek.

Ody Moskale ujrzą
Ulańskie rabaty
Uciekają strachem zdjęci
Moskiewskie psułaty, moskiewskie
psułaty.

Hej tam pod Warszawą
Modra Wiśła płynie,
Szemrzą fale, fale szemrzą
Piosnki o Belinie, piosnki o Belinie.

Piosnki o Belinie
I jego ulanach —
Brzmij piosenko, ty ulańska,
Siej postrach w tyranach! siej postrach
w tyranach!



SIÓDEMKA „BELINY” miała przeprowadzić rozpozna-
nie w kierunku na Miechów, utworzyć punkt mobili-
zacyjny w Jędrzejowie, zdobyć konie i wrócić na nich
do Krakowa.

w II Rzeczypospolitej, w Prandocinie polskich
żołnierzy błogosławi miejscowy proboszcz
Wiadrowski, weteran powstania styczniowego.

Tymczasem Prażmowski uznaje w końcu cele
wojskowe zwiady za osiągnięte, i to z wielkim
sukcesem, chociaż nadal nie oddano przy tym
ani jednego strzału (co zresztą dzisiaj stanowi
ideał tego rodzaju działań). W drodze powrotnej
do Krakowa beliniacy zatrzymują się jeszcze
w majątku Skrzyszowice, gdzie od Bogusława
Kleszczyńskiego dostają pięć koni. 6 sierpnia sió-
demka „Beliny” ponownie przekracza granicę, te-
raz już jawnie, konno i w mundurach, wraz
z Kompanią Kadrową, jako pierwszy oddział ka-
walerii odradzającego się Wojska Polskiego.

Chociaż „Belina” jest ojcem kawalerii II Rze-
czypospolitej Polskiej, karierę zrobił w admini-
stracji jako prezydent Krakowa, a później wojewo-
da lwowski. Zmarł w 1938 roku na atak serca.
„Bończa”, który podczas patrolu narzekał na brak
strzelaniny, zginął pod Kostiuchnowką w 1916
roku, „Zdzisław” zaś poległ w czasie wojny polsko-
bolszewickiej.

„Grzmot”, już jako generał Wojska Polskiego,
został śmiertelnie ranny w 1939 roku, kiedy nad
Bzurą próbował osobiście wyprowadzić swoich
żołnierzy z niemieckiego okrążenia. Pozostali
umarli po II wojnie światowej, na emigracji,
czczeni przez spadkobierców II Rzeczypospolitej,
skazani na zapomnienie w Polsce Ludowej. ■

W XIX wieku monarchia duńska stoczyła z przeżywającym odrodzenie żywiołem niemieckim dwie wojny o Szlezwik. Pierwsza (zwana w Danii Treårskrigen, czyli wojną trzyletnią) miała miejsce w latach 1848–1851, a w jej wyniku utrzymano status quo, co było pyrrusowym zwycięstwem Skandynawów. Druga wojna o Szlezwik (Slesvigske Krig) w 1864 roku zakończyła się całkowitą klęską Duńczyków. Późniejszy z wymienionych konfliktów i danina krwi zapłacona w czasie jego trwania przez relatywnie niewielki naród (w 1860 roku było to około 2,6 mln osób, łącznie z mieszkańcami dwóch księstw niemieckich) zdeterminowały na wiele dekad politykę Kopenhagi. To właśnie wdrukowana w społeczną świadomość trauma roku 1864, wynikająca z poniesionych strat ludzkich oraz materialnych, a także gorycz małego narodu porzuconego przez potencjalnych sojuszników stały

za decyzją, by inwazji niemieckiej w 1940 roku przeciwstawić się jedynie w symboliczny sposób. Bez przyswojenia tych faktów nasza percepcja duńskiej historii, w tym jej militarnego wymiaru, będzie bardzo ułomna.

DWA NACJONALIZMY

Wyjaśnienie genezy wojen duńsko-niemieckich (bo tak je trzeba chyba nazwać, pamiętając, że określenie „niemiecki” odnosi się tu do pewnej wspólnoty kulturowej, nie zaś do konkretnego państwa) na poziomie najogólniejszym jest stosunkowo proste. W XIX wieku, epoce kształtowania się nowoczesnych narodów europejskich, doszło do zderzenia na pograniczu dwóch wzrastających nacjonalizmów: duńskiego i niemieckiego. Jeśli jednak zejdziemy na poziom szczegółów, sprawy zaczną się gmatwać w sposób niebywały. Brytyjski premier Palmerston, odnosząc się do tej kwestii, użył słyn-

KRZYSZTOF KUBIAK

Wdrukowana w społeczną świadomość trauma roku 1864, a także gorycz małego narodu porzuconego przez potencjalnych sojuszników stały za decyzją, by inwazji niemieckiej w 1940 roku przeciwstawić się jedynie w symboliczny sposób.

OSTATNIA BITWA DUŃCZYKÓW

nej frazy: „[...] sprawa Szlezewiku jest tak skomplikowana, że tylko trzy osoby ją zrozumiały. Pierwsza to książę Albert, ale on już umarł. Druga to pewien profesor niemiecki, ale ten dostał pomieszczenia zmysłów. Trzecią jestem ja, ale znowu wszystko zapomniałem”. W istocie Szlezwik i Holsztyn były dwoma księstwami pogranicznymi należącymi historycznie do Rzeszy Niemieckiej, a od 1815 roku do Związku Niemieckiego (na którego czele, według postanowień kongresu wiedeńskiego, stała Austria). Obydwa księstwa od kilku stuleci były połączone unią personalną z Danią, jednakże z gwarantowaną autonomią – były osobnymi podmiotami politycznymi. Próba ich unifikacji doprowadziła do pierwszej wojny o Szlezwik, która w istocie niczego nie rozstrzygnęła. W skandynawskiej monarchii przewagę zdobyła wówczas koncepcja sprowadzająca się do hasła „Dania do Ejdery” (Ejdery to rzeka w północnych Niemczech o długości 188 km, rozpoczynająca bieg w pobliżu Bordesholmu i uchodząca do Morza Północnego, historyczna granica między Danią a Świętym Cesarstwem Rzymskim). Oznaczało to w praktyce rozdzielenie obu księstw i włączenie Szlezewiku do Danii.

W listopadzie 1863 roku król Chrystian IX (następca zmarłego krótko wcześniej Fryderyka VIII) podpisał ustawę zasadniczą, której postanowienia obejmowały zarówno Danię „właściwą”, jak i niemieckie księstwo. Wywołało to olbrzymie wzburzenie w Niemczech – błyskawicznie pojawił się postulat interwencji zbrojnej przeciwko Danii. Był to dosko-

nały pretekst dla Prus, zmierzających do dominacji w Związku Niemieckim.

Stojąca na czele Związku Austria znalazła się w arcytrudnej sytuacji. Nie miała żadnego politycznego interesu w wojnie z Danią, ale nie mogła zachować bierności i jednocześnie utrzymać roli hegemonu oraz opiekuna niemieckich państw. Odmowa interwencji oznaczałaby automatyczne oddanie pola pruskiemu rywalowi. W takiej sytuacji doszło do wojny koalicji austriacko-pruskiej z Danią.

REZERWIŚCI NARODOWOŚCI NIEMIECKIEJ ZE SZLEZWIKU I HOLSZTYNA MASOWO UCHYLALI SIĘ OD SŁUŻBY

DYPLOMATYCZNE FIASKO

Duńczycy wystawili około 43 tys. nieźle, jak na ówczesny standard, wyposażonych żołnierzy, dysponujących setką armat polowych. Docelowego stanu 60 tys. nie udało się jednak osiągnąć, ponieważ rezerwiści narodowości niemieckiej ze Szlezewiku i Holsztyna masowo uchylali się od służby. Brakowało też wyszkolonych oficerów, a fortyfikacje stałe, ze względu na długoletnie oszczędności, były przestarzałe i zaniedbane. Siły polowe zorganizowane zostały w trzy dywizje piechoty, dywizję kawalerii oraz odwodowe: dwa pułki piechoty, cztery baterie artylerii i kompanię pionierów. Dowodził nimi gen. por. Christian de Meza (1792–1865). Koalicjanci niemieccy wystawili następujące siły: Prusy – 39 tys. żołnierzy i 110 dział polowych, Austria – 23 tys. żołnierzy i 48 dział polowych (później kontyngent wzmocniono o około 8 tys. żołnierzy i 64 ciężkie działa oblężnicze). Wsparcie kontyngentami po 6 tys. żołnierzy zaoferowały ponadto Hanower →



Fragment obrazu przedstawiający bitwę o Dybbøl autorstwa Vilhelma Jacoba Rosenstanda, 1894 rok



Emblemat
z ładownicy
pruskiego piechura.
Pod orłem napis
„Za Boga, króla
i ojczyznę”

Żołnierze
duńscy
z 1864 roku
na stanowiskach
bojowych



Zestaw narzędzi
chirurga
wojskowego

Duńskie
granaty
12-funtowy
i 4-funtowy



Duńska 36-funtowa armata forteczna wz. 1834

i Saksonia.
Dowódcą naczelnym został pruski marszałek polny Friedrich von Wrangel (1784–1877).

Duński plan, przyjęty ze względów politycznych, zakładał obronę linii Dannevirke (fortyfikacja sięgająca korzeniami jeszcze czasów wikingów), broniącej dostępu do Jutlandii. Miała ona polegać na zamknięciu przesmyku między Schlei (wąska zatoka Morza Bałtyckiego wcinająca się na około 40 km w głąb lądu, aż po miasto Szlezwik) a środkowym biegiem rzeki Treene, do której przylegały od strony południowej rozległe bagna. Woj-

na rozpoczęła się 1 lutego wkroczeniem sił niemieckich do Szlezwiku. Gen. de Meza nie miał dostatecznej liczby żołnierzy do obsadzenia Dannevirke i po pierwszych potyczkach wycofał swoje siły do ufortyfikowanych pozycji skrzydłowych w okolicach miejscowości Fredericia i Dybbøl (niem. Düppel). W drugim z wymienionych rejonów umocnionych rozegrała się decydująca bitwa tej wojny.

W tym miejscu należy podkreślić, że Dybbøl nie był twierdzą w klasycznym rozumieniu tego słowa. Duńczyków nie było stać na wznoszenie stałych umocnień, w związku z tym powstała tam stosunkowo płytka linia powiązanych ze sobą

WIATRAK WZNO- SZĄCY SIĘ NAD POLEM BITWY W DYBBØL JEST JEDNYM Z SYM- BOLI DUŃSKIEGO PATRIOTYZMU



ogniem ziemno-drewnianych fortów artyleryjskich. Kiedy 7 lutego po trudnym zimowym odwrocie dotarły tam oddziały duńskie, prace nad umocnieniem fortyfikacji jeszcze trwały. Żołnierze wykańczali je już w styczności z nieprzyjacielem. Na stanowiskach ogniowych rozmieszczono około 100 armat fortecznych wspartych następnie artylerią polową wycofujących się oddziałów.

PRZEGRANY BÓJ

Wojska pruskie nadciągnęły pod Dybbøl 17 marca 1864 roku. Następnego dnia rozpoczęło się regularne oblężenie. Prusacy nie rwali się do szturm, zwłaszcza że trwały negocjacje dyplomatyczne, w których toku państwa trzecie usiłowały prowadzić mediację. Berlin i Wiedeń różniły się też co do tego, jak daleko w głąb Jutlandii powinny się posunąć siły koalicyjne –

Prusy dopuszczały zajęcie całego półwyspu, Austria wykazywała się większą wstrzeźliwością. W tym czasie w rejonie duńskich fortyfikacji trwała zażarta walka artyleryjska. Prusacy rozmieścili na stanowiskach ogniowych 126 dział, koncentrując ogień na czterech fortach lewego skrzydła przeciwnika.

18 kwietnia wojska pruskie rozpoczęły regularny szturm, korzystając z aproszy wykopanych przez saperów. Najpierw Duńczycy chcieli wspierać obrońców ogniem monitora wieżowego „Rolf Krake”, ale został on uszkodzony przez haubice i zmuszony do wycofania (przebity został bardzo słabo chroniony pokład). Bój piechoty był niezwykle zażarty, obrońcy kontratakowali, ale po kilku godzinach zmuszeni zostali do odwrotu ku miasteczku Sønderborg i dalej na wyspę Alsén (Als). Bitwa była przegrana. Straty duńskiego garnizonu, liczącego 4804 żołnierzy, wyniosły 808 zabitych, 909 rannych, 2 872 wziętych do niewoli, 215 zaginionych. Pozostałe siły zostały zablokowane przez przeciwnika na wyspie Alsén. Straty po stronie pruskiej wyniosły około 1200 żołnierzy, z czego 269 zostało zabitych, a reszta to ranni.

Kłęska przetrąciła kręgosłup duńskiej armii. Leżąca dalej na północ forteca Fredericia została ewakuowana między 28 a 29 kwietnia. W tej sytuacji duński sukces taktyczny odniesiony na morzu pod Rugią (17 marca 1864 roku) i pod Helgolandem (9 maja 1864 roku) nie miał już istotnego znaczenia, gdyż Jutlandia stała otworem przed wojskami koalicji, a kolejne próby przerwania ich marszu podejmowane przez stronę duńską kończyły się niepowodzeniem. 14 lipca, po przerwie w działaniach będącej wynikiem rozejmu, wojska pruskie doszły do Skagen (skrajny północny cypel Jutlandii). W tym samym czasie (20 kwietnia) w Londynie trwała konferencja międzynarodowa, której celem było doprowadzenie do pokoju. Ostatecznie 1 sierpnia podpisano preliminarza pokojowe, a 30 października traktat w Wiedniu. Na jego mocy Dania traciła oba księstwa oraz należące do niej enklawy w północnej Jutlandii. Oznaczało to dla skandynawskiej monarchii utratę 40% terytorium i 1 mln poddanych.

MIEJSCE NARODOWEJ TROSKI

Większość spornych obszarów Szlezewiku wróciła do Danii w wyniku przeprowadzonego po wielkiej wojnie, w 1920 roku, plebiscytu. Wtedy to podjęto oficjalne wysiłki ukierunkowane na stworzenie w rejonie Dybbøl miejsca pamięci, choć już wcześniej, pod władzą Niemców, ludność duńska obchodziła 18 kwietnia jako Dzień Dybbøl, poświęcony pamięci poległych. Pole bitwy stało się miejscem narodowej troski, a wznośzący się nad nim wiatrak stał się jednym z symboli duńskiego patriotyzmu. Odbýwały się tam manifestacje patriotyczne i przysięgi żołnierskie – te ostatnie do dziś są organizowane w tym miejscu, a od dekady w uroczystościach uczestniczą również żołnierze niemieccy. W 1992 roku na polu bitwy uruchomiono centrum historyczne ulokowane w budynku zaprojektowanym przez Michaela Freddiego i Ernsta Lohsego. W 2007 roku udostępniono zwiedzającym ekspozycję plenerową obejmującą zrekonstruowany fragment jednego z fortów, fosę, palisady i inne dzieła ziemne. ■

KRZYSZTOF KUBIAK

STRYJA NIE OPUSZCZAŁO SZCZĘŚCIE. TRZEBA TEŻ PRZYZNAĆ, ŻE MIAŁ NIESAMOWITY INSTYNYKT I HART DUCHA



ARCHIWUM PIOTRA PYRKA

Kiedy zdradzi najlepszy przyjaciel

*Z Piotrem Pyrkiem, bratankiem
Franciszka Pyrka „Józka”,
o bezpardonowej walce żołnierza 16 Pułku Piechoty AK
„Barbara” rozmawia Piotr Korczyński.*



Osiemnastoletnią Irenę Pyrek zamordował gestapowiec, kiedy odmówiła wydania ukrywającego się męża Franciszka. To zdjęcie pochodzi z okresu ich narzeczeństwa. Od lewej: Irena Szczerba, Franciszek Pyrek i jedna z ciotek Ireny.

Pański stryj, kpr. Franciszek Pyrek „Józko” spektakularnie rozpoczął konspiracyjną służbę, bo od dostarczenia broni do getta.

Getto w Zakliczynie było punktem przejściowym, do którego zwożono Żydów z całej Małopolski. Niektórych następnie wywieziono do Tarnowa, a innych bezpośrednio do Auschwitz. W Zakliczynie została tylko garstka, m.in. członkowie Judenratu. Wśród przetrzymywanych w getcie znalazł się były wojskowy. Nie wiem, czy był on znajomym stryja, który miał za sobą służbę w 2 Pułku Lotniczym z Krakowa. W każdym razie stryj dla niego przesmuglował do getta pistolet. Ten mężczyzna postanowił stamtąd uciec. Getto w Zakliczynie stanowiła jedna ulica zamknięta z obu stron bramami. Za częścią stojących frontem do niej budynków była pusta przestrzeń, dalej płynął Dunajec. W dniu likwidacji getta z jednego z tych domów nagle wyskoczył ten żydowski znajomy stryja i, mimo ostrzału esesmanów, zdołał dobiec do rzeki i wskoczyć w jej nurt. Czy wtedy pomógł mu pistolet od stryja, trudno powiedzieć.

Od tego momentu zaczyna się tragiczna historia pana stryja...

Niestety, gestapo szybko się dowiedziało, że uciekinier miał broń od stryja, i od tego momentu zaczęło się prześladowanie naszej rodziny. Wszyscy wtedy uważali, że żydowski znajomy został schwytany i w wyniku tortur wydał stryja, ale okazało się to nieprawdą. Tutaj trzeba zaznaczyć, że ta historia z pistoletem zdarzyła się jeszcze przed przystąpieniem stryja do konspiracji. Dopiero później wstąpił on do Armii Krajowej, w której został kpr. „Józkiem”. To, że nie został od razu aresztowany przez gestapo, zawdzięcza komendantowi policji granatowej z Zakliczyna o nazwisku Jeliczko, który współpracował z AK. Ostrzegł on mojego dziadka, który był w okolicy znanym kowalem, żeby jego syn nie pokazywał się w domu, bo poszukuje go gestapo. Stryj posłuchał i zaczął się ukrywać, ale często zachodził do domu i trafiać chciał, że właśnie w takim dniu przed kuźnię dziadka w Łusławicach zajęły samochody gestapo. Franciszek nie zdążył uciec, ale razem z Niemcami przyjechał komendant Jeliczko. W kuźni zawsze pracowało czterech, pięciu pomocników albo uczniów chcących zostać kowalami. Stryj stał między nimi. Jeliczko podszedł wtedy do niego i udając, że nie wie, kim jest, zapytał: „Gdzie jest Franek?”. Stryj od razu załapał fortel i odpowiedział: „Poszedł do Łuki z krową do byka”. Rzeczywiście godzinę



wcześniej był u tego gospodarza z krową. Gestapowcy błyskawicznie wsiedli do samochodów i pojechali pod wskazany przez policjanta adres. Pan Łuka potwierdził, że Franek był, ale jakieś pół godziny temu już poszedł. Zanim Niemcy wrócili, stryj zdążył się ukryć w zaroślach nad Dunajcem. Dzięki komendantowi Jeliczce ocalał wtedy życie.

Gestapo jednak mu nie odpuściło...

Zaczął się regularne nachodzenie domu dziadków. I były to coraz groźniejsze wizyty. W czasie jednego z najść pobili dziadka i babcię do krwi. Wtedy w domu był mój tata, Stanisław, który we wrześniu 1939 służył w marynarce wojennej i walczył na ORP „Gryf” [rozmowa ze Stanisławem Pyrkim w PZ 6/2018, „Pokład spływał krwią, a my strzelaliśmy dalej”]. Po kampanii dostał się do niemieckiej niewoli, z której po pewnym czasie został zwolniony i wrócił do domu. Znał trochę niemiecki, więc próbował się z tymi gestapowcami porozumieć. Oni zdziwili się, że umie mówić w ich języku i kiedy usłyszeli, że ma za sobą służbę w marynarce, przestali katować rodziców. Zapowiedzieli jednak, że jeśli brat się nie zgłosi, bezwzględnie zginą wszyscy, a dom zostanie spalony.

Jak dziadkowie wybrnęli z tej sytuacji?

Oni zdawali sobie sprawę, że zgłoszenie się syna na gestapo równa się wyrokowi śmierci. Mój ojciec wymyślił wtedy fortel. Poszedł do gestapo do Zakliczyna i powiedział, że Franek wczoraj pojawił się w domu, zabrał ojcu wszystkie pieniądze i naubliżał rodzicom. Podkreślił też, że mu zupełnie na rodzinie nie zależy... To oczywiście była nieprawda, ale ojciec był tak przekonujący, że Niemcy w to uwierzyli. Nawet stryj po wojnie miał do ojca pretensje, że aż takiego potwora z niego zrobił. Gestapowcy nie spełnili swoich gróźb wobec dziadków i reszty rodziny, ale nie zaprzestali nachodzić naszego domu.

Z pościgu też pewnie nie zrezygnowali?

Stryja jednak nie opuszczają szczęście. Trzeba też przyznać, że on miał niesamowity instynkt i hart ducha. W latach 1942–1943, zanim nie sformował się oddział partyzancki, w którym stryjowi nie straszne już było gestapo, wciąż musiał się ukrywać. Zapamiętałem m.in. taką historię. Stryj w czasie żniw pomagał jednemu z gospodarzy w omłotach i po pracy pozwolono mu przenocować w stodołę. Niestety, ktoś doniósł na niego na gestapo. On



Kuźnia Pyrków w Lusławicach w czasie wojny była punktem kontaktowym dla miejscowej AK. Drugi z lewej stoi Franciszek Pyrek „Józko”.

spął na wysokiej przymie ułożonej ze snopków zboża pod samym dachem. Ze ściany oderwał dwie deski, żeby w razie czego mieć ułatwioną ucieczkę. Nad ranem obudził go jakiś szmer. Okazało się, że stodoła jest otoczona przez gestapo i granatową policję. Niemcy już kłuli bagnetami słomę. Stryj miał przy sobie dwa granaty i pistolet, ale postanowił ich nie używać. Skoczył ze stogu, prosto na plecy granatowego policjanta. Ogluszył go i szybko na czworakach wydostał się z tej stodoły – dosłownie uciekł między świszczącymi kulami. Gdyby nie mgła, obława mogła go bez trudu ustrzelić. Sto metrów dalej była rzeka, do której stryj wskoczył, ale nie uciekł daleko, tylko ukrył się w jamie pod jej brzegiem. Niemcy konno przejeżdżali rzekę wzdłuż i wszerz, i go nie znaleźli. Zresztą był to wypróbowany sposób stryja w takich sytuacjach, żeby w miarę możliwości nie uciekać daleko. W czasie jednego z pościgów wdrapał się na drzewo, a Niemcy wokół niego krążyli.

Ale gestapo zmieniło taktykę i uderzyło w osobę drogą kpr. „Józkowi”.

BATALION STRYJA CZĘSTO DZIAŁAŁ W REJONIE BIECZA I GORLIC, GDZIE NISZCZYŁ TORY KO- LEJOWE, KTÓRYMI NIEMCY WOZILI ZA- OPATRZENIE NA FRONT WSCHODNI

Po kilkunastu nieudanych próbach schwytania stryja gestapo aresztowało 12 sierpnia 1943 roku jego żonę, osiemnastoletnią wtedy Irenę z domu Szczurba, która była w siódmym miesiącu ciąży. Ze stryjem poznali się już w czasie wojny, w 1940 roku, a związek małżeński zawarli 15 sierpnia 1942 roku. Kiedy „Józka” zaczęło szukać gestapo, Irena mieszkała przez cały czas w jego domu rodzinnym w Lusławicach. Została aresztowana niemal w przeddzień pierwszej rocznicy ślubu. Niemcy pobili ją i wtrącili do aresztu Sądu Grodzkiego w Zakliczynie. Stryj planował wywieźć żonę z Lusławic, ale spóźnił się o kilka godzin. Był też przygotowany na ewentualną walkę z Niemcami – towarzyszyli mu dwaj uzbrojeni koledzy. Niestety, po wywiezieniu Ireny do Zakliczyna niewiele już mogli zrobić. W więzieniu ciocia była nadal poddawana brutalnemu śledztwu. W czasie odwiedzin rodzina namawiała ją nawet, żeby wyrzekła się przed Niemcami męża i w ten sposób ratowała siebie oraz nie narodzone dziecko. Ona jednak nie chciała się na to zgodzić...

Zresztą naprawdę nie wiedziała, gdzie stryj się ukrywa. W trakcie jednego ze śledztw, kiedy już nie wytrzymała katowania, musiała przyznać, że mąż może przebywać u swojego brata Leopolda mieszkającego w Brzesku. Gestapowcy natychmiast ją wywieźli do samochodu i pojechali pod wskazany adres. Stryja Leopolda i jego żonę zastali w mieszkaniu, ale Franka nie znaleźli. Zaczęli katować domowników, ale ci nic nie wiedzieli o poszukiwanym krewnym. Powiedzieli tylko, że owszem, Franek był u nich, ale jakieś dwa miesiące temu i więcej go nie widzieli. Wtedy gestapowcy stwierdzili, że Irena musiała ich tutaj celowo sprowadzić, żeby odciągnąć od prawdziwej kryjówki męża. Jeden z nich podbiegł do cioci i krzyknął: „Gówniario, ty nie będziesz wodzić nas za nos!”. Chwycił ją za ramię i wyprowadził za budynek gospodarczy. Tam wyciągnął pistolet i strzelił cioci dwa razy w głowę, a następnie dwa razy w pierś. Sąsiadka, która obserwowała tę scenę z ukrycia, powiedziała później, że jeszcze przez około 15 minut dziecko podrygiwało w martwej już matce, aż w końcu się udusiło.

Czy ktoś poniósł odpowiedzialność za ten mord?

Gestapowiec, który ją zamordował, nazywał się Wilhelm Heinrich Rommelmann. Po wojnie został schwytany i w 1947 roku skazany przez sąd w Tarnowie na śmierć przez powieszenie. Temu przedwojennemu niemieckiemu policjantowi udowodniono 50 zabójstw Polaków, Romów i Żydów na tym terenie. On w gestapo był funkcjonariuszem od tzw. akcji specjalnych. Nadzorował m.in. likwidację zakliczyńskiego getta. Mój tata i stryj Franciszek byli obecni na procesie. Wtedy podeszła do nich żona Żyda, któremu stryj przesmuglował do getta pi-

stolet. Okazało się, że Niemcy nie schwytali go w czasie ucieczki, a po wojnie został wysokim funkcjonariuszem UB na Śląsku. Jego żona powiedziała stryjowi: „Zdradził pana najlepszy przyjaciel i człowiek wykształcony”. Od razu wiedział, o kogo chodzi. Na wsi nie było wtedy wielu wykształconych ludzi, a to kryterium spełniał przyjaciel stryja – miejscowy ziemianin. Okazał się nałogowym hazardzistą, który być może za długi karciane wydał najlepszemu przyjacielowi na pewną śmierć.

A jak stryj dowiedział się o śmierci żony?

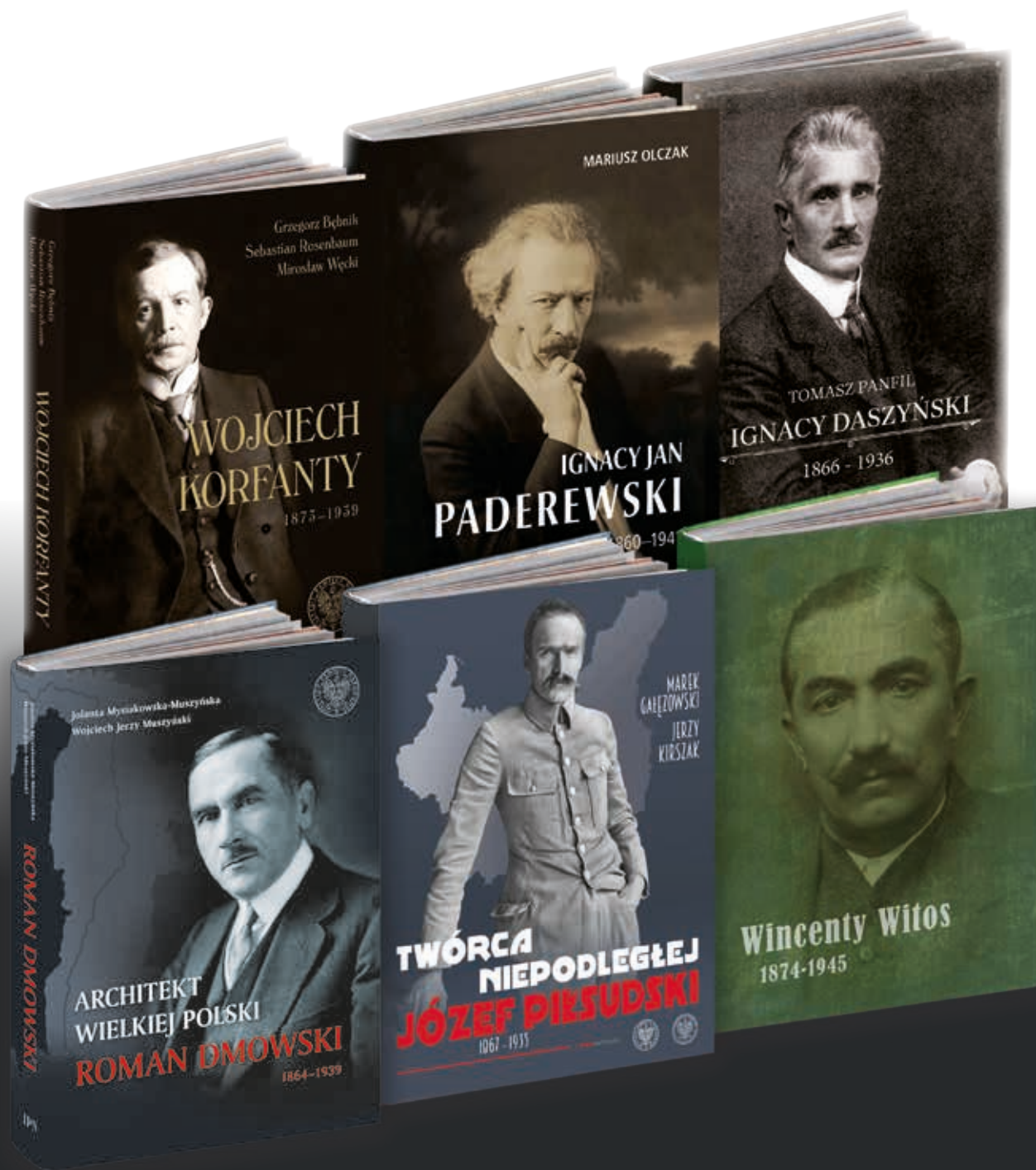
Nie wiem, ale strasznie rozpacział, że nie zdążył jej zabrać z domu przed aresztowaniem. W czasie wszystkich akcji i walk w I Batalionie 16 Pułku Piechoty AK „Barbara” kpt. Eugeniusza Borowskiego „Leliwy” pałał chęcią zemsty, co jednocześnie powodowało, że był jednym z najlepszych żołnierzy oddziału. Był tam kierowcą samochodu ciężarowego, który zdobyto w którejś z potyczek z Niemcami. Czasami brał udział w dramatycznych akcjach. W pamięci szczególnie utkwiła mi jedna z opowieści. Batalion stryja często działał w rejonie Biecza i Gorlic, gdzie niszczył tory kolejowe, którymi Niemcy wozili zaopatrzenie na front wschodni. Pewnego dnia w jednej z tamtejszych wsi osiedliło się młode ukraińskie małżeństwo. Wkrótce się okazało, że to niemieccy wywiadowcy, którzy mieli rozpracować miejscową konspirację. Dowództwo AK wysłało do nich oddział egzekucyjny. Partyzanci, zanim rozstrzelali mężczyznę, znaleźli w jego domu mundur żołnierza SS „Galizien”. Nie mieli więc wątpliwości, z kim mają do czynienia. Po rozstrzelaniu agenta kobieta wpadła w szal, rzuciła się na egzekutorów. Ci zaś ją unieszkodliwili i podjęli decyzję, że także musi zostać zlikwidowana. Była jednak bardzo urodziwa, więc nikt nie chciał pociągnąć za spust. Po długich perswazjach zrobił to Rosjanin – jeden z kilku czerwonoarmistów, którzy przyłączyli się do batalionu po ucieczce z niewoli.

Czy stryj brał udział w bitwie pod Jamną 25 września 1944 roku?

Akurat w tym jednym z największych starć pułku „Barbara” nie walczył. Kiedy „Leliwa” wyprowadził swych ludzi z kotła pod Jamną zastawionego przez oddziały SS, w tym osławioną ukraińską dywizję SS „Galizien”, „Józka” w batalionie nie było. „Leliwa” wysłał go wcześniej ciężarówką po zaopatrzenie. Po wojnie przez pewien czas stryj pozostawał w konspiracji, w oddziale wachmistrza Władysława Zatorskiego „Lawiny”. Kiedy ten został zamordowany przez UB 1 września 1945 roku, „Józka” aresztowano. Gdy został zwolniony z więzienia, nie wrócił do podziemia, lecz otworzył zakład ślusarski i został nauczycielem tego rzemiosła. ■

IPN POLECA!

WYJĄTKOWA SERIA ALBUMÓW NA STULECIE
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI





KRZYSZTOF KUBIAK

Burska bomba

W 1975 roku gwałtownie pogorszyła się sytuacja geostrategiczna Republiki Południowej Afryki. Po Rewolucji Goździków wycofali się bowiem z Angoli i Mozambiku Portugalczycy, którzy dotąd osłaniali granice swego południowego sąsiada. Oba niepodległe kraje pogrążyły się w konfliktach wewnętrznych, ale oba również zadeklarowały wybór socjalistycznej drogi rozwoju. Do Angoli przybyły oddziały regularnej armii kubańskiej. Na pograniczu tego państwa i kontrolowanej przez RPA Namibii rozpoczął się przewlekły konflikt o zmiennej intensywności, zwany wojną w buszu. Republika Południowej Afryki, podobnie jak Rodezja, znajdowała się wówczas – ze względu na prowadzoną politykę segregacji rasowej – w głębokiej międzynarodowej izolacji i w zaistniałej sytuacji w praktyce była zdana na własne siły. Wtedy to w ścisłym kierownictwie państwa narodził się projekt pozyskania broni atomowej.

RPA posiadała zarówno złoża uranu, jak i myśl techniczną niezbędną do skonstruowania tego rodzaju oręża, ale aby cały proces przyspieszyć, zdecydowano się nawiązać współpracę z Izraelem. Dla drugiej strony była to z kolei sposobność, aby zdobyć dostęp do rudy, z której finalnie produkowano materiał rozszczepialny, a także – co równie ważne – przeprowadzenia ograniczonego testu jądrowego. W 1975 roku rozpoczęto już nawet drażnienie na pustyni Kalahari szybów, w których zamierzano przeprowadzić detonację. Zamiar ten udaremniła jednak interwencja Amerykanów, których powiadomili Sowieci, twierdząc, że instalację wykrył ich satelita. W rzeczywistości sprawcą przecieku był prawdopodobnie agent ulokowany w południowoafrykańskiej marynarce – Dieter Gerhardt. Wiele wskazuje na to, choć jednoznacznego potwierdzenia nadal brak, że próbę jądrową przeprowadzono ostatecznie 22 września 1979 roku – wtedy to amerykański satelita rozpoznawczy zaobserwował podwójny rozbłysk w pobliżu położonych w antarktycznej strefie Oceanu Indyjskiego Wysp Księcia Edwarda (należących do RPA).

Pierwsza operacyjna południowoafrykańska bomba atomowa (uranowa) została dostarczona siłom zbrojnym w listopadzie 1979 roku. Budowę kolejnego ładunku ukończono w grudniu 1981 roku. W 1985 roku rząd podjął decyzję o ograniczeniu programu do sześciu bomb, ale gdy zdecydowano o przerwaniu przedsięwzięcia w 1989 roku, gotowe były jedynie cztery. Do ich przenoszenia zostały dostosowane samoloty bombowe Canberra B12 ze składu 12 Dywizjonu SAAF. Południowoafrykańska doktryna, jeżeli można przyjąć takie określenie, użycia broni jądrowej zakładała, że w krytycznej sytuacji wojskowej lub w razie zastosowania przez przeciwnika broni masowego rażenia (przy czym myślano raczej o gazach bojowych) zostanie przeprowadzona detonacja ostrzegawcza nad oceanem lub obszarem pustynnym. Miało to wystarczyć do umiędzynarodowienia konfliktu i wymuszenia na walczących stronach przynajmniej rozejmu. Za kolejny krok, w wypadku fiaska nadziei pokładanych w pierwszym posunięciu, przyjęto wykonanie uderzenia na zgrupowanie wojsk lub wartościową infrastrukturę oponenta.

Afrykański arsenał nuklearny miał krótki żywot. Rozpoczynając proces przekazywania władzy czarnym mieszkańcom, prezydent Frederik de Klerk, zgodnie z nieoficjalnie wyrażoną wolą wielkich mocarstw, został zobowiązany do spowodowania jego demontażu i wywiezienia. Nikt nie był jednak zainteresowany przejęciem broni atomowej przez Afrykański Kongres Narodowy, utrzymujący kordialne stosunki z Koreą Północną, Libią i Irakiem. Tak też się stało, a ze znacznym stopniem prawdopodobieństwa można założyć, że afrykańskie bomby trafiły do Izraela.

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ WYZWANIA



PATAGONIA NIE WYBACZA BŁĘDÓW

**Kiedy startujesz w jednym z najtrudniejszych
wyścigów świata, musisz być pewien, że
nie pokona cię pogoda i nie złamie trudna trasa.**

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



T

en, kto nigdy nie widział Patagonii, nie poczuł surowości jej klimatu i nie doświadczył zmienności pogody, nie jest w stanie wyobrazić sobie, z czym mierzą się zawodnicy startujący w Patagonian Expedition Race. Wyścig jest uznawany za jeden z najtrudniejszych na świecie. Ścigające się drużyny mają przed sobą blisko 600 km, ale tego, jak wygląda trasa i którędy będzie biegła, dowiadują się tuż przed startem. Część drogi pokonują pieszo, kolejne kilometry – kajakiem i na rowerze.

„Kiedy opowiadam, że musieliśmy przejść przez bardzo gęsty las, to pewnie zdecydowana większość ludzi ma przed oczami polski krajobraz. Tymczasem w Patagonii zarośla i krzaki były jak ściana. Po takiej wędrówce niektórzy z zawodników mieli podarte kurtki i spodnie z goreteksu. Taką moc mają rośliny w Patagonii”, mówi Rafał Nowakowski, kapitan drużyny Spirit of Poland, były żołnierz Jednostki Wojskowej GROM. W wyścigu wystartował po raz drugi, tym razem z zupełnie nową drużyną. W jej skład weszli: Piotr, żołnierz wojsk specjalnych, triathlonista i uczestnik biegów Ironman; Robert, utytułowany zawodnik dzudo, nurek, maratończyk i skoczek spadochronowy; oraz Marta, trener narciarstwa biegowego, międzynarodowy przewodnik górski, mistrzyni polski amatorów w biegach narciarskich z 2015 roku. „Mocny kondycyjnie i psychicznie team, z którym jedziemy po zwycięstwo”, mówił tuż przed wyścigiem

Rafał. Co zatem wydarzyło się w Patagonii, że nie dotarli na metę?

NADROBIĆ NIEDOCIĄGNIĘCIA

Zawodnicy mieli pokonać pieszo patagoński las. Organizatorzy zawieźli ich w środek gęstwin i... tam zostawili. Dalej uczestnicy byli już zdani wyłącznie na siebie. Rafał, który odpowiadał za nawigację, musiał wyznaczyć kierunek marszu. „Popełniłem drobny błąd nawigacyjny, przez który znaleźliśmy się w tak trudnym terenie, że pokonywanie go kosztowało dużo czasu i energii. Niestety Patagonia nie wybacza nawet najdrobniejszych błędów”, mówi były żołnierz GROM-u. „Przedzierał się w ulewę przez gęste krzaki. Woda lała się na nas z nieba, ale też zbieraliśmy ją z roślinności”, dodaje. Kiedy udało im się wrócić na właściwą trasę i dotrzeć na

pierwszą górę, musieli się zmierzyć z bardzo trudnymi warunkami atmosferycznymi. W pewnym momencie temperatura spadła do zera stopni Celsjusza, widzialność wynosiła zaledwie 50 m. „Przy wietrze tak silnym, że chwialiśmy się na boki, każdy krok był podwójnie trudny”, wspominają członkowie zespołu. Organizator ostrzegał ich, że jeszcze dwa tygodnie wcześniej na tej trasie śnieg sięgał kolan. Rafał przeszedł przez płytki strumień. „Kilka chwil w wodzie, a konsekwencje ogromne. Woda była lodowata, a temperatura powietrza na tyle niska, że momentalnie zablokowało mi stawy od palców przez całe śródstopie.

ZWYCIĘZCY

W 2018 roku w Patagonii zwyciężyła drużyna mieszana z USA, Kanady i Danii. Pokonanie trasy zajęło zawodnikom 147 godzin 53 minuty! Na podium stanęły też zespoły hiszpańsko-brazylijski (154 godziny 47 minut) oraz japoński (164 godziny 11 minut). Spośród dziesięciu drużyn startujących w wyścigu, ukończyło go aż osiem. ■





DRUŻYNA SPIRIT OF POLAND

DO WYŚCIGU W PATAGONII PRZYGOTOWYWAŁA SIĘ PONAD ROK

Nie mogłem ruszyć stopami”, wspomina. „Mimo wszystko udało nam się zdobyć pierwszą górę i zejść do doliny, w której nocowaliśmy”, dodaje kapitan drużyny.

Niepowodzenia, których doświadczyli pierwszego dnia, mogłyby wpłynąć na motywację przeciętnego człowieka. Nawet w zgranych zespołach pojawia się wtedy pokusa, by szukać osoby odpowiedzialnej za porażkę. „U nas nikt nikogo nie obwiniał. Od drużyny płynęło wyłącznie wsparcie”, mówi Rafał. Zresztą, jak wspominają zawodnicy, nikt nie załamywał rąk. Owszem nie było już szans na podium, ale ukończenie wyścigu było możliwe i to w całkiem dobrym czasie. Bo to, że Polacy mieli problemy na

trasie, nie znaczy przecież, że innym szło doskonale. „Zamiast skupiać się na jakiś wyrzutach, myśleliśmy raczej o tym, jak nadgonić czas jutro, pojutrze. Nikogo nie opuściła nadzieja na sukces”, mówi Rafał.

KONTUZJA KOŃCZY WYŚCIG

Następnego dnia ruszyli w trasę. Udało im się nawet dogonić jedną drużynę. Wejście na grań zajęło Rafałowi, Piotrowi, Robertowi i Marcie znacznie więcej czasu, niż przewidywali. Ale nie poddawali się. Kiedy schodzili ze wznieślenia, mieli już plan, jak nadrobić stracone godziny, by jak najszybciej dostać się do etapu rowerowego, bo w tej konkurencji czuli się ➔

najmocniejsi. Na ich drodze leżało mnóstwo połamanych drzew. „Konary i pnie były niesamowicie mokre i cały czas się ślizgaliśmy. Tak naprawdę każdy z nas był o włos od kontuzji”, mówi Rafał. Padło na Martę. „Kiedy udało nam się pokonać najtrudniejszy odcinek, poślizgnęłam się. Upadłam bardzo niefortunnie. Ból był ogromny, na granicy wytrzymałości. Bałam się, że złamałam obojczyk”, wspomina Marta. „Po chwili chłopaki zaczęli sprawdzać, co mi jest. Okazało się, że to tylko bark. W tym całym nieszczęściu to była dobra wiadomość”, dodaje.

Zła wiadomość była taka, że dla polskiej drużyny wyścig się zakończył, bo zgodnie z regulaminem na metę muszą dotrzeć wszyscy, którzy ją tworzą. Marta nie mogła iść dalej i wymagała pomocy medycznej. „W tej chwili liczyło się tylko jej zdrowie”, mówi kapitan polskiego zespołu. Trzeba było jak najszybciej sprowadzić pomoc. Dwieście metrów od miejsca, gdzie wydarzył się wypadek, wypatrzyli polanę, na której mógł wylądować śmigłowiec ratunkowy. Sprowadzenie tam Marty było nie lada wyzwaniem. „Mimo bólu zachowała się niezwykle dzielnie”, mówią zawodnicy. Wezwanie pomocy też nie było łatwe. Rafał starał się kilkanaście razy nawiązać łączność. Kiedy w końcu to zrobił, okazało się, że śmigłowiec nie może przylecieć ze względu na złą pogodę. Drużyna musiała spędzić noc na polanie. Ekipa ratowników pojawiła się następnego dnia. Marta poleciała do szpitala z Piotrem, Rafał i Robert dotarli tam później. „Okazało się, że Marta była już po zabiegu. Miała w znieczuleniu ogólnym nastawiany bark”, mówi kapitan polskiej drużyny. „Wszystko poszło bardzo sprawnie”, dodaje. Wtedy Robert postanowił wrócić do Polski, a Rafał z Piotrem... na trasę wyścigu.

NIE MA PORĄŻKI

Organizator Patagonian Expedition Race pozwolił, by Rafał i Piotr weszli na trasę, ale tylko na odcinek stukilometrowego trekkingu i fragment trasy rowerowej. Po co to zrobili? „Chciałem się sprawdzić w nawigacji, przetestować nasz sprzęt i przekonać się, jak jestem przygotowany



PIEKIELNY RAJD

Śmiałkowie z całego świata biorą udział w piekielnym wyścigu w Patagonii od 2004 roku. Co dwa lata mierzą się z niezwykle trudną trasą, która liczy co najmniej 500 km, choć zdarzyło się, że musieli pokonać ich ponad tysiąc. Zawodnicy podkreślają jednak, że to nie kilometry są ich największym wrogiem, a sroga, zmieniająca się dosłownie z godziny na godzinę pogoda. W 2018 roku część trasy pokonywali w ulewie, część – brnąc po pas w śniegu. Wyścig utrudnia również wyjątkowa flora, na trasie są tereny pokryte bardzo śliskim mchem albo powalonymi drzewami. O wygranej decydują zwykle minuty, cenny czas zawodnicy oszczędzają na odpoczynku. Wszystko po to, by stanąć na podium Patagonian Expedition Race!

kondycyjnie. Nie przyleciałem do Patagonii, by zwiedzać ją jak typowy turysta”, śmieje się były żołnierz GROM-u. Na trasie szło im bardzo dobrze.

„Cisnęliśmy do przodu, tak jakbyśmy nadal brali udział w wyścigu”, wspomina Rafał. „Ale byliśmy zregenerowani po nocy spędzonej w hotelu, więc nie ma co porównywać naszych wyników z rezultatami innych drużyn, które przez cały ten czas były na trasie”, dodaje Rafał. Jednak już kolejny dzień był zaskoczeniem. „Przez kilka godzin pokonywaliśmy serię jarów o wysokości 60 m. Trasa znowu wiodła między powalonymi drzewami i krzakami”, wspomina zawodnik. Dalej teren stawał się podmokły, a na koniec musieli pokonać rzekę.

Drużyna Spirit of Poland do wyścigu w Patagonii przygotowywała się ponad rok. Każdy z zawodników ćwiczył sam, ale odbyli również wiele wspólnych treningów. Brali udział w zawodach w całej Polsce, m.in. w maratonach i triathlonach. Cel był jasny: wygrana. Rafał już dwa lata temu zapowiadał, że do Patagonii pojechał wyłącznie po to, by stanąć na podium. Gdy w czasie wyścigu okazało się, że cel jest już nieosiągalny, nie poddali się. „Jestem sportowcem i wiem, że kontuzje się zdarzają. W ta-

kiej sytuacji niewiele zależy od ciebie. Jasne, że czułam smutek i niedosyt. Ale ani chłopaki mi niczego nie wyrzucały, ani ja nie obwiniałam siebie za tę sytuację”, mówi Marta. „Nie skupiamy się na negatywnych emocjach, tylko na tym, co trzeba zrobić. W tym wypadku, gdy wygrana stała się nieosiągalna, trzeba było zmienić cel. Dla mnie było to sprawdzenie trasy. Dlatego na nią wróciłem”, dodaje Rafał.

Czy Spirit of Poland wystartuje w kolejnej edycji wyścigu? „Zastanawiam się, czy jest mi to potrzebne. Dużo w życiu już przeżyłam i już nie muszę nic sobie udowadniać. Takiego rodzaju wyzwania mają dawać przyjemność i satysfakcję, inaczej nie mają sensu. Kolejny start w Patagonii będę musiała dobrze przemyśleć”, przyznaje Marta. Rafał, kapitan drużyny, nad odpowiedzią chwilę się zastanawia. Mówi, że to kosztowne przedsięwzięcie, w które wkłada się nie tylko pieniądze, lecz także czas. Jednak zapowiada: „To nie było ostatnie nasze słowo w Patagonii”.

MEDIA TEAM SPIRIT OF POLAND

Batalia kopisty

Ireneusz Rolewski przez trzy lata tworzył pierwszą wierną kopię „Bitwy pod Grunwaldem”.

KATARZYNA J. KOWALSKA

Rozpoczął nieśmiało. Najpierw skopiował fragment obrazu znajdujący się w dolnej części płótna, po prawej stronie. Na nim czeski rycerz Jan Žižka podnosi miecz, żeby zadać śmiertelny cios przeciwnikowi leżącemu pod jego butem. Ireneusz Rolewski, dwudziestopięcioletni absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, odtwarza na swoich płótnach kolejne części „Bitwy pod Grunwaldem” Jana Matejki. Teraz maluje ostatnią.

Z ŁODZI DO WARSZAWY

Najpierw przyjeżdżał do stolicy na weekendy. Wstawał w sobotę przed szóstą, biegł na pociąg w Łodzi, żeby wysiąść na dworcu Warszawa Centralna. Stamtąd jechał trzy przystanki tramwajem do Muzeum Narodowego. Rozkładał na podłodze folię, rozstawiał sztalugi, do płótna przyklejał ksero fragmentu obrazu, którym akurat się zajmował, wyciskał z tubek na prostokątną paletę kolorowe farby i zabierał się do pracy. Na płótnie pojawiały

się kolejne warstwy, barwy i odcienie, plamy powoli nabierały kształtów. Postaci ubierał w lśniące zbroje, wkładał im do rąk miecze, topory lub włócznie. Pędzlem wzniewał podmuch wiatru, który poruszał płachtą na plecach wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego i wrywał z dłoni chorągiew.

Jak w transie malował do wieczora. Wychodził z ostatnimi zwiedzającymi, żeby w niedzielę z samego rana znowu stanąć przed płótnami – swoimi i Jana Matejki. Potem wracał do Łodzi i ruszał na uczelnię na zajęcia. Pracę nad kopią „Bitwy pod Grunwaldem” rozpoczął na drugim roku studiów. „Chciałem odtworzyć wycinek obrazu, ale podczas malowania zacząłem liczyć, na ile części musiałbym podzielić płótno Jana Matejki o powierzchni 42 m². Wtedy podjąłem decyzję – zrobić kopię całego obrazu”, opowiada z uśmiechem Ireneusz Rolewski.

To nie jest pierwsza jego próba powtórzenia tego, czego dokonał malarz żyjący w XIX wieku



Artysta marzy, aby jego kopia „Bitwy pod Grunwaldem” jeździła za granicę i przybliżała obcokrajowcom historię Polski.



w Krakowie. Kiedy Ireneusz Rolewski dostał się do liceum plastycznego w Łodzi, zamieszkał w szkolnej bursie. Jego pokój nadawał się do generalnego remontu – ściany brudne, pomazane, niezasługujące na cytowanie napisy pozostawione przez starszych kolegów. Kiedy dyrekcja podjęła decyzję o odmalowaniu ścian, Ireneusz poprosił o zagruntowanie jednej z nich i pozostawienie mu do prac malarskich. Otrzymał zgodę. Wtedy zaczął malować... „Bitwę pod Grunwaldem”. „Nie chcę nazywać tego kopią, bo i podłoże inne, i format mniejszy, ale treść mojego obrazu jest próbą odtworzenia tego, co chciał przekazać Jan Matejko”, tłumaczy dziś młody artysta. Obrazu nie skończył. Malował przez cztery lata liceum, na studiach już do niego nie wrócił. Zauważył, że pod warstwą malunku tworzą się pęcherze powietrza i obraz zaczyna odpadać od ściany. Wolał zająć się robieniem kopii, która przetrwa dłużej niż kilka lat.

WIELOLETNIA FASCYNACJA

Mała reprodukcja „Bitwy pod Grunwaldem” wisiała w jego rodzinnym domu. Intrygowała go. Zadawał sobie pytanie, dlaczego polski król nie jest główną postacią na obrazie. Później na lekcji w szkole podstawowej dowiedział się, że polskie wojsko nie wystawiało swojego dowódcy na bezpośredni kontakt z wrogiem, ale trzymało go w bezpiecznej odległości od pola bitwy, skąd mógł obserwować sytuację i podejmować trafne decyzje. Zastanawiał się, dlaczego Ulrich von Jungingen poniesie śmierć z rąk zwykłych piechurów, a nie wielkiego księcia litewskiego Witolda. Zginie zapewne od ciosu zadanego toporem lub pchnięty włócznią – być może tą podarowaną przez cesarza Ottona III polskiemu królowi Bolesławowi Chrobremu podczas zjazdu gnieźnieńskiego jako symbol chrześcijaństwa. Zdaniem Ireneusza Rolewskiego ten fragment bitwy Jan Matejko przedstawił przewrotnie: „Krzyżacy pod pretekstem chrystianizacji Polski, która już ponad pięć stuleci wcześniej przyjęła chrzest, zaatakowali nas i chcieli podbić. My tą włócznią wymierzamy sprawiedliwość. Zabijamy ich tym, czym oni nas obdarowali”.

Ireneusz Rolewski planuje ukończyć kopię „Bitwy pod Grunwaldem” na początku 2019 roku. Po namalowaniu ostatniego fragmentu obrazu musi dopracować jeszcze części, które w oryginale znajdują się na górze płótna Jana Matejki. Powstały one na podstawie fotografii, ponieważ ich skopiowanie wiązałoby się z rozstawieniem rusztowania i drabiny w Sali Matejkowskiej, a już teraz do uszu młodego artysty docierają pretensje zwiedzających, że załatania najważniejsze polskie dzieło. „Nie chcę przeszkadzać w odbiorze tego obrazu, z drugiej strony mam nadzieję, że może uda mi się popracować w muzeum w te dni, kiedy jest zamknięte dla zwiedzających. Zależy mi, aby każdy fragment mojej kopii miał choć symboliczny kontakt z oryginałem i chociaż częściowo powstawał w Sali Matejkowskiej”, mówi Ireneusz Rolewski.

Do tej pory prace nad „Bitwą...” finansował z własnej kieszeni. Pomogło mu stypendium socjalne i pomoc Domu Dziecka w Strobowie, którego jest wychowankiem. Ostatnio

Dzieło Jana Matejki można oglądać w Galerii Sztuki XIX Wieku w Muzeum Narodowym w Warszawie od wtorku do niedzieli w godzinach 10.00–18.00. W każdy piątek muzeum jest czynne dla zwiedzających do 21.00.

udało mu się uzyskać środki na zakup i renowację starej ramy, w której przez lata znajdowała się oryginalna „Bitwa pod Grunwaldem”. Znalazły się także środki na zszycie i dopasowanie wszystkich jedenastu fragmentów płócien, które ostatecznie stworzą jeden obraz. Fundacja pokryje też koszty wykonania zaprojektowanego przez młodego malarza prototypu krosna malarskiego, na którym będzie rozpięte płótno.

W październiku 2018 roku premierę miał film dokumentalny „Bitwa” w reżyserii Marii Dłużewskiej, opowiadający o kulisach tworzenia kopii „Bitwy pod Grunwaldem”. „Dzięki filmowi udało się nagłośnić sprawę Irka, który od lat stoi przed obrazem Matejki, ale niewielu zainteresowało się tym, kim jest ten chłopak. A to niezwykle utalentowany i wrażliwy człowiek, którego dzieło potrzebuje uwagi i fi-

MICHAŁ NIWICZ





MAŁA REPRODUKCJA „BITWY POD GRUNWALDEM” WISIAŁA W RODZINNYM DOMU ROLEWSKIEGO. INTRYGOWAŁA GO

nansowego wsparcia. To nie jest łatwe zadanie, mój film o nim też powstał na kredyt i wciąż szukamy sponsora i dla Irka, i filmu”, przyznaje autorka.

Ireneusz Rolewski marzy o tym, aby jego kopia „Bitwy pod Grunwaldem” jeździła za granicę i przybliżała obcokrajowcom historię Polski. A Polakom mieszkającym poza krajem dawała szansę na kontakt z obrazem, który jest symbolem naszej narodowej siły, niezłomności. Oryginał stworzony ręką Jana Matejki nie może podróżować, stan płótna nie pozwala go zwijać, a inaczej obrazu długiego na prawie 10 m i szerokiego na ponad 4 m nie sposób przetransporto-

wać. Każde pęknięcie na zniszczonym płótnie mogłoby być zabójcze dla tego dzieła sztuki, które jest – ze względu na swoją treść oraz to, czego doświadczyło, szczególnie w czasie II wojny światowej – uważane za jedno z najważniejszych i najcenniejszych w Polsce. ■

KATARZYNA J. KOWALSKA jest dziennikarką, autorką książki „Polski El Greco”, a także wieloletnią współpracowniczką Telewizji Polskiej i autorką reportażu o tematyce kulturalnej i historycznej.

Gdy w 1940 roku Francja nadszpedzanie szybko uległa pancernej nawaie Niemców, rozpoczęła się dramatyczna ewakuacja do Anglii brytyjskich, polskich i garstki francuskich żołnierzy, którzy nadal chcieli walczyć. Na frachtowiec „Chorzów” w ostatniej chwili dostarczono niezwykle cenny ładunek – kilka kaset z taśmami filmowymi.

JAK FENIKS Z POPIOŁÓW

Na posiedzeniu Rady Narodowej 6 marca 1940 roku gen. broni Władysław Sikorski powiedział: „Odbudowa wojska polskiego w najszerszym zakresie jest najważniejszym i zasadniczym zagadnieniem rządu. Temu głównemu zadaniu powinna służyć nasza dyplomacja oraz nasza propaganda. Trafic musimy do wszystkich ośrodków polskich na obczyźnie, poruszyć je i zdobyć dla idei wyzwolenia Polski przez czyn zbrojny”.

W Ministerstwie Spraw Wojskowych powołano Wydział Propagandy i Oświaty, w którym funkcjonowały sekcje prasowa, radiowa, teatralna i filmowa. Kierujący tą ostatnią ppor. Stanisław Rochowicz do pracy zaangażował polskich filmowców, którym udało się przedrzeć z okupowanego kraju do Francji. Do tej ekipy dołączyli inż. Franciszek Ożga i Kazimierz Karasiewicz. Pierwszy z nich w 1935 roku wyjechał do USA i w Chicago założył firmę Polish American Film Corporation, która zajmowała się dystrybucją w Ameryce polskich filmów. Drugi, pasjonat lotnictwa, po służbie wojskowej w 1 Pułku Myśliwskim zatrudnił się w dziale filmowym Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Marzył o Hollywood, w 1937 roku popłynął więc do Ameryki. Po roku wrócił jednak do kraju i pracy w PAT. Do Ameryki trafił znowu w lutym 1939 roku jako reporter tej agencji, żeby utrwalić na filmie polskie uczestnictwo w Wystawie Światowej. Pozostał tam, ale na wieść o niemieckiej agresji na Polskę jako pierwszy zgłosił się do polskiego konsulatu na ochotnika do wojska. Ze względu na nieuregulowanie kwestii rekrutacji polskich obywateli w USA nie został zmobilizowany. Kiedy więc Franciszek Ożga zaproponował mu wspólną wyprawę do Francji, aby nakręcić film o powstającej tam armii polskiej, przyjął ofertę. Obaj filmowcy przybyli do Paryża 6 marca 1940 roku i od razu nawiązali kontakt z ekipą Rochowicza.

MISJA: FILM

Wojskowa czołówka filmowa wiosną 1940 roku rozpoczęła prace nad kronikami, które później miały złożyć się na pełnometrażowy dokument. Filmowcy odwiedzili wszystkie ważne ośrodki formowania się armii polskiej – od obozu w Coëtquidan, przez Parthenay, po Grenoble. Próbowali także dotrzeć do strefy przyfrontowej w Lotaryngii, na pozycje 1 Dywizji Grenadierów, ale zostali zatrzymani przez żandarmerię i osadzeni w areszcie. Udało im się natomiast sfilmować od-

jazd żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich z obozu szkoleniowego w Grenoble do portu, w którym zaokrętowano ich na statki płynące do Narwiku.

Na początku maja 1940 roku Ożga przystąpił do montażu i udźwiękowienia filmu. Dzięki pomocy byłych pracowników PAT-u materiał, który powstał we Francji, udało się wzbogacić taśmami nakręconymi w Polsce w pierwszych dniach wojny, w tym w oblężonej Warszawie. Muzykę opracował Czesław Halski, a komentarz czytał Józef Opieński. Prace nad udźwiękowieniem ekipa prowadziła w atelier w Joinville pod Paryżem.

Mimo dramatycznych komunikatów z frontu filmowcy nie przerywali pracy. Ostatecznie udało się im zakończyć montaż i nagrać dźwięk. Na osiem godzin przed wkroczeniem Niemców do Paryża cały materiał filmowy został złożony w 217 pudełkach. Ożga z Karasiewiczem wywieźli je z miasta i załadowali w Bordeaux na mały frachtowiec „Chorzów”.

Pełnometrażowy dokument filmowcy zaprezentowali na specjalnym pokazie w Londynie gen. Sikorskiemu. Realizatorzy dedykowali go wszystkim Polakom

PIOTR KORCZYŃSKI

KADRY WYRWANE WOJNIE

Ignacy Paderewski apelował, żeby ten film obejrzał każdy Polak.

rozszanym po świecie. Napisy w czołówce informowały jedynie, że „zdjęcia, montaż filmowy, montaż muzyczny, teksty i piosenki, opowiadanie wykonał »Żołnierz Polski«”. Podyktowane to było troską o rodziny twórców w okupowanym kraju. Istotnie jednak „Żołnierz Polski” był zbiorowym bohaterem tego filmu. Udało się w nim uchwycić determinację ludzi, którzy potrafili podźwignąć się po klęsce i na francuskiej ziemi tworzyć nowe wojsko, udowodnić, że „Jeszcze Polska nie zginęła”. Taki też tytuł nadano filmowi, a zaczerpnięto go z jednej z jego kulminacyjnych sekwencji – przemówienia Ignacego Paderewskiego na sesji Rady Narodowej w Angers. Polityk składał hołd bohaterskim obrońcom Polski w 1939 roku. Na zakończenie, wyraźnie starając się swym słowom nadać mocniejsze brzmienie, powiedział: „Nie zginie Polska, nie zginie Polska i żyć będzie dla nas, dla was, dla całego świata...”.

Do oficjalnego obiegu kinowego film skierowano w wersji polskiej, a także angielskiej pod tytułem „Poland is not lost”. Mimo słabości technicznych, wynikających z trudnych warunków montażu i braku kulminacyjnych scen frontowych z Francji, „Jeszcze Polska nie zginęła” odniosła wielki sukces.

W samych Stanach Zjednoczonych w 1941 roku ten film obejrzało ponad milion widzów. Franciszek Ożga zaprezentował go tam osobiście Ignacemu Paderewskiemu, który wzruszony zapelował, aby „Jeszcze Polska nie zginęła” obejrzał każdy Polak.

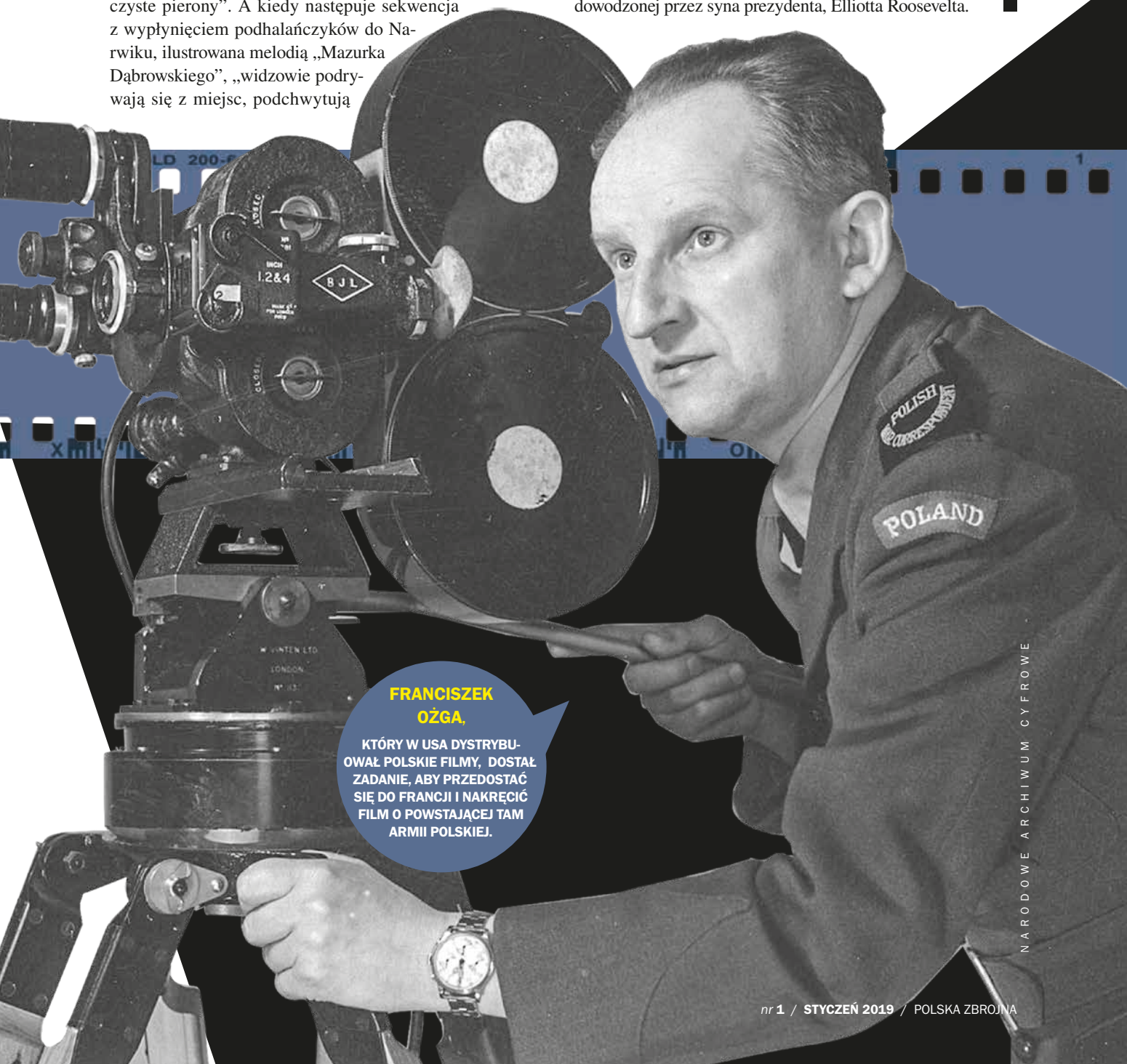
Niebagatelną rolę dokument odegrał w podnoszeniu morale żołnierzy polskich. Oto relacja z jednego z seansów: „Sala kinoteatru w małym miasteczku »gdzieś w Szkocji« wypełniona do granic możliwości bracią żołnierską... Rozlegają się tony »Poloneza« Chopina, rolnicy, robotnicy, dzieci rozbawione na łące... Nagle na niebo ekranu wpływają czarne sylwetki samolotów: jeden klucz, drugi, trzeci – całe gromady drapieżnego plectwa wojny... Mała stacyjka. Na sali poruszenie: »Koczokodan« »Koczokodan« [tak żołnierze nazywali obóz w Coëtquidan], długie rzędy baraków. Ale zimno tu było – niech to siarczyste pierony”. A kiedy następuje sekwencja z wypłynięciem podhalańczyków do Narwiku, ilustrowana melodią „Mazurka Dąbrowskiego”, „widzowie podrywają się z miejsc, podchwytują

melodię i śpiewają z uśmiechem. Szkoci powstają z uszanowaniem. Gasną promienie na ekranie, zapalają się lampy, ten i ów z żołnierzy łzy ociera, a wzruszeni są wszyscy”.

NA FRONCIE

W październiku 1940 roku Ożga z Karasiewiczem, zrażeni konfliktami podczas organizacji nowej czołówki filmowej, wyjechali do USA. Nie zamierzali jednak rezygnować ze służby ojczyźnie. Ożga w 1942 roku wrócił do Londynu i ponownie zaangażował się w prace ekipy filmowej w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Z kamerą towarzyszył m.in. 1 Dywizji Panczernej gen. Stanisława Maczka.

Kazimierz Karasiewicz w sierpniu 1942 roku został operatorem amerykańskich sił lotniczych. Latał m.in. w eskadrze dowodzonej przez syna prezydenta, Elliotta Roosevelta. ■



**FRANCISZEK
OŻGA,**

KTÓRY W USA DYSTRYBUOWAŁ POLSKIE FILMY, DOSTAŁ ZADANIE, ABY PRZEDOSTAĆ SIĘ DO FRANCJI I NAKREŚCIĆ FILM O POWSTAJĄCEJ TAM ARMII POLSKIEJ.

Anioły bez głowy

Z Rafałem Makolądrą

o zatrzymanych w kadrze lwowskich opowieściach, rodzinnej tradycji i cmentarzach, po których wędrówka nigdy się nie kończy, rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Opowieści lwowskie” – tak zatytułowana jest wystawa fotograficzna, którą pokazuje pan w warszawskim teatrze Capitol. O czym pan opowiada?

Przedstawiam kilka historii związanych ze Lwowem. Postanowiłem zająć się tym tematem z okazji 100. rocznicy obrony miasta. W listopadzie 1918 roku wybuchło polskie powstanie przeciwko Ukraińcom, którzy próbowali je zająć. W walkach wzięło udział ponad 6 tys. Polaków, połowę stanowiła młodzież, najmłodszy uczestnik walk miał dziewięć lat. Rocznica ta pozostała w cieniu obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

Jakie są to opowieści?

Jedne pochodzą z kart historii, inne są współczesne. Pierwsze dwie dotyczą przedwojennego Lwowa. Chciałem pokazać, jak to miasto wyglądało przed wojną oraz nawiązać do ludzi, którzy je tworzyli, a których groby dziś można odwiedzić na Cmentarzu Łyczakowskim. Wiele lwowskich budynków zachowało przedwojenny wygląd, dlatego że podczas II wojny światowej nie spadały na nie bomby. Jedynie upływ czasu odcisnął swoje piętno na miejskiej architekturze. Czasem żartuję, że we Lwowie można stanąć w dowolnym miejscu, obracać się wokół własnej osi i naciskać migawkę aparatu, aby sfotografować ciekawe obiekty. W wielu miejskich bramach zachowały się tabliczki z nazwiskami polskich mieszkańców. Te domy często są zdewastowane. W Muzeum Etnograficznym we Lwowie widziałem wiele eksponatów, które pochodziły z dawnych polskich domów: meble, zegary, naczynia, stroje. Nie były opisane. Takie historie starałem się przekazać poprzez fotografie.

Chyba najwięcej polskich śladów, także wojskowych, można dziś odnaleźć na lwowskich cmentarzach.

To prawda. Wędrówka po tych nekropoliach jest jak wybranie się w podróż, która nigdy się nie kończy. Cmentarz Łyczakowski jest jedną z najstarszych nekropoli istniejących do dziś w Europie. Został założony w 1786 roku. Spoczywa na nim wielu znanych Polaków, m.in. Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Artur Grottger, Seweryn Goszczyński, Kazimierz Bartel, Stefan Banach. Z kolei na Cmentarzu Obrońców Lwowa, zwanym Cmentarzem Orląt, miejsce pochówku znalazło

blisko 3 tys. żołnierzy poległych w walkach z Ukraińcami oraz w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku.

Na zdjęciach prezentowanych na wystawie widać, że te dwie nekropole to dwa różne światy.

Cmentarz Łyczakowski został tylko częściowo odrestaurowany. Odnowiono groby powstańców listopadowych i styczniowych. Wystarczy jednak skrócić w boczną alejkę albo wejść tam tylnym, mało znanym, wejściem, aby zobaczyć, jak natura „zadbała” o groby pochowanych tam i już zapomnianych ludzi. Na pokrytych zielenią mogiłach trudno odczytać napisy. Dzieła zniszczenia dopełniły władze radzieckie, które nakazały usunąć z nagrobków epitafia oraz wizerunki polskich obywateli. Na wielu mogiłach sterczą kikuty aniołów bez głów, na innych natura wchłonęła kamienne pomniki. Na Cmentarzu Orląt jest inaczej. Jest zadbany, jedyny problem to płyty, którymi władze ukraińskie zasłaniają dwa kamienne posągi lwów, będące częścią kolumnady znajdującego się tam pomnika Chwały.

Mówi pan o historii, a na fotografiach widać także współczesny Lwów.

Obok historycznego Lwowa chciałem pokazać na wystawie także jego współczesne oblicze. Miasto nie jest już – jak przed wojną – wielokulturowym tygłem, dziś jest ono ukraińskie. Spacerując po ulicach, miałem wrażenie, że zatrzymał się tam czas, mimo że widać billboardy, ledowe wyświetlacze, nowoczesne samochody. Miasto tworzą ludzie i ich także starałem się pokazać.

Jak doszło do tego, że z wielu fotografii powstała wystawa?

Materiał na nią zbierałem przez ostatnie dwa lata. Miałem olbrzymi problem z selekcją zdjęć. Żartowałem, że muszę dokonać mordu na własnych dzieciach, bo z kilku tysięcy fotografii trzeba było wybrać 38. Pomogło mi Stowarzyszenie Współpracy Polska-

CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI ZOSTAŁ TYLKO CZĘŚCIOWO ODRESTAUROWANY. CZĘŚĆ TRUDNO ODCZYTAĆ NAZWISKA POCHOWANYCH TAM OSÓB. NA WIELU MOGIŁACH WIDĄC TYLKO ANIOŁY BEZ GŁÓW.

-Wschód, które jest współorganizatorem wystawy i wspiera dobre relacje z naszymi sąsiadami.

Co pana skłoniło do tego, aby zająć się lwowskimi opowieściami?

Rodzinna tradycja. Moja rodzina od strony ojca pochodzi z Kresów Wschodnich. W 1943 roku wszyscy uciekli do Polski w obawie przed bandami UPA. Od dzieciństwa słuchałem opowieści ojca o Lwowie, które przekazał mu dziadek. Jako dziecko towarzyszyłem ojcu w wyprawach do Lwowa, ale nie rozumiałem historycznych zawiłości. Od kilku lat odwiedzam to miasto z aparatem fotograficznym lub z kamerą i za każdym razem odkrywam polskie ślady.

Do pana wędrówek fotograficznych życie dopisało puentę, ale nie na ziemi lwowskiej, lecz polskiej.

Kilka lat temu pojechałem do Studzianek Pancernych, aby zwiedzić miejsce słynnej bitwy pancerniej z 1944 roku oraz poświęcone jej muzeum. Jest ono dziełem miejscowego pasjonata historii, który od lat zbiera wszelkie pamiątki związane z tamtym wydarzeniem. Wśród wielu eksponatów był m.in. notes. Okazało się, że na

kilku stronach pojawia się moje nazwisko. Przeczytałem opis drogi, która doprowadziła mojego dziadka i jego brata ze Lwowa pod Studzianki. Pisał o tym dowódca czołgu, niejaki Stanisław Zieliński, który służył razem z moim dziadkiem. Opisał losy chłopaków z jednej ukraińskiej wsi Ryczki – ich wspólny szlak bojowy. Razem wstąpili do Związku Strzeleckiego we Lwowie. Nie wiem, jak trafili pod Studzianki, bo rodzinne opowieści na ten temat były szczątkowe, a ojciec już nie żyje.

Jest pan filmowcem, fotografem, projektantem graficznym, a oprócz prowadzenia działalności artystycznej pracuje także w fundacji Invictus Veteranus.

Wspomagamy weteranów zarówno artystycznie, jak i materialnie. Ja odpowiadam za ten pierwszy profil naszej działalności. W filmie dokumentalnym „Droga weterana – pokonać Hańczę” opowiedziałem historię rannego w Afganistanie mł. chor. Sebastiana Marczewskiego, który jako pierwszy człowiek na świecie przepłynął jezioro Hańcza wzdłuż, przy jego dnie. Pokonał dystans prawie 5 km na głębokości około 100 m, spędzając kilkanaście godzin pod wodą. Tym filmem chcieliśmy dorzucić swoją cegiełkę do zmiany postrzegania przez polskie społeczeństwo misjonarzy z Afganistanu czy Iraku.

Jak wspieracie poszkodowanych żołnierzy?

Pomagamy finansowo Michałowi Całczyńskiemu. Jest on byłym żołnierzem. W trakcie przygotowań do wyjazdu na XI zmianę do Afganistanu uległ wypadkowi. Ma uszkodzony kręgosłup i porusza się na wózku inwalidzkim. Ponieważ nie jest weteranem poszkodowanym poza granicami kraju, nie kwalifikuje się do pomocy ze strony państwa. A za służbę i gotowość do poświęceń należy mu się taki sam szacunek jak weteranom. Co roku zbieramy dla niego pieniądze na pokrycie kosztów rehabilitacji.

Do końca stycznia wystawę można oglądać w teatrze Capitol. Co będzie dalej?

Chciałbym, aby pokazano ją w Gliwicach, gdzie mieści się siedziba Invictus Veteranus. Może uda się zaprezentować tę wystawę w 6 Batalionie Powietrznodesantowym, którego żołnierzem jest prezes naszej fundacji. ■



WIZYTÓWKA

RAFAŁ MAKOLĄDRA

Filmowiec, fotograf, pedagog. Działa w fundacji Invictus Veteranus na rzecz polskich weteranów wojennych. Wielokrotnie nagradzany za filmy dokumentalne na festiwalach. ■

RAFAŁ MAKOLĄDRA

KSIĄŻKA

GROM

do zadań specjalnych

Tam, gdzie nie ma miejsca na strach,
trzeba mieć szczęście.

Jest to jedna z tych książek, które czyta się jednym tchem. Świetnie napisana, momentami zabawna, przenosi czytelnika w rejon Zatoki Perskiej. Opisywane zdarzenia wciskają w fotel aż do ostatniej strony. Akcja mrozi krew w żyłach, a wiarygodność sytuacji powoduje, że można poczuć się tak, jakby samemu brało się udział w operacjach GROM-u, ramię w ramię z Navy SEALs.

Rok 2003, wojna w Iraku. Do tego nieprzyjaznego, gorącego kraju zabiera czytelnika

Naval, były operator zespołu bojowego GROM-u. Do wykonania jest robota. Zanim jednak żołnierze przekroczą bramy bezpiecznej strefy Camp Pozzi, ruszają przygotowania do ataku. Niezliczone godziny ćwiczeń taktycznych, treningów i analiz sytuacji awaryjnych nieco zmniejszają obawy przed

niepowodzeniem. Zabezpieczenie terminalu, przechwytywanie bojówek uzbrojonych w rosyjski sprzęt, odbicie zakładników, z takimi zadaniami muszą zmierzyć się nieustraszeni gromowcy. Informacja „mission complete” oznacza chwilę odpoczynku.

Wspomnienia z wykonanych zadań bojowych autor zestawia z historiami ludzi o niebywałej wręcz wytrzymałości, to niemal superbo-

haterzy, odnajdujący swoje miejsce w najlepszych jednostkach na świecie. O poczynaniach jednego z nich, polskiego gromowca o pseudonimie „Strażak”, jego sile i determinacji tak o GROMnej, że wprawia w osłupienie nawet zaprawionych w boju dowódców sił specjalnych, Naval wspomina już w pierwszych rozdziałach książki. „Takiego życiorysu nie można podsumować inaczej niż słowami, które wpisane są w codzienność operatorów GROM-u: śmiały zwycięża”, pisze o „Strażaku” autor.

„Camp Pozzi. GROM w Iraku” jest już czwartą książką Navala, w której odkrywa on kulisy zadań operacyjnych świetnie zgranych gromowców i chłopaków z Navy SEALs. Liczę na to, że nie ostatnią...

MARTA SZULC

Naval, „Camp Pozzi. GROM w Iraku”, Bellona, 2018.

TO JUŻ
CZWARTA KSIĄŻKA
NAVALA. WSPOMNIENIA
Z WYKONANYCH ZADAŃ
BOJOWYCH AUTOR ZESTAWIA
W NIEJ Z HISTORIAMI
LUDZI O NIEBYWAŁEJ
WRĘCZ WYTRZYMA-
ŁOŚCI.



KSIĄŻKA

Wojna prowadzona z motorówki



Jesień 1918 roku oraz miesiące, które nastąpiły po ogłoszeniu niepodległości, nie były dla Polski spokojne. Wręcz przeciwnie: u granic tworzącego się dopiero kraju nieustannie wrzało, dominowały chaos i niepewność. Skala trudności, z jakimi musiało się mierzyć odrodzone państwo polskie, była ogromna. Największym wyzwaniem stała się konieczność obrony świeżo wywalczonej niepodległości.

Sławomir Zagórski w swej książce pt. „Białe kontra czerwone” przedstawia bardzo ciekawy, a przy tym mało znany wycinek ówczesnej rzeczywistości wojennej: uczestnictwo marynarzy

polskiej floty śródlądowej w wojnie polsko-bolszewickiej. Jednostki pływające flotylli rzecznych, niewielkich rozmiarów łódki, motorówki i kutry, stanowiły istotne ogniwo ówczesnego potencjału obronnego Polski. Poza walorami bojowymi jednostki flotylli rzecznych miały również tę zaletę, że mogły się poruszać w bardzo trudnym terenie, jakim były poleskie rozlewiska. W pracy szczegółowo zostały opisane bitwy, potyczki i boje marynarzy flotylli rzecznych w trakcie walk z lat 1919–1920 oraz naszkicowane portrety polskich dowódców i marynarzy, uczestniczących w opisywanych walkach. Autor uwzględnił w tej opowieści również oddziały sowieckich flotylli rzecznych i dowódców odpowiedzialnych w armii bolszewickiej za działania wojenne na rzekach.

Książka Sławomira Zagórskiego jest bardzo obszerna (500 stron tekstu), jednak można ją czytać jak dobrą powieść sensacyjną. Wydaje się, że autor znalazł swój własny sposób opowiadania

„Medyk sądowy nie może ulec szokowi [...]. Aby służyć społeczeństwu, czasami musimy zawiesić pewne aspekty własnego człowieczeństwa”.

KSIAŻKA

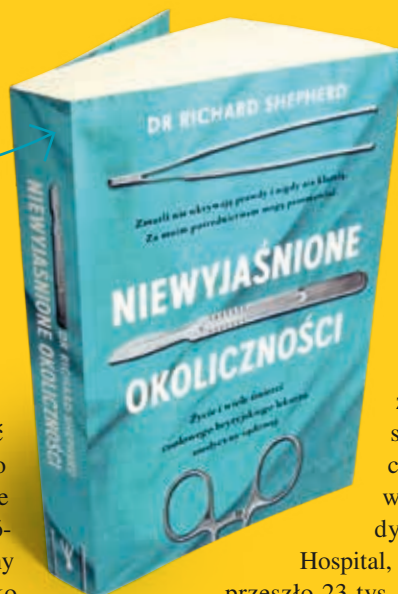
SPACER ŚLADAMI ŚMIERCI

Przez ostatnie lata takie gatunki literackie jak kryminał czy thriller zdecydowanie wyszły z cienia i zagościły na liście bestsellerów czytelnicznych. Chętnie śledzimy losy humorzystycznych komisarzy policji, genialnych profilerów czy cynicznych prawników. Pojawiają się kolejne ekranizacje co lepszych tytułów, a skandynawskie klasyki gatunku dawno znalazły niezłych polskich następców. Tym ciekawsza wydaje się propozycja spojrzenia na pracę szarej eminencji w łańcuszku osób, które zajmują się sprawami kryminalnymi. Mowa tu o ukrytych w salach autopsyjnych patologach sądowych – ludziach, którzy wykonują jeden z najdziwniejszych, wzbudzających skrajne emocje zawodów świata.

„Medyk sądowy nie może ulec szokowi [...]. Aby służyć społeczeństwu,

czasami musimy zawiesić pewne aspekty własnego człowieczeństwa”, pisze dr Richard Shepherd, który tą dziedziną medycyny zainteresował się jako 13-latek, po tym, jak przez przypadek wpadł mu w ręce podręcznik akademicki do medycyny sądowej.

Jakie zatem cechy powinien mieć lekarz sądowy? „Kraina śmierci jest wolna od uczuć”, podkreśla Shepherd, zatem powinien umieć wyłączyć emocje i wyciągać wnioski tylko na podstawie faktów. Ale nade wszystko musi lubić rozwiązywać zagadki i traktować ludzkie ciało właśnie jak taką zagadkę – dokładność, skrupulatność i cierpliwość może dać odpowiedź nawet w obliczu najbardziej zawiązanego przypadku.



Od kiedy Richard Shepherd obronił w 1987 roku specjalizację z medycyny sądowej i zaczął pracę w słynnym londyńskim Guy's

Hospital, przeprowadził przeszło 23 tys. sekcji zwłok.

Zaczynał niepewny własnych umiejętności, z mocnym postanowieniem wyciągania nauki z każdej sprawy, z którą przyszło mu się zmierzyć. Niektóre z nich są znane opinii publicznej z pierwszych stron gazet, np. śledztwo dotyczące wypadku, w którym zginęła księżna Diana, atak terrorystyczny Al-Kaidy na World Trade Center czy podłożenie przez tę organizację bomby w kurortach na Bali.

KATARZYNA PIETRASZEK

Dr Richard Shepherd, „Niewyjaśnione okoliczności”, Insignis, 2018.

o wydarzeniach historycznych, tak by zaintrygować czytelnika, przedstawić mu fakty – za pomocą opisów poszczególnych epizodów wojny, a jednocześnie nie znudzić. Dla uczynienia narracji bardziej potoczniejszą, Zagórski sięga czasami po fabularyzowane scenki z dialogami, przy czym wiele z nich stanowią cytaty ze wspomnień, a także z zapisków i pamiętników osób, które uczestniczyły w opisywanych wydarzeniach. Dzięki temu po książkę z powodzeniem mogą sięgnąć nie tylko historycy, lecz także miłośnicy historii, tym bardziej że zostały tu opisane epizody tak interesujące, jak walka Polaków z Chińczykami (podczas sowieckiego desantu pod Weresnicą 2 sierpnia 1919) czy wątek rzecznych lotniskowców (a właściwie pływających baz samolotów, pozostających w wyposażeniu sił sowieckich).

ROBERT SENDEK

Sławomir Zagórski, „Białe kontra czerwone. Polscy marynarze w wojnie z bolszewikami”, Znak, 2018.



BLASK ORDERÓW
Na wystawie można obejrzeć blisko tysiąc medali i odznaczeń pochodzących z polskich i zagranicznych zbiorów.

Łazienki Królewskie w Warszawie. Ekspozycja otwarta do 3 lutego 2019 roku.





ANDRZEJ FAŁFARA

Mała wielka bitwa

Kontynuując opowieści niepodległościowe sprzed stu lat, tym razem wrócę do wojny z Czechosłowacją o Śląsk Cieszyński, która rozpoczęła się w styczniu 1919 roku. A właściwie do wojenki, bo skala tych działań była doprawdy niewielka, a zaangażowane siły – mikroskopijne.

Bracia Czechosłowacy wiedzieli, kiedy uderzyć. Polska armia była słabiutka, marnie uzbrojona, a w dodatku główne jej siły (prawie 200 tys. żołnierzy) walczyły w tym samym czasie pod dowództwem Józefa Piłsudskiego z Ukraińcami o Galicję Wschodnią. Czujni sąsiedzi ruszyli więc od strony Cieszyna i posuwali się na północ w kierunku Bielska. Ich celem było zajęcie całego Śląska Cieszyńskiego. Na drodze stanęła im garstka wojska (półtora tysiąca) i niewielka liczba ochotników, którzy już podczas trwania konfliktu dojeżdżali z różnych rejonów kraju. Do najważniejszego, trwającego trzy dni, starcia doszło pod Skoczowem.

Trafiłem na arcyciekawy opis tamtych wydarzeń, zawarty w wydanej w zaledwie tysiącu egzemplarzy książce „Trudna droga do Polski” (opracowanie Halina Szotek). O tym, co działo się w Skoczowie podczas walk w styczniu 1919 roku, barwnie opowiada na jej łamach ewangelicki pastor Jan Unucka. Widział na własne oczy przygotowania do bitwy, przemieszczał się po okolicy, rozmawiał z żołnierzami. „W ciągu jednego dnia ciche niwy skoczowskie stały się frontem wojennym”, relacjonował.

Z opowieści pastora Unucki wybrałem fragment, który wydał mi się najciekawszy: „W krytycznej chwili nadeszły posiłki z Łodzi. Z wagonów kolejowych wysypali się bohaterscy chłopcy. Byli umundurowani w sposób pruski. Cechowała ich wzorowa karność i zadziwiająca sprawność. Odbyli długą, męczącą podróż, ale zamiast iść na odpoczynek, szli na front. Wprzód jednak nastąpiła zbiórka, a osiwiwały w boju oficer przemówił do swoich: »Nie bójcie się chłopcy. Wojna nie taka straszna. Jest rzeczą dowiedzioną, że z 10 tysięcy kul wystrzelonych tylko jedna trafia, a z tych, które trafiają, rzadko która zabija. Kuli, która wam gwizdzie koło ucha, bać się nie potrzebujecie, bo ona już dawno przeleciała«”.

Starcie pod Skoczowem, którym dowodził płk Franciszek Latinik, późniejszy generał, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, uznano za nierozstrzygnięte z militarnego punktu widzenia. Efekt dla strony polskiej był jednak pozytywny, gdyż marsz czechosłowacki w stronę Bielska został zatrzymany. Tę małą wielką bitwę sprzed stu lat uhoonorowano stosownym napisem na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

CO Z NAGRODĄ DLA NSR-u?

Podstawa prawna:
§ 2a i § 4 ust. 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 28 stycznia 2011 roku w sprawie warunków i trybu przyznawania nagród i zapomóg żołnierzom niezawodowym (tj. DzU 2016, poz. 1656).

Od dwóch lat jestem przydzielony do NSR-u. Zgodnie z przepisami oraz informacjami WKU, każdy żołnierz po odbyciu ćwiczeń rotacyjnych i uzyskaniu z nich pozytywnej oceny może otrzymać od dowódcy jednostki nagrodę w wysokości 2 tys. zł. Spełniłem ten warunek, a nagrody nie otrzymałem. Dowódca na moje pytanie, dlaczego tak się stało, odpowiedział, że nagroda ma formę uznaniową. Napisałem odwołanie do Biura Skarg i Wniosków MON. W odpowiedzi podtrzymano, że nagroda jest uznaniowa. Biuro powołało się na ustawę o uposażeniu żołnierzy niezawodowych, zgodnie z którą „żołnierzom mogą być przyznawane nagrody – w szczególności w związku z przejawianiem inicjatywy w służbie albo wykonywaniem zadań służbowych wymagających szczególnie dużego nakładu pracy, w tym poza określonym czasem służby, w skróconych terminach lub w warunkach szczególnie utrudnionych”.

Jak jest faktycznie z tą nagrodą?

→ **Zagadnienie, o którym mowa w pytaniu, zostało uregulowane w rozporządzeniu ministra obrony narodowej z 28 stycznia 2011 roku w sprawie warunków i trybu przyznawania nagród i zapomóg żołnierzom niezawodowym.**

W § 2a ust. 1 rozporządzenia wskazano, że żołnierzom rezerwy posiadającym nadane przydziały kryzysowe można przyznać nagrodę nie częściej niż raz w każdym 12-miesięcznym okresie trwania kontraktu. Z § 2a ust. 2 rozporządzenia wynika zaś, że warunkiem przyznania nagrody jest uzyskanie pozytywnych ocen służbowych z ćwiczeń wojskowych odbytych przez żołnierza

rezerwy w okresie, za który przyznawana jest nagroda. Warto również dodać, że nagrody są przyznawane z inicjatywy dowódcy albo na wniosek przełożonego żołnierza niezawodowego. Analiza wskazanych przepisów pozwala na stwierdzenie, że przyznanie nagrody jest uzależnione od spełnienia wymienionych warunków. Z treści pytania nie wynika zaś, aby pojawiła się inicjatywa dowódcy albo przełożonego żołnierza, który ubiega się o przyznanie nagrody. Tym samym nie został spełniony jeden z warunków przyznania nagrody określonych w rozporządzeniu, wobec czego nie sposób uznać, że działanie jednostki wojskowej było nieprawidłowe.

Niezależnie od tego należy uznać, że sam fakt uzyskania pozytywnych ocen służbowych z ćwiczeń wojskowych nie daje podstaw do roszczenia o przyznanie nagrody. Jak wspomniano, jej przyznanie jest uzależnione od inicjatywy dowódcy lub wniosku przełożonego żołnierza niezawodowego. Z treści rozporządzenia wynika zatem, że ustawodawca przewidział sytuację, w której taka inicjatywa lub wniosek się nie pojawią. Należy zatem uznać, że gdyby zamiarem ustawodawcy było nagrodzenie żołnierza w każdym przypadku, w którym otrzymał on pozytywne oceny służbowe z ćwiczeń wojskowych, przyznanie nagrody nie zostałoby uzależnione od uprzedniej czynności dowódcy lub przełożonego żołnierza niezawodowego. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby czynności te miały wyłącznie charakter formalny i dowódca lub przełożony żołnierza niezawodowego nie dysponował żadnym luzem decyzyjnym.

Kolejnym argumentem, który przemawia za uznaniem, że uzyskanie pozytywnych ocen służbowych z ćwiczeń wojskowych samo w sobie nie



sprawia, że żołnierzowi należy się nagroda, jest brzmienie § 2a ust. 1 rozporządzenia. Z przedmiotowego przepisu wynika, że żołnierzom rezerwy posiadającym nadane przydziały kryzysowe można przyznać nagrodę nie częściej niż raz w każdym 12-miesięcznym okresie trwania kontraktu. Użycie przez ustawodawcę słowa „można” sugeruje, że przyznanie nagrody zależy od swobodnego uznania, zaś funkcją przedmiotowego przepisu nie jest jedynie określenie dopuszczalnej częstotliwości przyznania analizowanej nagrody. Wydaje się bowiem, że gdyby zamiarem ustawodawcy było wyłączenie luzu decyzyjnego w pro-

cesie przyznawania nagrody, wspomniany przepis zostałby sformułowany w sposób bardziej kategoryczny. Tym samym należy przyjąć, że nagroda uregulowana w § 2a ust. 1 rozporządzenia istotnie ma charakter uznaniowy. Na koniec trzeba dodać, że żołnierz może otrzymać nagrodę jedynie w okresie trwania kontraktu, a zatem nie ma podstaw do jej przyznania po jego wygaśnięciu. ■

Radca prawny DAMIAN MAZANOWSKI
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

ZASIŁEK OSIEDLENIOWY

Do listopada 2018 roku pełniłem zawodową służbę w Garnizonie Bydgoszcz. Następnie rozpocząłem służbę w Gdyni. W międzyczasie u notariusza podpisałem umowę deweloperską o ustanowienie odrębnej własności lokalu mieszkalnego i nabycie praw do tego lokalu (ostateczna umowa notarialna będzie zawarta w 2019 roku). Lokal znajduje się Gdańsku (do chwili obecnej ani ja, ani moja rodzina nie jesteśmy tam zameldowani). Czy w związku z tym należy mi się zasiłek osiedleniowy i zwrot kosztów za przeprowadzkę?

➔ Zgodnie z przepisami żołnierzowi zawodowemu wyznaczonemu na stanowisko służbowe poza miejscowością stanowiącą siedzibę jednostki wojskowej lub wydzielonego pododdziału, w której żołnierz zajmował dotychczas stanowisko służbowe, przysługują: **ryczałt z tytułu przeniesienia, dieta (za czas przejazdu i pierwszą dobę pobytu w nowym miejscu pełnienia służby), ryczałt na pokrycie kosztów przejazdu z miejsca stałego zamieszkania do nowego miejsca pełnienia służby**. W przypadku przesiedlenia się żołnierza zawodowego do nowego miejsca pełnienia służby przysługują mu ponadto: zasiłek osiedleniowy i zwrot kosztów przewozu urządzeń domowych.

Kwestie szczegółowe w tym zakresie reguluje rozporządzenie MON-u w sprawie należności pieniężnych żołnierzy zawodowych za przeniesienia, przesiedlenia i podróże służbowe. Według przepisów ryczałt z tytułu przeniesienia wypłaca się na podstawie rozkazu dowódcy, w terminie 30 dni od dnia objęcia przez żołnierza stanowiska w nowym miejscu pełnienia służby. Za podstawę obliczenia ryczałtu przyj-

muje się kwotę najniższego uposażenia obowiązującą w dniu objęcia przez żołnierza stanowiska w nowym miejscu.

Jak wynika z przepisów, podstawowym wymogiem formalnym jest fakt objęcia stanowiska służbowego w nowej jednostce wojskowej. Biorąc ponadto pod uwagę ekonomikę postępowania administracyjnego, mającego co do zasady doprowadzić do zwrotu kosztów przeprowadzki, wniosek taki jest w pełni uzasadniony. Pamiętać jednak należy, że zwrot określonych wydatków poniesionych przez żołnierza zawodowego odbywa się na podstawie przedłożonych przez niego dokumentów.

Analiza przedstawionego stanu prawnego musi prowadzić do wniosku, że prawo do zasiłku osiedleniowego oraz zwrotu kosztów przewozu urządzeń domowych żołnierz nabywa z chwilą uzyskania przeniesienia służbowego do innej miejscowości. Jednakże uprawnienie to nie musi być realizowane natychmiast bądź też w krótkim czasie od jego nabycia. Trzeba bowiem zwrócić uwagę na to, że zarówno ustawa, jak i rozporządzenie wykonawcze nie wprowadzają jakichkolwiek ograniczeń w tym zakresie (tożsame stanowisko – wyrok WSA w Warszawie z 10 maja 2007 roku, sygn. akt. II SA/Wa 242/07). ■

ROBERT KŁOSIŃSKI
Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010, nr 90, poz. 593 z późn. zm.). – art. 86; rozporządzenie MON w sprawie należności pieniężnych żołnierzy zawodowych za przeniesienia, przesiedlenia i podróże służbowe z 16 lipca 2014 roku (DzU 2014, poz. 1003) – § 3 ust. 2, § 7 ust. 1 i 2.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

PŁASZCZ DLA SIŁ POWIETRZNYCH

Jestem żołnierzem zawodowym. Obecnie muszę na własny koszt kupić płaszcz wojsk lotniczych. Czy mogę zlecić uszycie go na wzór obowiązujący i zatwierdzony przez MON, czy jest on zastrzeżony przez firmę szyjącą mundury dla wojska?

→ **Żołnierze zawodowi w czasie wykonywania zadań służbowych są obowiązani do noszenia przepisowego umundurowania.** Rodzaje, zestawy i wzory umundurowania zostały określone w rozporządzeniu ministra obrony narodowej w sprawie rodzajów, zestawów i wzorów oraz noszenia umundurowania i oznak wojskowych przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką. Wymienione rozporządzenie precyzuje, jak powinien wyglądać każdy element munduru, w tym również płaszcz wojsk lotniczych. Wzór płaszcza nie stanowi własności

żadnej firmy szyjącej mundury. Jest ogólnodostępny i na podstawie powyższego wzoru każdy może uszyć mundur. Przepisy szczegółowo określają grupę uprawnionych do noszenia umundurowania oraz okoliczności, w jakich należy nosić mundur, ale w żaden sposób nie ograniczają kręgu podmiotów, które są uprawnione do produkcji umundurowania. ■

Radca prawny DOROTA GUDALEWICZ
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

Podstawy prawne: art. 137a ust. 1 i ust. 4 pkt 1 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2018.173 ze zm.); rozporządzenie ministra obrony narodowej z 31 grudnia 2014 roku w sprawie rodzajów, zestawów i wzorów oraz noszenia umundurowania i oznak wojskowych przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką (DzU 2015.173)

CO NA TO PRZEPISY UBIORCZE?

W jednej z jednostek dowódca brygady zakazał podwijania rękawów. Chodzi o podwijanie rękawów na długość trzech mankietów, poniżej łokcia. Czy jest to zgodne z przepisami? Kiedy pracuje się w terenie przy 30-stopniowych upałach, brak takiej możliwości jest bardzo uciążliwy.

→ Rozporządzenie ministra obrony narodowej z 31 grudnia 2014 roku w sprawie rodzajów, zestawów i wzorów oraz noszenia umundurowania i oznak wojskowych przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką w rozdziale 4 reguluje sposób noszenia umundurowania.

Z § 26 ust. 10 pkt 2 wspomnianego rozporządzenia wynika, że bluzy polowe i ćwiczebne nosi się z rękawami zapiętymi na taśmę samoczącną (guziki) lub podwiniętymi. W pytaniu nie wskazano konkretnego elementu umundurowania, wobec czego nie sposób jednoznacznie przesądzić, czy zakaz podwijania rękawów, o którym mowa, jest zgodny z przepisami, czy też nie. Nie ulega zaś wątpliwości, że dopuszczalne jest podwijanie przez żołnierzy zawodowych rękawów w bluzach polowych i ćwiczebnych. ■

radca prawny DAMIAN MAZANOWSKI
Kancelaria Radców Prawnych s.c. K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

Podstawa prawna: § 26 ust. 10 pkt 2 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 31 grudnia 2014 roku w sprawie rodzajów, zestawów i wzorów oraz noszenia umundurowania i oznak wojskowych przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką w rozdziale 4 reguluje sposób noszenia umundurowania (DzU z 2015, poz. 173).

SPRAWY ŻOŁNIERZY

UPOSAŻENIA DLA PODCHORAŻYCH

**Szykują się zmiany w naliczaniu wynagrodzeń kandydatów na żołnierzy.
Nie będą one już zależne od pensji zawodowców.**

Ministerstwo Obrony Narodowej przygotowało nowelizację rozporządzenia dotyczącego wynagrodzeń żołnierzy pełniących służbę kandydacką, w tym podchorążych wojskowych akademii. Nowe przepisy mają zmienić system naliczania stawek uposażeń przyszłych zawodowców.

Zdaniem przedstawicieli MON-u zmiany są konieczne, dlatego że przez obecny system naliczania wynagrodzeń w ostatnich latach zachwiane zostały relacje między zarobkami kandydatów na żołnierzy a żołnierzami zawodowymi. Zbyt małe są też dysproporcje w pensjach oficerów młodszych po objęciu stanowiska służbowego w porównaniu z uposażeniem podchorążych. W 2004 roku najniższe wynagrodzenie zasadnicze zawodowca wynosiło 1400 zł, w 2018 roku – już 3200 zł. W praktyce spowodowało to nieproporcjonalnie duży – w odniesieniu do żołnierzy zawodowych – wzrost płac kandydatów na żołnierzy zawodowych.

Dziś wynagrodzenia podchorążych uczelni wojskowych kształtują się w granicach od 1020 zł do 2560 zł netto miesięcznie. Propozycje resortu zmierzają do tego, by obecne

stawki wynagrodzeń – liczone procentowo od najniższego wynagrodzenia zasadniczego żołnierza zawodowego – szeregowego zawodowego (obecnie to 3200 zł brutto) zastąpić stałymi stawkami kwotowymi, z zastosowaniem zaokrąglenia do pełnych 100 zł w górę. I tak wynagrodzenie szeregowego (marynarza) wyniesie od 1200 zł na pierwszym roku do 1800 zł na piątym roku nauki, starszego szeregowego (starszego marynarza) – od 1400 zł do 2000 zł, kaprała (mata) – od 1500 zł do 2100 zł, starszego kaprała (starszego mata) – od 1500 zł do 2300 zł, plutonowego (bosmanmata) – od 1500 zł do 2400 zł, a sierżanta od 1500 zł do 2600 zł.

Zmiany będą dotyczyć około 8 tys. kandydatów, w tym 5200 kształcących się w uczelniach wojskowych.

Projekt określa też stawki dla innych żołnierzy służby kandydackiej. Chodzi tu np. o kadetów szkół podoficerskich, których wynagrodzenie ustalono na kwotę 1200 zł (obecnie 1120 zł), oraz tych, którzy mają tytuł magistra i uczestniczą w studium oficerskim w uczelni wojskowej zakończonym egzaminem na oficera – 2600 zł (obecnie 2560 zł). PG ■

KOLEJNE PIENIĄDZE NA ZAPOMOGI

Decyzję w sprawie pieniędzy na zapomogi podpisał minister obrony narodowej. Zgodnie z jej zapisami MON przeznaczy na ten cel dla żołnierzy zawodowych 2,3 mln zł. To druga

transza środków dla potrzebujących. Na mocy decyzji z czerwca 2018 roku do wojskowych trafiło w sumie 9 mln zł.

W ramach drugiej puli 1,730 mln zł otrzyma do podziału Dowództwo Ge-

neralne Rodzajów Sił Zbrojnych, 140 tys. zł Dowództwo Garnizonu Warszawa, a 70 tys. zł Komenda Główna Żandarmerii Wojskowej. Po 40 tys. zł będą mieli do dyspozycji Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych i Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej. Z kolei 10 tys. zł trafi do Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Pieniądze dla potrzebujących otrzymają też wojska specjalne: jednostka NIL –

Limity do służby czynnej

MON określiło przyszłoroczne limity powołań do służby czynnej. Szkolenia w ramach służby przygotowawczej będzie mogło przejść maksymalnie 12 tys. ochotników.

Projekt rozporządzenia określającego limity powołań do czynnej służby wojskowej w 2019 roku został przygotowany przez Radę Ministrów.

Dokument dotyczy m.in. ochotników służby przygotowawczej. W 2019 roku szkolenia dla nich będą kontynuowane, a w ciągu całego roku będzie je mogło przejść do 12 tys. osób. Ci, którzy ukończą ten rodzaj służby, nie będą jednak, jak dotychczasowi ochotnicy, powoływani do

narodowych sił rezerwowych. Zgodnie bowiem z wytycznymi Strategicznego Przeglądu Obronnego resort obrony narodowej planuje stopniowe wygaszanie funkcjonujących od 2010 roku NSR-ów. Wojsko nie będzie więc podpisywać nowych kontraktów do tego rodzaju służby i nadawać żołnierzom przydziałów kryzysowych, a umowy już obowiązujące nie będą przedłużane. Rezerwiści NSR-u wciąż będą jednak mogli odbywać ćwiczenia wojskowe rotacyjne trwające do 30 dni.

Projekt rozporządzenia określa także limity powołań na ćwiczenia wojskowe i szkolenia dla żołnierzy rezerwy nienależących do narodowych sił rezerwowych i osób niebędących żołnierzami rezerwy. Obowiązkowe ćwiczenia wojskowe – przy założeniu że będą trwać dziesięć dni – będzie mogło przejść maksymalnie około 49 tys. żołnierzy rezerwy. W przypadku ćwiczeń trwających dłużej niż dziesięć dni, liczba możliwych do powołania żołnierzy rezerwy będzie mniejsza.

W 2019 roku będą także szkolenia na kursach oficerskich i podoficerskich – to odpowiednio około 1000 i 250 żołnierzy rezerwy oraz terytorialnej służby wojskowej. W ramach tej ostatniej resort obrony narodowej zamierza przeszkolić do 17 142 żołnierzy. Dokument określa też limity powołań studentów – ochotników chcących odbyć wojskowe szkolenie w ramach programu Legii Akademickiej. Zakłada się, że będzie je mogło odbyć około 5 tys. studentów. PG ■

28 tys. zł, Jednostka Wojskowa Komandosów – 19 tys. zł, GROM – 14 tys. zł, a Formoza – 9 tys. zł.

O wypłatę zapomogi z wojska mogą wnioskować żołnierze zawodowi, którzy w wyniku zdarzeń losowych znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. W praktyce może to być związane ze śmiercią członka najbliższej rodziny, długotrwałą chorobą żołnierza lub osoby najbliższej albo strata-

mi w wyniku klęski żywiołowej. Na finansową pomoc mogą liczyć także członkowie rodzin wojskowych. Chodzi tu zwłaszcza o sytuację, gdy np. wojskowy zaginie lub poniesie śmierć w związku z wykonywaniem zadań służbowych.

Wniosek o zapomogę może złożyć sam zainteresowany lub jego przełożony. W takich wypadkach pieniądze są wypłacane przez daną jednostkę. Ale

specjalną pulą środków (w 2018 roku było to około 580 tys. zł) dysponuje także minister obrony narodowej, który może przyznać zapomogę wojskowym znajdującym się w wyjątkowo trudnej sytuacji.

W 2017 roku zapomogi otrzymało 6375 żołnierzy zawodowych. Przeciętna wysokość świadczenia wyniosła 1791 zł. Łącznie na zapomogi MON wypłaciło 10,980 mln zł. PG ■

Spokój nieśmiertelnika

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

**Panu mjr. Grzegorzowi Mazurkowi
oraz Jego Bliskim**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, kadra oraz pracownicy
Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego WP.

Panu por. pil. Cezaremu Ragusowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej Grupy Działań Lotniczych
32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku.

Panu Markowi Gackowskiemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Syna

składają komendant, żołnierze i pracownicy RON
25 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Białymstoku.

Wyrazy najgłębszego współczucia i szczerę żalu

Rodzinie oraz Bliskim

śp. st. mar. Krzysztofa Krefta

składają połączeni w żałobie i smutku
komendant, marynarze i pracownicy RON
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu dr. Pawłowi Piotrowskiemu,

pracownikowi Wojskowego Biura Historycznego,
szczerę wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dyrektor i pracownicy.

Panu st. chor. sztab. Stanisławowi Nowakowi

wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy RON
Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

Panu st. szer. Karolowi Węglewskiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Pułku Ochrony w Warszawie.

Panu mjr. Andrzejowi Wierchowskiemu

oraz Jego Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
oraz wsparcia i otuchy w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, zastępcę, żołnierze i pracownicy
Regionalnego Centrum Informatyki Warszawa.

Panu dr. Andrzejowi Krupie
 wyrazy szczerego współczucia
 z powodu śmierci
Mamy
 składają dziekan, kadra i pracownicy
 Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
 Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie.

Pani mjr Aleksandrze Czapp
oraz Jej Rodzinie
 wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
 oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
 z powodu śmierci
Ojca
 składają kadra i pracownicy wojska Wojewódzkiego
 Sztabu Wojskowego w Gdańsku.

Panu st. chor. sztab. Markowi Mazurkowi
 wyrazy szczerego współczucia oraz głębokiego żalu
 z powodu śmierci
Mamy
 składają dowódca, kadra, żołnierze
 i pracownicy resortu obrony narodowej
 34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Pani Marzenie Wirkus
 wyrazy głębokiego współczucia
 i najszczerze kondolencje
 z powodu śmierci
Męża
 składają dowódca, kadra, żołnierze i pracownicy
 resortu obrony narodowej
 34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Pani Monice Stangret
 wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Mamy
 składają dyrekcja, żołnierze i pracownicy
 Departamentu Ochrony Informacji Niejawnych
 Ministerstwa Obrony Narodowej.

Z żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Pani Krystyny Zalewskiej,
Mamy
 szefa sztabu Centrum Operacji Powietrznych
 – Dowództwa Komponentu Powietrznego.
Rodzinie i Bliskim
 składam wyrazy głębokiego współczucia.
 Dowódca Centrum Operacji Powietrznych
 – dowódca Komponentu Powietrznego
 gen. dyw. pil. Dariusz Malinowski
 oraz żołnierze i pracownicy
 resortu obrony narodowej COP-DKP.

Wyrazy głębokiego współczucia
 oraz najszczerze kondolencje
dla Pana ppłk. Jarosława Więcka
oraz Jego Rodziny
 z powodu śmierci
Taty
 składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy RON
 21 Bazy Lotnictwa Taktycznego.



Pamiętamy

st. chor. sztab. Mieczysław Jaszczyk
 17 stycznia 1998 roku,
 UNIFIL Liban

sierż. Marcin Pastusiak
 22 stycznia 2011 roku,
 PKW Afganistan

Marcin Knap
 22 stycznia 2011 roku,
 PKW Afganistan

mjr Krzysztof Woźniak
 23 stycznia 2013 roku,
 PKW Afganistan

Pani dr Anecie Nowakowskiej-Krystman

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dziekan, kadra i pracownicy
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie.

**Panu ppłk. Robertowi Ślipce
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

szczerze wyrazy współczucia i kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają kadra i pracownicy Zarządu Rozpoznania
i Walki Elektronicznej Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

Słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego żalu
i szczerego współczucia

**Panu ppłk. Cezaremu Frąckowiakowi
oraz Rodzinie i Bliskim**

z powodu śmierci

Taty

składają szef, żołnierze, strażacy oraz pracownicy
Wojskowej Ochrony Przeciwpowodzi.

Panu ppłk. rez. Zbigniewowi Pawłowskiemu
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci**Ojca**

składają

żołnierze i pracownicy Pionu Szkolenia
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

**Panu mł. chor. Krzysztofowi Śpiewakowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu Józefowi Rabczewskiemu
wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa wsparcia
w trudnych chwilach z powodu śmierci**Żony**

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia

Panu kmdr. ppor. Maciejowi Trzascie

z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, kadra i pracownicy RON
Dowództwa Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej.

Pani Joannie Kuklińskiej
wyrazy głębokiego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci**Taty**

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Panu kpt. Łukaszowi Kozakowi

z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
11 Mazurskiego Pułku Artylerii.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Brata**Panu Tadeuszowi Centkowskemu**

składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

ZAMÓW PRENUMERATĘ NA 2019 ROK

16 wydań („Polska Zbrojna”, „Polska Zbrojna. Historia”)

w cenie 97 zł + 16 E-WYDAŃ ZA DARMO!



40

GŁOŚNIKÓW BLUETOOTH W PREZENCIE

Promocja ważna do 15 stycznia 2019 roku
lub do wyczerpania zapasów.

Warunkiem skorzystania z promocji jest złożenie zamówienia na adres prenumerata@zbrojni.pl
oraz wpłacenie kwoty 97 zł z dopiskiem „Prenumerata z głośnikiem” do 15 stycznia 2019 roku
na nasze konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

Wojskowy Instytut Wydawniczy, Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa.

Zapraszamy również do prenumerowania tytułów: „Polska Zbrojna” w cenie 65 zł (12 wydań), „Polska Zbrojna. Historia” w cenie 32 zł (4 wydania),
„Przegląd Sił Zbrojnych” w cenie 50 zł (6 wydań), „Kwartalnik Bellona” w cenie 100 zł (4 wydania).

POLSKA ZBROJNA

Sprawdzony tytuł. Nowa odsłona